



Kontynuacja *Czarnoksiężnika z Archipelagu* i *Grobowców Aruanu* z cyklu *Ziemakimczu*, za który autorka otrzymała nagrody Hugo i Nebula

URSULA K. LE GUIN

NAJDALSZY BRZEG



Ursula K. Le Guin

NAJDALSZY BRZEG

ZIEMIOMORZE – CZĘŚĆ III

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

1. JARZEBINA

2. MISTRZOWIE ROKE

3. MIASTO HORT

4. MAGICZNE ŚWIATŁO

5. SNY I MORZE

6. LORBANERY

7. SZALENIEC

8. DZIECI OTWARTEGO MORZA

9. ORM EMBAR

10. SMOCZY SZLAK

11. SELIDOR

12. SUCHA KRAINA

13. OKRUCH BÓLU

1. JARZĘBINA

Na dziedzińcu Fontanny marcowe słońce przeświecało przez młode liście jesionu i wiązu, a woda tryskała w górę spadając pośród cienia i jasnego światła. Wokół pozbawionego sklepienia dziedzińca wznosiły się cztery wysokie ściany z kamienia. Kryły za sobą sale, dziedzińce, pasáže, korytarze i wieże. Wszystko to otaczały potężne zewnętrzne mury Wielkiego Domu Roke, który oparłby się naporowi wojny, trzęsieniu ziemi, czy nawet samemu morzu. Kamienie bowiem, z jakich był zbudowany wiązała magia, której nic nie mogło wzruszyć. Roke była Wyspą Mądrości, gdzie naucza się sztuki magicznej, a Wielki Dom – szkołą i samym środkiem czarów. Wnętrze Domu stanowił ten mały dziedziniec, ukryty głęboko za murami, gdzie szemrała fontanna, a drzewa stały w deszczu, słońcu lub w świetle gwiazd.

Korzenie smukłej jarzębiny, rosnącej najbliżej fontanny, wzdęły i rozsadziły marmurowe płyty. Jasnozielony mech wypełniał szczeliny, które rozchodziły się jak żyły od skrawka porośniętej trawą ziemi okalającej basen. Na wybitym przez korzenie niskim garbie z marmuru, przetykanego mchem, siedział chłopiec ze wzrokiem utkwionym w głównym strumieniu fontanny. Był to niemal mężczyzna, lecz wciąż jeszcze młodzieniec; smukły, bogato odziany. Jego twarz zdawała się być odlana w złocistym brązie: tak była delikatnie rzeźbiona i tak nieruchoma.

Być może piętnaście stóp nad nim, pod drzewami na drugim końcu małego trawnika, stał mężczyzna lub tylko wydawało się, że stoi. Trudno było być tego pewnym w tym ciągłym migotaniu światła i cienia. A jednak istotnie stał tam mężczyzna: nieruchomy i cały w bieli. I tak jak chłopiec fontannę, tak on obserwował chłopca. Nic się nie poruszało i nic nie było słychać, oprócz szmeru liści i nieustającej pieśni wody.

Mężczyzna postąpił naprzód. Wiatr zakołysał świeżo rozwiniętymi liśćmi jarzębiny. Chłopiec poderwał się zaskoczony. Zwrócił się do mężczyzny i skłonił przed nim.

– Panie mój, Arcymagu – powiedział.

Mężczyzna zatrzymał się przed nim: niska, wyprostowana, krzepka postać w białym, wełnianym płaszczu z kapturem. Ponad fałdami odrzuconego kaptura jego twarz była czerwonościada, orlonosa, z jednym policzkiem pokiereszowanym starymi bliznami. Oczy miał bystre i surowe. Odezwał się jednak łagodnie.

– Przyjemnie tu posiedzieć na Dziedzińcu Fontanny – i, uprzedzając przeprosiny chłopca, dodał. – Przybyłeś z daleka i nie odpoczywałeś. Siadaj.

Sam ukląkł przy białym brzegu basenu i, wyciągnąwszy rękę do pierścienia błyszczących kropeł, które spadały z wyższej czary fontanny, pozwalał wodzie spływać pomiędzy palcami. Chłopiec usiadł znowu na pokruszonych płytkach i przez chwilę obaj milczeli.

– Jesteś synem księcia Enlad z Enladów – odezwał się Arcymag – spadkobiercą Księstwa Morreda. Na całym Ziemiomorzu nie ma dziedzictwa starszego i rzetelniejszego. Widziałem sady Enlad wiosną i złote dachy Berili... Jak ci na imię?

– Arren.

– To słowo w dialekcie twojej wyspy. Co ono oznacza w naszym języku powszechnym?

– Miecz.

Arcymag skinął głową. Znowu zapadła cisza, a potem odezwał się chłopiec: nieśmiało, lecz bez bojaźni.

– Myślałem, że Arcymag zna wszystkie języki. Mężczyzna potrząsnął głową, wpatrzony w fontannę.

– I wszystkie nazwy...

– Wszystkie nazwy? Tylko Segoy, który wypowiedział Pierwsze Słowo, wznosząc wyspy z głębi morza, znał wszystkie nazwy. To pewne. – I bystre, surowe spojrzenie spoczęło na twarzy Arrena.

– Gdybym musiał znać twoje prawdziwe imię, poznałbym je. Lecz nie ma potrzeby. Będę nazywał cię Arren. Ja zaś jestem Krogulec. Powiedz jaką miałeś podróż?

– Zbyt długą.

– Czy wiały przeciwne wiatry?

– Wiatry mieliśmy sprzyjające, lecz wieści, które przynoszę, są złe, Panie Krogulcze.

– Opowiedz je zatem – powiedział Arcymag poważnie, lecz tak jak ktoś ustępujący przed dziecięcą niecierpliwością. Podczas gdy Arren mówił, spoglądał na kryształową zasłonę kropel, spadających z wyższego do niższego basenu fontanny. Słuchał słów chłopca, lecz jak gdyby i czegoś więcej.

– Jak wiesz, panie, księżę, mój ojciec, jest człowiekiem czarów, jako że wywodzi się w prostej linii od Mor-reda, a w swej młodości spędził rok na tej wyspie. Posiada pewną moc i wiedzę, chociaż rzadko używa swej sztuki. Zajęty jest panowaniem i utrzymywaniem ładu w królestwie, zarządzaniem miastami i sprawami handlu. Nasza flota dociera daleko na zachód, nawet na Rubieże Zachodnie w poszukiwaniu szafirów, skór wołowych i cyny. Na początku zimy jeden z kapitanów powrócił do Berili z wieściami, które tak zainteresowały mego ojca, że posłał po tego człowieka i wysłuchał go. – Chłopiec mówił pewnie i szybko. Był wychowany przez dworskich ludzi i nie znać było po nim młodzieńczego skrępowania. – Ten kapitan mówił, że na wyspie Narveduen, która leży jakieś pięćset mil od nas na zachód drogą morską, magia już nie działa. Czary nie mają tam mocy, a słowa sztuki magicznej zostały zapomniane. Mój ojciec zapytał go, czy stało się tak dlatego, że wszyscy czarodzieje i czarownice opuścili wyspę, a on odpowiedział: Nie, są tam jacyś ludzie, którzy byli czarodziejami, ale nie czynią już czarów, nawet takich, jak łatanie garnków czy odnajdywanie zagubionych igieł. Mój ojciec pytał dalej: Czy to nie przeraża ludzi z Nerveduen? Na to kapitan odpowiedział: Nie, oni zdają się nie dbać o to. I rzeczywiście, mówił, panuje wśród nich choroba: jesienne zbiory były liche, a ich wydaje się to nie obchodzić. Byłem przy tym jak rozmawiał z księciem i wszystko słyszałem. Ci ludzie są jak chory człowiek, któremu powiedziano, że musi umrzeć zanim rok upłynie, a on upiera się, że to nieprawda, że będzie żył wiecznie. Chodzą – mówił – nie patrząc na świat. Kiedy powrócili inni kupcy, potwierdzili wieści o tym, że Nerveduen stała się biedną wyspą i straciła sztukę magiczną. Ale to były tylko opowieści z Rubieży, zawsze dziwne i tylko ojciec ich nie zlekceważył. A potem w Święto Jagniąt, które obchodzimy na Enlad, kiedy żony pasterzy przynoszą do miasta nowy przychówek, ojciec wezwał czarodzieja imieniem Korzeń, aby rzucił czary dla pomyślnego rozwoju jagniąt. Korzeń powrócił do pałacu przygnębiony, odrzucił swoją laskę, i powiedział: Mój panie, nie mogę rzucić czarów. Mój ojciec wypytywał go, lecz on powiedział tylko: Zapomniałem słów i wzorów. Ojciec sam poszedł na rynek i wypowiedział zaklęcie, aby święto mogło się zakończyć. Widziałem go, jak wrócił tego wieczoru do pałacu ponury i zmęczony. Rzekł do mnie: Wypowiedziałem słowa zaklęcia, lecz nie wiem, czy coś działo się. I rzeczywiście, coś złego dzieje się ze stadami tej wiosny: owce padają przy wykotach, wiele jagniąt urodziło się martwych, a niektóre... zniekształcone.

– Swobodny, żywy głos chłopca załamał się przy tych słowach. Arren skrzywił się i przełknął

ślinę. – Widziałem niektóre – powiedział i zamilkł na chwilę.

– Mój ojciec sądzi, że te sprawy, jak i wieści z Nerveduen, wskazują, na to iż w naszej części świata dzieje się zło. Potrzebuje rady Wtajemniczonych.

– To, że cię przysłał, dowodzi jak pilna jest potrzeba

– odparł Arcymag. – Jesteś jego jedynym synem, a podróż z Enlad na Roke jest długa. Czy masz jeszcze coś do powiedzenia?

– Tylko opowieści starych kobiet ze wzgórz.

– I cóż takiego opowiadają stare kobiety?

– Że wszystko, co czarownice wyczytują z dymu i sadzawek, wróży źle na przyszłość, a ich lubczyki są do niczego. Lecz one przecież nie mają pojęcia o prawdziwych czarach.

– Przepowiadanie przyszłości i warzenie lubczyków to rzeczywiście nic ważnego, ale starych kobiet warto posłuchać. Wieści, które przywiołeś, Mistrzowie Roke rozważą, ale nie wiem, Arrenie, jaką radą mogą służyć twemu ojcu. Enlad nie jest pierwszą wyspą, skąd nadeszły takie wieści.

Podróż Arrena na północ, wzdłuż wielkiej wyspy Havnor i przez Wewnętrzne Morze na Roke, była jego pierwszą wyprawą. W ciągu ostatnich tygodni uświadomił sobie, co to znaczy odległość i zrozumiał, że poza łagodnymi wzgórzami Enlad rozciąga się wielki świat, w którym żyje wielu ludzi. Nie był przyzwyczajony do myślenia w takiej skali, więc upłynęła chwila, zanim zrozumiał, co powiedział Arcymag.

– Skąd jeszcze? – zapytał zaniepokojony, miał bowiem nadzieję natychmiast zawieźć na Enlad odpowiedź na to, jak zaradzić złu.

– Przede wszystkim z Rubieży Południowych. Ostatnio nawet z południa Archipelagu, z Wathort. Mówią, że na Wathort magia już nie działa. Trudno być pewnym. Ta wyspa tak długo była ośrodkiem buntowników i piratów, że, jak mówią, słuchać kupca z południa to tak, jak słuchać kłamcy. Jednak opowieści mówią niezmiennie: źródła czarów powysychały.

– Ale tu na Roke...

– Tu na Roke nic takiego nie odczuwamy. Jesteśmy chronieni przed sztormem, zmianą i wszelkim złym losem. Być może nawet zbyt dobrze chronieni. Książę, co chcesz uczynić?

– Wrócę na Enlad wówczas, kiedy będę mógł dostarczyć memu ojcu jasnej odpowiedzi, co do natury tego zła i lekarstwa na nie.

Raz jeszcze Arcymag spojrział na niego – i tym razem, pomimo całego swojego przygotowania, Arren odwrócił wzrok. Nie wiedział dlaczego to zrobił, bowiem w spojrzeniu tych ciemnych oczu nie było gniewu. Było bezstronne, spokojne i pełne współczucia.

Wszyscy na Enlad poważali jego ojca, a on był jego synem. Wszyscy zawsze widzieli w nim Arrena, dziedzica Enlad, syna panującego księcia, i nikt nigdy nie patrzył na niego w ten sposób – jak na samego Arrena. Nieprzyjemna była mu myśl, że boi się wzroku Arcymaga, lecz mimo to nie mógł odwzajemnić spojrzenia. Zdawało się ono jeszcze bardziej poszerzać otaczający go świat i nie tylko Enlad stawała się bez znaczenia. On sam w oczach Arcymaga wydawał się być maleńką figurką, prawie niewidoczną na tle ogromu otoczonych morzem lądów, nad którymi zawisła ciemność.

Siedział, skubiąc jasnozielony mech rosnący w szczelinach marmurowych płyt, i kiedy nagle odezwał się, jego głos, który dopiero w ostatnim czasie nabrał głębszych tonów, zabrzmiał cienko i ochryple: – Zrobię, co mi każesz,

– Twoim obowiązkiem jest posłuszeństwo wobec ojca, nie wobec mnie – odparł Arcymag.

Wciąż nie spuszczał oczu z Arrena, lecz teraz chłopiec odwzajemnił mu spojrzenie. Czyniąc swój akt poddania, zatracił się całkowicie i wreszcie zobaczył Arcymaga naprawdę. Zobaczył największego czarodzieja Ziemiomorza, człowieka, który zatkał Czarną Studnię Fundaur, zdobył pierścień Erretha-Akbe z Grobowców Atuanu i zbudował w Nepp niewzruszoną tamę; żeglarza, który poznał morza od Astowell do Selidoru; jedyne żyjącego Władcę Smoków. Ten oto człowiek klęczał przy fontannie, niski i niemłody, o łagodnym głosie i oczach głębokich jak zmierzch.

Arren w pośpiechu, niezgrabnie powstał i uroczyście uklęknął na oba kolana,

– Mój panie – powiedział, zająkując się. – Pozwól, abym ci służył.

Jego pewność siebie znikła, twarz płonęła, a głos drżał.

U biodra nosił miecz w pochwie z nowej skóry, ozdobionej wytłaczanymi w czerwieni i złocie deseniami; lecz sam miecz był gładki, z wysłużoną posrebrzaną rękojeścią w kształcie krzyża. Wydobył go teraz w pośpiechu – podając rękojeść Arcymagowi, jak wasal hołdujący księciu.

Arcymag nie wyciągnął ręki, aby dotknąć miecza.

Spoglądał przez chwilę na oręż. Potem podniósł wzrok na Arrena.

– On jest twój, nie mój – powiedział. – A ty nie jesteś niczym sługą.

– Ojciec mój powiedział, że mogę zostać na Roke, dopóki nie dowiem się, czym jest to zło, i dopóki się czegoś nie nauczę. Nie mam żadnych zdolności i nie sądzę, abym posiadał jakąś moc, lecz wśród moich przodków byli magowie... Gdybym mógł w jakiś sposób pomóc ci, panie...

– Zanim twoi przodkowie zostali magami – odparł Arcymag – byli królami.

Powstał, energicznym krokiem podszedł do Arrena i ujmując jego rękę, pomógł mu wstać.

– Wdzięczny ci jestem za to, że ofiarowałaś mi swoją służbę i choć teraz jej nie przyjmuję, być może zwrócę się o nią, kiedy wspólnie naradzimy się nad tymi sprawami. Ofiarę szczerego serca nie łatwo odrzucić. Trudno też wzgardzić mieczem syna Morreda! Teraz idź! Chłopiec, który cię tutaj przyprowadził, zadba, abyś mógł się najeść, wykapać i odpocząć. Idź już! – I pchnął Arrena lekko między łopatki, z poufałością, na jaką dotychczas nikt sobie nie pozwolił. Młody książę nie wybaczyłby tego nikomu innemu, lecz dotknięcie Arcymaga było jak pasowanie na rycerza.

Arren był chłopcem pełnym życia. Znajdował radość w grach, czerpał dumę i przyjemność ze sprawności umysłu i ciała, o choczko wypełniał obowiązki wynikające z zarządzania księstwem. Jednak niczemu nie poświęcał się w pełni. Wszystko przychodziło mu łatwo i ze wszystkiego łatwo się wywiązywał. Wszystko było grą, w której z przyjemnością brał udział. Lecz teraz ożyła w nim jakaś głębia. Nie sprawiły tego gry, ani marzenia, lecz honor, niebezpieczeństwo, mądrość, pokryta bliznami twarz, spokojny głos i ciemna ręka, niedbała o swą moc, trzymająca laskę z cisowego drewna. Na owej lasce, w miejscu gdzie spoczywała dłoń, widniał inkrustowany srebrem w czarnym drewnie Zagubiony Run Królów.

Pierwszy krok, pozostawiający za sobą dzieciństwo, dokonał się nagle, bez patrzenia w przód lub w tył, bez żadnych środków ostrożności, nie zostawiając niczego w zanadru.

Zapominając o dworskich pożegnaniach, Arren pospieszył do drzwi, skrępowany H posłuszny, lecz rozpromieniony. Arcymag długo patrzył za nim kiedy odchodził.

Ged stał jeszcze przez jakiś czas koło fontanny, a potem uniósł głowę ku skapanemu w słońcu niebu. – Miły posłaniec ze złymi nowinami – powiedział półgłosem, jak gdyby do fontanny. Lecz ta nie słuchała, dalej szepcząc w swym własnym, srebrnym języku, a on przysłuchiwał się jej przez

chwilę. Potem podszedł do innych drzwi, których Arren nie widział i które tylko niewiele oczu mogło zobaczyć. Mistrz Odźwierny – powiedział.

Pojawił się niewielki człowiek w nieokreślonym wieku. Nie był młody, więc należałoby nazwać go starym, lecz słowo to nie pasowało do niego. Twarz miał suchą, koloru kości słoniowej, a miły uśmiech rzeźbił długie, półkoliste bruzdy na jego policzkach.

– O co chodzi, Ged? – zapytał.

Byli sami, a on był jedną z siedmiu osób na świecie, które znały prawdziwe imię Arcymaga. Pozostałymi byli: Mistrz Dawca Imion z Roke; Ogion Milczący, czarodziej z Re Albi, który dawno temu nadał Gedowi to imię na górze Gont; Biała Pani z Gont, Tenar Nosząca Pierścień; wioskowy czarodziej z Iffish imieniem Vetch; i również na Iffish – żona cieśli, matka trzech córek, Yarrow, nie mająca pojęcia o czarach, lecz znająca się na innych rzeczach; i w końcu, po drugiej stronie Ziemiomorza, na najdalszym Zachodzie, dwa smoki: Orm Embar i Kalessin.

– Powinniśmy spotkać się dziś w nocy – powiedział Arcymag. – Pójdę do Tkacza. I posłę po Kurremkarmerruka. Niech odłoży swoje listy, da odetchnąć studentom choć jeden wieczór i przybędzie do nas, niekoniecznie we własnej osobie. Zajmiesz się pozostałymi?

– Tak – odparł Odźwierny uśmiechając się, i zniknął. Arcymag też odszedł. Tylko fontanna szeptała dalej do siebie, pogodna w słońcu wczesnej wiosny.

Gdzieś na zachód od Wielkiego Domu Roke, a czasami i gdzieś na południe od niego, można zobaczyć Las Immanentny. Nie ma go na mapach i nikt nie może znaleźć drogi do niego, z wyjątkiem tych, którzy ją znają. Lecz nawet nowicjusze, mieszczanie i farmerzy mogą go zobaczyć, choć zawsze z pewnej odległości. – Las wysokich drzew, których liście, przy całej swej zieloności, nawet wczesną wiosną przebłyskują złotem. I wszyscy oni – nowicjusze, mieszczanie, farmerzy – uważają, że Las porusza się w jakiś tajemniczy sposób. Lecz myślą się, gdyż Las jest nieruchomy. Jego korzenie są korzeniami bytu. To porusza się wszystko wokół.

Ged szedł przez pola, pozostawiwszy za sobą Wielki Dom. Zdjął biały płaszcz, gdyż słońce stało w zenicie. Farmer, orzący brązową rolę na zboczu wzgórza, uniósł rękę w geście pozdrowienia. Ged odpowiedział mu w ten sam sposób. Małe ptaszki śpiewając wlatywały w powietrze. Wysoko w górze sokół kreślił szerokie łuki na niebie. Ged spojrzał w tamtą stronę i znowu uniósł rękę. Ptak zanurkował w dół jak pierzasta strzała i wylądował prosto na wystawionym nadgarstku, ściskając go żółtymi szponami. Nie był to krogulec, lecz wielki Sokół z Roke, pasiasty, białobrzawy sokół-rybołów. Spojrzał z ukosa na Arcymaga okrągłym, jasnozłotym okiem, potem kłapanął dziobem i ponownie spojrzał, tym razem wprost.

– Nieustraszony – powiedział mężczyzna do ptaka w języku Tworzenia. – Nieustraszony.

Wielki sokół uderzył skrzydłami i mocniej zacisnął szpony, wpatrując się w niego.

Daleko na zboczu, pod jasnym niebem, farmer zatrzymał się, aby popatrzeć. Pewnego razu, jesienią, widział, jak Arcymag przywołał ptaka, który tak samo usiadł mu na nadgarstku, a po chwili nie było już mężczyzny, tylko dwa sokoły dosiadające wiatru.

Tym razem rozdzielili się: ptak poszybował wysoko w powietrze, a Arcymag poszedł dalej zaoranym polem.

Doszedł do ścieżki prowadzącej do Lasu Immanentnego, zawsze prostej, bez względu na to jak bardzo wokół niej poskręcany jest czas i świat. Podążając nią, zanurzył się wkrótce w cieniu drzew.

Pnie niektórych z nich były olbrzymie. Widząc je, nabierało się wreszcie pewności, że Las nigdy nie mógł się poruszać. Były jak odwieczne wieże – poszarzałe ze starości, a ich korzenie jak skały

wrosnięte w ziemię. Jednak, niektóre z najstarszych miały przerzedzone liście i obumarłe gałęzie. Nie były nieśmiertelne. Pośród olbrzymów rosły młode drzewa: wysokie i mocne, o jasnych koronach listowia, i ledwo wyrosłe, drobne liściaste różdżki, nie wyższe od dziewczyny.

Rozkładające się od lat liście sprawiały, że gleba pod drzewami była miękka i żyzna. Rosły w niej paprocie i inne drobne rośliny leśne, lecz nie było tam innych drzew, oprócz tego jednego gatunku, który nie ma nazwy w haryckim języku Ziemiomorza. Powietrze pod drzewami pachniało ziemią i świeżością, a w ustach czuło się smak źródlanej wody.

W przesiece powstałej przed laty na skutek upadku olbrzymiego drzewa, Ged spotkał Mistrza Tkacza, który mieszkał w lesie i opuszczał go z rzadka lub wcale. Jego włosy były żółte jak masło. Nie pochodził z Archipelagu. Od czasu odzyskania Pierścienia Erretha-Akbe barbarzyńcy z Kargadu zaprzestali najazdów, zawarli pokój i zajęli się handlem z Ładami Wewnętrznymi. Nie był to przyjazny lud i do innych odnosił się z rezerwą. Jednak co jakiś czas młody wojownik lub syn kupca przybywał na Zachód gnany żądzą przygód lub pragnieniem poznania sztuki magicznej. Tak właśnie było dziesięć lat temu z Mistrzem Tkaczem z mieczem u pasa i w czerwonym pióropuszu na głowie, młody dzikus z Karego-At pojawił się pewnego deszczowego poranka na Roke. – Przybywam, aby się uczyć – rzekł do Mistrza Odźwiernego władcym tonem w łamanym języku harydzkim. A teraz stał w zielonożółtym świetle pod drzewami: wysoki, jasnoskóry mężczyzna, o długich włosach i dziwnych zielonych oczach – Mistrz Tkacz Ziemiomorza.

Być może i on znał prawdziwe imię Arcymaga, lecz jeśli tak, to nigdy go nie wymówił. Przywitali się w milczeniu.

– Czemu się tak przyglądasz? – zapytał Arcymag.

– Pająkowi – odpowiedział.

Na polanie, pomiędzy dwoma wysokimi źdźbłami trawy, pająk utkał sieć: zawieszony w powietrzu delikatny krąg. Srebrne nici łąpały światło słońca. Pająk czaił się w samym środku sieci: szaroczarny stwór, nie większy od źrenicy oka.

– On też jest tkaczem – powiedział Ged, przyglądając się uważnie misternej pajęczynie.

– Co to jest zło? – zapytał młodszy mężczyzna.

– Pajęczyna, którą tkamy my, ludzie – odparł Ged.

W tym lesie nie było słyhać śpiewu ptaków. Ged i Tkacz stali milczący w gorących promieniach południowego słońca. Otaczały ich tylko drzewa i cienie.

– Są wieści z Narveduen i Enlad; te same.

– Jak również z południa i południowego zachodu, z północy i północnego zachodu – powiedział Tkacz, nie spuszczać oczu z okrągłej pajęczyny.

– Spotkamy się tutaj wieczorem. To najlepsze miejsce na naradę.

– Nie znam żadnej odpowiedzi – Tkacz spojrzał na Geda, a jego zielone oczy były zimne. – Boję się – powiedział. – Wszędzie wokół czai się strach. Strach jest w korzeniach.

– Tak – odparł Ged. – Sądzę, że musimy spojrzeć w głębokie źródła. Zbyt długo cieszyliśmy się światłem słońca i pokojem, który nastał po odzyskaniu pierścienia. Poprzestawaliśmy na małych rzeczach, łowiliśmy na płyciznach. Dziś w nocy musimy poszukać odpowiedzi w głębinach. – I pozostawił Tkacza samego, wciąż wpatzonego w pajaka zawieszonyego w rozświetlonej trawie.

Ged usiadł na skraju lasu, gdzie liście wielkich drzew zwisały się okapem nad zwyczajną ziemią. Wsparłszy plecy o potężny korzeń, ułożył laskę na kolanach. Zamknął oczy, i jakby

odpoczywał. Musiał teraz wysłać duchowe posłanie ponad wzgórzami i polami Roke, na północ, ku atakowanemu przez morze przylądkowi, gdzie wznosi się Samotna Wieża.

– Kurremkarmerruk – powiedział w duchu, a Mistrz Dawca Imion uniósł wzrok znad grubej książki zawierającej prawdziwe nazwy korzeni, ziół, liści, nasion i płatków, które odczytywał swoim uczniom i rzekł. – Tu jestem, mój panie.

A potem zmienił się w słuch – wysoki, chudy, stary mężczyzna z białymi włosami pod ciemnym kapturem. Studenci przy swoich pulpitych w komnacie w wieży spojrzeli na niego, a potem po sobie nawzajem.

– Przybędę – powiedział Kurremkarmerruk, i pochyliwszy głowę nad księgą zwrócił się do uczniów. – I tak płatek kwiatu dzikiego czosnku ma swoją nazwę – iebera, a także działka kielicha – partonath, również łodyga, liść i korzeń – wszystkie one mają swoje prawdziwe nazwy...

Pod swoim drzewem Ged Arcymag, który znał prawdziwe imię każdej cząstki dzikiego czosnku nie słuchał już tego, tylko wyciągnął wygodnie nogi i zapadł w sen. Spał spowity światłem, między nakrapianymi cieniem liśćmi.

2. MISTRZOWIE ROKE

Szkoła na Roke była miejscem, do którego przysyłano ze wszystkich Łądów Wewnętrznych Ziemiomorza chłopców wykazujących zdolności czarów, aby poznali najgłębsze tajniki sztuki magicznej. Tutaj stawali się biegli w różnych rodzajach czarów. Poznawali nazwy, runy, sposoby zaklęć, wszystko co powinno i czego nie powinno się robić i dlaczego. Tam, po długiej praktyce, jeśli tylko zdolności rąk, ducha i umysłu szły w parze ze sobą, mogli otrzymać godność czarodzieja i łaskę mocy. Tylko na Roke kształciło się prawdziwych czarodziei, a ponieważ byli oni potrzebni na każdej wyspie, praktykowanie magii stało się dla ludzi tak niezbędne jak chleb i tak miłe jak muzyka. Szkoła Czarów cieszyła się wielkim poważaniem. Dziewięciu Magów, Mistrzów Szkoły uważano za równych wielkim księcom Archipelagu. Zaś ich Mistrz, Strażnik Roke, Arcymag, nie odpowiadał przed nikim, za wyjątkiem Króla Wszystkich Wysp, a i to tylko z poczucia wierności i dobroci serca. Nawet Król nie mógłby zmusić tak wielkiego maga do przestrzegania zwykłego prawa, jeśli jego wola byłaby inna. Przez stulecia bezkrólewia Arcymagowie z Roke dochowywali wierności i służyli prawu. Wszystko na Roke działało się od wieków bez zmian – szkoła zdawała się być wyzbyta wszelkich kłopotów, a śmiech chłopców dźwięczał echem wśród dziedzińców i szerokich, chłodnych korytarzy Wielkiego Domu.

Przewodnikiem Arrena po Szkole był krępy chłopak, którego płaszcz spinała pod szyją srebrna brosza – znak, że zakończył nowicjat i jest promowanym czarodziejem starającym się o łaskę. Na imię miał Hazard. – Moi rodzice mieli sześć córek – wyjaśnił – więc siódme dziecko, jak powiedział mój ojciec, to igranie z losem, czysty hazard.

Był miłym towarzyszem, bystrym i wygadany. Kiedy indziej Arrena cieszyłoby jego poczucie humoru, lecz ten dzień dostarczył mu aż nadto wrażeń. Prawdę mówiąc, niemal go nie słuchał. A Hazard, z naturalnej potrzeby zwrócenia na siebie uwagi, zaczął wykorzystywać roztargnienie gościa. Najpierw opowiadał mu o Szkole różne dziwne rzeczy, potem różne dziwne kłamstwa. A na to wszystko Arren odpowiadał tylko "tak" lub "rozumiem", aż Hazard pomyślał, że ma do czynienia z wyjątkowym głupcem.

– Oczywiście oni tutaj nic nie gotują – wyjaśnił, oprowadzając Arrena po ogromnej kamiennej kuchni, pełnej życia w blasku miedzianych kotłów, stukocie tasaków i szczypiącym w oczy zapachu cebuli.

– To tylko na pokaz. Zbieramy się w refektarzu i każdy wyczarowuje sobie to, na co ma ochotę. A jaka oszczędność na zmywaniu!

– Tak, rozumiem – odparł grzecznie Arren.

– Oczywiście nowicjusze, którzy nie umieją jeszcze odpowiednich zaklęć, w pierwszych miesiącach pobytu tutaj tracą sporo na wadze, ale w końcu się uczą. Jest tu pewien chłopak z Havnor, który stale próbuje wyczarować pieczone kurczę, lecz wciąż wychodzi mu kasza jaglana. Jakoś nie bardzo może sięgnąć czarami poza tę kaszę. Wczoraj udało mu się z suszonym łupaczem.

Hazard aż ochrypl od wysiłku, z jakim próbował wzbudzić w swym gościu choć odrobinę zdumienia lub niedowierzania, w końcu zrezygnował i zamilkł.

– Skąd... z jakiego kraju pochodzi Arcymag? – zapytał Arren, nawet nie raczywszy rzucić okiem na wspaniałą galerię, którą właśnie szli, miejsce o pięknie rzeźbionych ścianach i łukowym sklepieniu, wyobrażającym Drzewo Tysiąca Liści.

– Z Gont – odparł Hazard. – Był tam wioskowym pastuchem kóz.

Ten prosty i zwyczajny fakt sprawił, że chłopiec z Enlad spojrział na Hazarda z niedowierzaniem i zarazem potępieniem.

– Pastuchem kóz?

– Większość Gontyjczyków to pastuchy, wyjąwszy piratów i czarodziei. Nie powiedziałem, że jest pastuchem teraz!

– Lecz jak pastuch może zostać Arcymagiem?

– Tak samo jak i książę! Wystarczy, że przybędzie na Roke i przewyższy wszystkich Mistrzów, wykradnie Pierścień z Atuanu, przepłynie Smoczy Szlak i stanie się największym czarodziejem od czasów Errwtha-Akbe – jakże inaczej?

Wyszli z galerii północnymi drzwiami. Zaorane zbocza wzgórz, dachy miasta Thwil i daleka zatoka tonęły w ciepłe i blasku późnego popołudnia. Zatrzymali się, aby porozmawiać.

– Oczywiście było to już dawno temu – ciągnął Hazard. – Nie zrobił wiele od czasu, kiedy został Arcymagiem. Zresztą oni nigdy nic nie robią. Przypuszczam, że siedzą na Roke i pilnują Równowagi. A poza tym on jest całkiem stary.

– Stary? Ile ma lat?

– Och, czterdzieści lub pięćdziesiąt.

– Widziałeś go?

– Oczywiście, że go widziałem – odpowiedział szorstko Hazard. Wyjątkowy głupiec okazał się również wyjątkowym snobem.

– Czy często go spotykasz?

– Nie. On trzyma się z dala. Lecz w dniu, kiedy przybyłem na Roke, widziałem go na Dziańcu Fontanny.

– Właśnie tam dzisiaj z nim rozmawiałem – powiedział Arren. Jego ton sprawił, że Hazard spojrział na niego i udzielił wyczerpującej odpowiedzi.

– To było trzy lata temu. Tak byłem przestraszony, że nawet na niego nie spojrzełem. Oczywiście byłem bardzo młody. A poza tym trudno tam cokolwiek wyraźnie dostrzec. Przede wszystkim pamiętam jego głos i szmer fontanny. Po chwili dodał – ma gontyjski akcent.

– Gdybym umiał rozmawiać ze smokami w ich własnym języku, byłoby mi obojętne, jaki ma akcent – odparł Arren.

Gdy to powiedział, Hazard spojrział na niego z większą sympatią i zapytał. – Czy przybyłeś tutaj, aby wstąpić do szkoły, książę?

– Nie, przywiozłem Arcymagowi wieści od mego ojca.

– Enlad jest jednym z Księstw Królestwa, czyż nie?

– Enlad, Hien i Way. Niegdyś jeszcze Havnor i Ea, ale linia królewska wygasła na tych wyspach. Hien wywodzi swych panujących od Gemala z Morza Urodzonego Przez Mahariona. Way od Akambara i Rodu Shelieth. Enlad, najstarsze księstwo, od Morreda, przez jego syna Serriadha i Ród Enlad.

Arren recytował te genealogiczne powiązania z rozmarzoną miną ucznia wypowiadającego zadaną lekcję, lecz myślami błędził gdzie indziej.

– Jak sądzisz, czy dożyjemy dnia, kiedy Król znowu zasiądzie na swoim tronie w Havnor?

– Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem.

– Na Ark, skąd pochodzę, ludzie wiele o tym myślą. Jak wiesz, od czasu, gdy zawarto pokój, jesteśmy częścią Księstwa Hien. Ile to już lat minęło, siedemnaście lub osiemnaście, od czasu kiedy Pierścień Znak Królewskiego powrócił do Wieży Królów w Havnor? Krótco potem było lepiej, lecz teraz jest znowu gorzej, gorzej niż kiedykolwiek. Najwyższy czas, aby na tronie Ziemiomorza znowu zasiadł król dzierżący Znak Pokoju. Ludzie są zmęczeni wojnami i najezdami, kupcami, którzy żądają zbyt wysokich cen, książętami, którzy nakładają zbyt wysokie podatki i całym tym chaosem, wynikającym z nieudolnych rządów. Roke przewodzi, lecz nie może rządzić. Tu znajduje się ośrodek Równowagi, lecz Władza winna spoczywać w królewskich rękach.

Hazard mówił z prawdziwym przejęciem, odrzuciwszy wszelkie błazeństwa, aż w końcu udało mu się przykuć uwagę Arrena.

– Enlad jest bogatym i spokojnym krajem – rzekł wolno młody książę. – Nigdy nie brał udziału w żadnych realizacjach. Słyszeliśmy o kłopotach na innych wyspach. Lecz trzeba pamiętać, że od ośmiuset lat – od śmierci Mahariona – tron Króla Havnor stoi pusty. I gdyby teraz się pojawił nowy władca, czy wszystkie wyspy uznałyby go?

– Gdyby przybył w pokoju i sile, gdyby Roke i Havnor uznały jego prawo...

– Lecz jeszcze proroctwo, które musi się spełnić, czyż nie? Maharion powiedział, że następny król musi być magiem.

– Mistrz Kantor pochodzi z Havnor, interesuje się tą sprawą i od trzech lat wciąż wbija nam do głów słowa przepowiedni. Maharion powiedział tak: Ten odziedziczy tron mój, kto żywy przemierzy ciemną krainę i dotrze do dalekich brzegów dnia.

– Zatem mag.

– Tak, bowiem tylko czarodziej lub mag może zejść do krainy zmarłych i stamtąd powrócić. Powrócić – tak, lecz nie – przemierzyć. Przecież wszyscy zawsze mówią o niej, że ma tylko jedną granicę, a poza tym nic, żadnego kresu. Więc czym są te dalekie brzegi dnia? Tak brzmi proroctwo Ostatniego Króla, przeto któregoś dnia narodzi się ktoś, kto je wypełni. Roke uzna go i przybędą do niego wszystkie wojska, floty i narody. I znowu w centrum świata, w Wieży Królów w Havnor zapanuje majestat królewski. A ja przybyłbym tam i służył prawdziwemu królowi całym moim sercem i sztuką.

Hazard zakończył z zapalem i zaraz roześmiał się, wruszywszy ramionami, aby Arren nie pomyślał przypadkiem, że się nadmiernie przejął. Lecz Arren spoglądał na niego z życzliwością, myśląc "Czułby do króla to samo, co ja czuję do Arcymaga". Jednak głośno powiedział tylko: – Król powinien mieć wokół siebie takich ludzi jak ty.

Stali – każdy pogrążony we własnych myślach, czując jednak zawiązaną między nimi nić porozumienia – dopóki w Wielkim Domu nie zabrzmiał dźwięczny gong.

– Proszę! – ocknął się Hazard. – Dziś na kolację soczewica i zupa cebulowa. Chodźmy.

– Wydawało mi się, iż mówiłeś, że tutaj nic nie gotują – zdziwił się Arren, wciąż rozmarzony, podążając za swoim towarzyszem.

– Och, czasami im się zdarza... przez pomyłkę...

Kolacja była obfita, konkretna, i nie miała nic wspólnego z magią. Gdy zjedli, wyszli na spacer. Szli przez pola pogrążone w delikatnym, błękitnym zmierzchu.

To jest Pagórek Roke – powiedział Hazard, gdy zaczęli się wspinać na okrągłe wzgórze. Pokryta wieczorną rosą trawa muskała ich nogi, a z dołu, od bagnistej Thwilburn, słychać było chór ropuch, witających pierwsze ocieplenie i coraz krótsze, gwiazdziste noce.

Było coś tajemniczego w tym kawałku ziemi.

– To wzgórze pierwsze wyłoniło się z morza, kiedy wypowiedziano Pierwsze Słowo – rzekł cicho Hazard.

– I ostatnie się zanurzy, kiedy nadejdzie czas odtwarzania rzeczy – odparł Arren.

– Zatem jest to bezpieczne miejsce – stwierdził Hazard, otrząsając się z dreszczu przestachu, lecz już po chwili, przejęty, krzyknął – patrz! Las!

Na południe od Pagórka pojawiło się na ziemi silne światło, jak gdyby kładł się tam blask wschodzącego księżyca. Lecz była to tylko złuda, gdyż cienki sierp właśnie chylił się ku zachodowi nad szczytem wzgórza. W promieniach tego światła widać było jakieś drzenie, podobne do ruchu liści na wietrze.

– Skąd to światło?

– Wydobywa się z Lasu – muszą tam być Mistrzowie. Podobno płonął on takim światłem, zbliżonym do światła księżyca, kiedy spotkali się tam pięć lat temu, aby wybrać Arcymaga. Ale dlaczego zebrali się teraz? Czy to nie z powodu wieści, jakie przywiozłeś?

– Być może – odparł Arren.

Hazard podniecony niespokojnie, chciał natychmiast wracać do Wielkiego Domu, aby wysłuchać wszelkich pogłosek o tym, co też może wróżyć tak nagle zebrana Rada Mistrzów. Arren ruszył z nim, lecz często oglądał się za siebie, patrząc na dziwne, promieniujące światło, dopóki nie skryło go zbocze wzgórza, pozostawiając tylko zachodzący w nowiu księżyc i wiosenne gwiazdy.

Leżał z otwartymi oczyma, sam w ciemności kamiennej celi, przeznaczonej na sypialnię. Przez całe swe życie spał na łóżku pod miękkimi futrami. Nawet na dwudziesto-wiosłowej galerze, na pokładzie której przybył z Enlad, zapewniono młodemu księciu większe wygody niż tutaj: słomiany siennik na kamiennej podłodze i wystrzępiony, wołokowy koc. Lecz było mu to zupełnie obojętne. Jestem w samym centrum świata – myślał – Mistrzowie naradzają się w świętym miejscu. Co postanowią? Czy utkają czar po to, by uratować magię? Czy to prawda, że czary na świecie wymierają? Czy istnieje niebezpieczeństwo, które zagraża nawet Roke? Zostanę tutaj. Nie wrócę do domu. Wolę zamiatać jego pokój niż być księciem na Enlad. Czy pozwoli mi zostać i rozpocząć nowicjat? A może nie będzie już więcej nauczania sztuki magicznej i prawdziwych imion rzeczy? Mój ojciec ma dar czynienia czarów, lecz ja nie, być może sztuka magiczna rzeczywiście zamiera na świecie. Chcę jednak zostać z nim, nawet gdyby stracił całą swoją moc i sztukę. Nawet gdybym miał go już nie zobaczyć. Nawet gdyby nie odezwał się do mnie słowem.

Rozpalona wyobraźnia poniosła go dalej i w jednej chwili Arren zobaczył znowu siebie, stojącego twarzą w twarz z Arcymagiem na dziedzińcu pod jarzębiną. Niebo zasnuwała ciemność, drzewa stały bezlistne, a fontanna milczała. "Panie, wokół nas sztorm; lecz ja zostanę z tobą i będę ci służył" – i wtedy Arcymag uśmiechnął się do niego... Lecz tu wyobraźnia zawiodła go, gdyż nie potrafił dostrzec uśmiechu na ciemnej twarzy.

Wstał o świcie czując, że wczoraj był jeszcze chłopcem, lecz dziś jest już mężczyzną. Był gotów na wszystko, ale gdy przyszło co do czego, stał patrząc bezmyślnie z otwartymi ustami.

– Książę Arrenie, Arcymag pragnie z tobą mówić – wiadomość tę przekazał mu od drzwi nieznany nowicjusz; poczekał chwilę, lecz umknął zanim Arren zdołał zebrać myśli, aby mu odpowiedzieć.

Zszedł z wieży i kamiennymi korytarzami udał się w stronę Dziedzińca Fontanny, nie wiedząc dokąd powinien iść. W korytarzu spotkał starego mężczyznę z miłym uśmiechem na twarzy,

złobiącym głębokie bruzdy na policzkach. Był to ten sam człowiek, który powitał go poprzedniego dnia, gdy Arren, spiesząc do portu po raz pierwszy stanął w drzwiach Wielkiego Domu, i który, zanim go wpuścił, zażądał, aby powiedział mu swoje prawdziwe imię.

– Tędy – rzekł Mistrz Odźwierny.

Sale i korytarze tej części Domu pogrążone były w ciszy, wolne od chłopięcej wrzawy i zgiełku, ożywiających pozostałą część budynku. Tutaj czuło się wiek murów, a czar użyty do ułożenia i ochrony prastarych kamiennych bloków był wręcz namacalny.

Na ścianach, w pewnych odstępach od siebie widniały głęboko wyryte w kamieniu znaki runiczne. Niektóre z nich inkrustowane były srebrem. Ojciec nauczył Arrena Runów Hardu, lecz żaden z tu wyrytych nie był mu znany, choć odnosił wrażenie, że niektóre gdzieś już widział, innych zaś nie mógł sobie wyraźnie przypomnieć.

– To tutaj, chłopcze – powiedział Odźwierny, który najwidoczniej nie przykładał wagi do tytułów takich jak "książę" czy "pan".

Arren wszedł za nim do długiej sali o nisko belkowanym stropie, gdzie z jednej strony dębowa podłoga odbijała blask płonącego w kominku ognia, z drugiej zaś ostrołukie okna wpuszczały gęste światło mglistego poranka. Przy kominku stała grupa mężczyzn. Spojrzeli na niego kiedy wchodził, lecz on widział wśród nich tylko jednego – Arcymaga. Zatrzymał się, skłonił i stanął oniemiały.

– Arrenie, to są Mistrzowie Roke – przedstawił ich Arcymag. – Siedmiu z dziewięciu. Tkacz nie chciał opuścić Lasu, a Dawca Imion jest w swojej wieży, trzydzieści mil stąd na północ. Wszyscy jednak znają sprawę, z jaką tutaj przybyłeś, panowie, oto syn Morreda.

Słowa te nie wzbudziły w Arrenie żadnej dumy, a jedynie nieokreślony lęk. Oczywiście był dumny ze swego pochodzenia, lecz o sobie myślał jedynie jako o potomku książąt, jednym z rodu Enlad. Morred, od którego wywodzi się jego ród, nie żył od dwóch tysięcy lat. Jego czyny należały do legendy, a nie do obecnego świata. Brzmiało to tak, jak gdyby Arcymag nazwał go synem mitu, dziedzicem marzeń.

Nie śmiał spojrzeć w twarz ośmiu mężczyznom. Wpatrywał się w okuty żelazem koniec laski Arcymaga i czuł jak krew pulsuje mu w skroniach.

– Zjedzmy razem śniadanie – powiedział Arcymag i poprowadził ich do stołu ustawionego pod oknami. Było tam mleko, gorzkie piwo, chleb, świeże masło i ser. Arren usiadł z innymi i zaczął jeść.

Całe swoje życie spędził wśród szlachty, właścicieli ziemskich i bogatych kupców. Pałac jego ojca w Berili był pełen ludzi bogatych w rzeczy tego świata, którzy wiele posiadali, wiele sprzedawali i kupowali. Jedli wyszukane potrawy, pili wino i głośno rozmawiali. Wielu dyskutowało, wielu schlebiało, a większość szukała czegoś dla siebie. Mimo młodego wieku Arren wiele się już nauczył o zwyczajach i pozorach stanowiących naturę ludzkości. Lecz nigdy jeszcze nie był wśród ludzi takich, jak ci. Jedli chleb, mówili niewiele, a ich twarze były spokojne. Jeśli czegoś szukali, to z pewnością nie dla siebie. Jednak byli to ludzie obdarzeni wielką mocą – Arren rozpoznał to od razu.

Krogulec – Arcymag, siedział u szczytu stołu i choć zdawał się słuchać wszystkiego co mówiono, to jednak otaczała go cisza i nikt nie odzywał się do niego. Arrena też pozostawiono samego sobie, tak że miał czas przyjść do siebie. Po jego lewej ręce siedział Odźwierny, a po prawej siwowłosa mężczyzna o łagodnym spojrzeniu, który w końcu odezwał się do Arrena:

– Jesteśmy rodakami, książę. Urodziłem się na wschodnim Enlad, niedaleko Lasu Aol.

– Polowałem w tym lesie – odparł Arren. Przez chwilę rozmawiali o lasach i miastach Wyspy

Mitów, aż wspomnienie rodzinnych stron podniosło Arrena na duchu.

Kiedy zjedli, zebrali się znowu przed kominkiem, niektórzy siedząc, inni stojąc. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

– Ostatniej nocy – zaczął Arcymag – zebraliśmy się na naradę. Długo rozmawialiśmy, lecz niczego nie postanowiliśmy. Teraz, w świetle poranka, chciałbym usłyszeć czy podtrzymujecie, czy też odrzucacie swoje wczorajsze sądy.

– To, że niczego nie postanowiliśmy – rzekł Mistrz Zielarz, krępy, ciemnowłosy, o spokojnych oczach – samo w sobie jest sądem. W lesie można znaleźć wzory, lecz my nie znaleźliśmy niczego oprócz sporu.

– Tylko dlatego, że nie widzieliśmy wzoru wyraźnie – powiedział siwowłosy mag z Enlad, Mistrz Zmian. – Wiemy za mało. Pogłoski z Wathort, wieści z Enlad. Dziwne wieści, godne uwagi. Lecz niepotrzebnie wznieca się tak wielki strach, na tak wątych podstawach. Nasza moc nie może być zagrożona tylko dlatego, że paru czarodziei zapomniało swoich zaklęć.

– I ja tak sądzę – poparł go szczupły, bystrooki Mistrz Klucznik.

– Czy ubyło coś z naszej mocy? Czy Drzewa w Lesie nie rosną i nie wypuszczają liści? Czy burze na niebie nie słuchają naszych słów? Któż może bać się o sztukę czarów, najstarszą ze wszystkich kunsztów ludzkości?

– Żaden człowiek – odezwał się Mistrz Herold, młody, szczupły, o głębokim głosie i ciemnej, szlachetnej twarzy – żaden człowiek i żadna moc nie jest w stanie powstrzymać działania czarów ani uciszyć słów mocy. Są to bowiem prawdziwe słowa Tworzenia i ten, kto mógłby je uciszyć, mógłby również odtworzyć świat.

– Tak – zgodził się Mistrz Zmian – i z pewnością nie byłoby go na Wathort czy Nerveduen. Byłby tu, u wrót Roke i koniec świata byłby bliski. Jednak nie doszło jeszcze do tego.

– A jednak coś jest nie tak – odezwał się następny i wszyscy spojrzeli na niego. Był to mąż o szerokiej piersi, solidny jak dębowa beczka. Siedział przy ogniu, a jego głos brzmiał tak łagodnie i czysto, jak dźwięk wielkiego dzwonu. Był to Mistrz Kantor. – Gdzie jest Król, który powinien zasiadać na swym tronie w Havnor? Roke nie jest sercem świata. Jest nim ta wieża, na której osadzono miecz Erretha-Akbe, i w której stoi tron Serriadha, Akambara i Mahariona. Od ośmiuset lat serce świata jest puste! Mamy koronę, lecz nie mamy króla, który by ją założył.

Mamy Zagubiony Run, Run Władzy Królewskiej, Znak Pokoju, odzyskany dla nas, lecz czy mamy pokój? Niech Król zasiądzie na tronie, a wówczas zapanuje pokój i nawet na najdalszych Rubieżach czarodzieje będą w spokoju praktykować swą sztukę, nastanie porządek i właściwy czas dla każdej rzeczy.

– Tak – przyznał Mistrz Złota Ręka, drobny, żywy, skromny w zachowaniu, o czystych i rozumnych oczach. – Zgadzam się z tobą, Mistrzu Kantorze. – Czy należy się dziwić, że czary schodzą na manowce, jeśli wszystko schodzi na manowce? Jeśli zbłądzi całe stado, czy czarna owca pozostanie w owczarni?

Słyszac to Odźwierny roześmiał się, lecz nie powiedział ani słowa.

– Zatem uważacie – odezwał się Arcymag – że nic złego się nie dzieje, a jeśli tak, to przyczyna leży w tym, że nasze kraje są źle kierowane lub wręcz pozbawione rządów i dlatego wszystkie sztuki oraz kunszty ludzi zostały zaniedbane. Z tym się zgadzam. Rzeczywiście tak jest, i dlatego musimy polegać na pogłoskach. Bo przecież na południu nie ma pokojowego handlu, a któż może bezpiecznie dostarczyć wieści z Zachodu, wyjąwszy te z Narveduen? Gdyby nasze statki wracały z wypraw

bezpiecznie jak niegdyś, gdyby pomiędzy wyspami Ziemiomorza istniała ścisła więź, wiedzielibyśmy co dzieje się w odległych miejscach i moglibyśmy działać. I sądzę, że teraz też powinniśmy działać! Gdyż, moi panowie, jeśli Książę Enlad – jak nam przekazano – wypowiada w zaklęciu słowa Tworzenia i nawet nie rozumie ich znaczenia, jeśli Mistrz Tkacz mówi, że strach jest w korzeniach i nic więcej nie chce powiedzieć – czyż to jest nikła podstawa do niepokoju? Sztorm też zwiastuje zrazu tylko niewielka chmurka na horyzoncie.

– Masz dar wyczuwania nieszczęść, Krogulcze – stwierdził Odźwierny. – Zawsze miałeś. Jak sądzisz, dlaczego tak źle się dzieje?

– Nie wiem. Osłabiona moc. Brak zdecydowania.

Przyćmione słońce. Czuję, moi panowie, czuję się tak jakbyśmy my wszyscy, którzy tutaj siedzimy i rozmawiamy, byli śmiertelnie ranni i jakby powoli wyciekała nam krew z żył...

– A ty chciałbyś nie siedzieć, tylko działać.

– Chciałbym – odparł Arcymag.

– Cóż – powiedział Odźwierny. – Czyż sowa powstrzyma sokoła przed lotem?

– Ale gdzie chcesz się udać? – zapytał Mistrz Zmian, a Kantor odpowiedział mu. – Odszukać Króla i sprowadzić go na tron.

Arcymag spojrzał badawczo na Kantora, lecz odrzekł tylko. – Pójdę tam, gdzie dzieje się zło.

– Zatem na południe lub na zachód.

– Na północ i na wschód, jeśli zajdzie potrzeba – dodał Odźwierny.

– Lecz ty jesteś potrzebny tutaj, mój panie – zaprotestował Mistrz Zmian. – Czy nie lepiej, zamiast szukać po omacku wśród nieprzyjaznych ludów i obcych mórz, zostać tutaj, gdzie magia jest potężna i mocą swej sztuki dowiedzieć się, w czym tkwi zło i chaos?

– Moja sztuka nie zdaje się na nic – odparł Arcymag. Było coś w jego głosie, co kazało im spojrzeć na niego poważnie i z niepokojem. – Jestem Strażnikiem Roke i niełatwo przychodzi mi opuścić wyspę. Chciałbym, aby wasze zamiary były takie same jak moje, ale na to nie ma teraz nadziei. Osąd należy do mnie: muszę iść.

– Poddajemy się temu sądowi – powiedział Herold.

– Idę sam. Wy stanowicie Radę Roke, a ona nie może się rozpaść. Jednak wezmę kogoś ze sobą, jeśli zechce pójść. – Spojrzał na Arrena. – Wczoraj ofiarowałeś mi swą służbę. Tej nocy Mistrz Tkacz powiedział: nikt nie przybywa przypadkowo do brzegów Roke. Nieprzypadkowo też syn Morreda jest posłańcem w tej sprawie. I przez całą noc nie chciał powiedzieć nic więcej. Więc pytam cię, Arrenie, czy pójdziesz ze mną.

– Tak, mój panie – odparł Arren, któremu zaschło w gardle.

– Książę, twój ojciec z pewnością nie pozwoliłby ci wyruszyć na tak niebezpieczną wyprawę – zaprotestował ostrym tonem Mistrz Zmian, a potem zwrócił się do Arcymaga – chłopiec jest młody i nie szkolony w czarach.

– Mych lat i czarów starczy dla nas obu – odparł Arcymag. – Arrenie, co zrobiłby ojciec?

– Puściłby mnie.

– Skąd możesz wiedzieć? – zapytał Herold.

Arren nie wiedział, dokąd każą mu pójść ani kiedy, ani dlaczego. Był oszołomiony i zmieszany w obecności tych poważnych prawych, mężczyzn. Gdyby miał czas pomyśleć, z pewnością nie

powiedziałaby ani słowa. Lecz nie zdążył zastanowić się, gdy Arcymag zapytał go: – Czy pójdziesz ze mną?

– Kiedy mój ojciec wysyłał mnie tutaj, powiedział: "Boję się, że nadchodzi zły czas dla świata, czas niebezpieczeństw. Wolę posłać ciebie niż kogo innego, gdyż ty będziesz w stanie osądzić, czy w tej sprawie my powinniśmy prosić o pomoc Wyspę Wtajemniczonych, czy też sami ją ofiarować". Skoro więc jestem potrzebny, oddaję się w twoją służbę, panie.

Zobaczył przelotny uśmiech na twarzy Arcymaga.

– Słyszeliście – zwrócił się do siedmiu magów – czy wiek lub znajomość czarów mogłyby tu coś dodać?

Arren czuł, że tamci patrzą na niego z aprobatą, lecz w dalszym ciągu ich wzrok wyrażał coś w rodzaju zamyślenia lub zdziwienia. Odezwał się Herold, tak marszcząc wygięte w łuk brwi, aż utworzyły linię prostą. – Nie rozumiem tego, mój panie. Jesteś zdecydowany wyruszyć – dobrze. Byłeś tu więziony jak w klatce przez pięć lat. Lecz zawsze przedtem byłeś sam. Dlaczego teraz chcesz wyruszyć z towarzyszem?

– Gdyż nigdy przedtem nie potrzebowałem pomocy – odparł Krogulec, a w jego głosie zabrzmiało echo groźby czy też ironii. – Poza tym znalazłem odpowiedniego towarzysza. – Otaczała go aura niebezpieczeństwa i Herold nie zadawał mu już więcej pytań, choć wciąż miał niezadowoloną minę.

Wtedy Mistrz Zielarz, którego spokojne oczy i ciemna skóra czyniły podobnym do mądrego, cierpliwego wołu, podniósł się i stanął jak posąg. – Idź, mój panie – powiedział – i zabierz chłopca. Cała nasza ufność będzie z tobą.

Pozostali po kolei dawali ciche przyzwolenia i pojedynczo lub parami opuszczali komnatę, aż w końcu ze wszystkich siedmiu pozostał tylko Herold.

– Krogulcze – odezwał się – nie kwestionuję twego osądu. Powiem tylko, że jeżeli masz rację, jeżeli rzeczywiście Równowaga została naruszona i niebezpieczeństwo wielkiego zła jest bliskie, wówczas podróż na Wathort czy na Rubieże Zachodnie, lub nawet na koniec świata, nie jest zbyt daleka. Dokądkolwiek jednak się udasz, zabierzesz tam swego przyjaciela. Czy będzie to wobec niego uczciwe?

Stali z dala od Arrena i Herold zniżył głos, jednak Arcymag odpowiedział otwarcie. – Uczciwe.

– Nie mówisz mi wszystkiego, co wiesz – rzekł Herold.

– Gdybym wiedział, powiedziałbym ci. Nie wiem nic, wiele się domyślam.

– Pozwól mi pójść z tobą.

– Ktoś musi strzec wrót.

– To rola Odźwiernego...

– Nie tylko wrót Roke. Zostań tutaj i obserwuj, czy słońce wstaje jasne o poranku, przyglądaj się kamiennemu murowi: kto go przekracza i w którą stronę zwrócona jest jego twarz. Gdzieś powstał wyłom, Thorionie, gdzieś jest luka, rana i właśnie jej idę szukać. Jeśli mnie się nie uda, być może ty ją znajdziesz. Lecz czekaj. Nakazuję ci, abyś czekał na mnie. – Mówił teraz w Starej Mowie, języku Tworzenia, języku w którym tką się wszystkie prawdziwe zaklęcia, na którym opierają się wszystkie akty wielkiej magii, lecz który niezwykle rzadko jest używany w zwykłej rozmowie, chyba że pomiędzy smokami. Herold nie wysuwał już innych argumentów, ani nie protestował, tylko skłonił spokojną głowę przed Arcymagiem i Arrenem, po czym wyszedł.

Nie było słyhać nic oprócz trzaskania ognia w kominku. Za oknami kłębiła się mgła – mętna i

bezkształtna.

Arcymag wpatrywał się w płomienie, jak gdyby zapomniał o obecności Arrena. Chłopiec stał w pewnej odległości od kominka. Nie wiedział, czy sam powinien wyjść, czy czekać, aż go odprawi. Był niezdecydowany i strapiony. Czuł się znowu jak maleńka figurka w nieokreślonej, ciemnej i bezmiernej przestrzeni.

– Najpierw udamy się do Miasta Hort – przemówił Krogulec, odwracając się plecami do ognia. – To miejsce dokąd napływają wieści z całego obszaru Rubieży Południowych. Może tam dowiemy się, gdzie i czego szukać. Twój statek wciąż czeka w zatoce. Porozmawiaj z kapitanem, niech dostarczy wiadomości twemu ojcu. Sądzę, że powinniśmy wyruszyć tak szybko, jak to możliwe. Jutro o świcie. Przyjdź na stopnie przystani.

– Panie mój, czego... – na chwilę głos uwiązał mu w gardle. – Czego szukasz?

– Nie wiem Arrenie.

– Więc...

– Więc jak mam to znaleźć? Też nie wiem. Być może to coś znajdzie mnie. – Uśmiechnął się kątem ust do Arrena. W sącącym się z okien szarym świetle jego twarz była jak z żelaza.

– Panie mój – odezwał się Arren, a głos jego nabrał teraz mocy. – To prawda, że wywodzę się od Morreda, jeśli w ogóle można odtworzyć rodowód tak stary. I jeśli będę mógł tobie służyć, poczytam to sobie za największe szczęście i honor. Nie ma niczego, co bardziej chciałbym czynić. Lecz boję się, że wzięłeś mnie za kogoś znaczniejszego, niż jestem w rzeczywistości.

– Może – odparł Arcymag.

– Nie mam żadnych wielkich darów ani zdolności. Umiem fechtować się na krótkie i długie miecze. Umiem żeglować. Znam dworskie ludowe tańce. Umiem doprowadzić do zgody pomiędzy dwoma skłóconymi dworakami. Jestem niezłym zapaśnikiem, łucznikiem zaś słabym. Umiem śpiewać, grać na harfie i lutni. Lecz to wszystko. Nie umiem niczego poza tym. W czym mogę być ci potrzebny? Mistrz Herold ma rację...

– Ach, zauważyłeś to, czyż nie? Jest zazdrosny. Uważa, że przysługuje mu pierwszeństwo z uwagi na przywilej starszeństwa.

– I większych umiejętności, mój panie.

– Zatem wolałbyś, aby on poszedł ze mną, a nie ty?

– Nie! Lecz boję się...

– Czego się boisz?

Łzy napłynęły do oczu chłopca. – Że cię zawiodę – odparł.

Arcymag znowu odwrócił się do ognia. – Usiądź Arrenie – powiedział i chłopiec podszedł do kamiennego siedzenia w narożniku kominka. – Nie wzięłem cię za czarodzieja, ani za wojownika, ani za kogoś już w pełni ukształtowanego. Kim jesteś tego nie wiem, choć jestem zadowolony, że dajesz sobie radę z łodzią... Kim będziesz tego nie wie nikt. Lecz wiem to, co najważniejsze – jesteś synem Morreda i Serriadaha.

Arren milczał. – To prawda, mój panie – odezwał się w końcu. – Ale... – Arcymag nie przerwał mu, więc Arren musiał dokończyć zdanie. – Ale nie jestem Morredem. Jestem tylko sobą.

– Czy nie czerpiesz dumy ze swojego pochodzenia?

– Tak, jestem z niego dumny – ponieważ czyni mnie księciem, a jest to odpowiedzialność, coś czego nie można zawieść...

Arcymag skinął żywo głową. – To właśnie miałem na myśli. Wypierać się przeszłości, to znaczy wypierać się przyszłości. Człowiek nie tworzy swego przeznaczenia: albo je akceptuje, albo się go wyrzeka. Jeśli korzenie jarzębiny rosną płytko, nie utrzymają korony.

Arren uniósł wzrok zaskoczony, gdyż jego prawdziwe imię, Lebannen, oznaczało jarzębinę. Lecz Arcymag nie wymówił jego imienia.

– Twoje korzenie sięgają głęboko – ciągnął dalej. – Posiadasz moc i potrzebujesz miejsca aby się rozrastać. Oto proponuję ci, zamiast bezpiecznego powrotu do domu na Enlad, niebezpieczną wyprawę ku nieznanemu przeznaczeniu. Nie musisz iść. Wybór należy do ciebie, lecz to ja ci go proponuję. Jestem zmęczony, zmęczony bezpiecznymi miejscami, dachami i ścianami, które mnie otaczają.

Urwał nagle, spoglądając na niego przeszywającym, niewidzącym wzrokiem. Arren ujrzał głębiej wzburzenia tego człowieka i to napełniło go strachem. Jednak strach tym bardziej wyostrzył radość i to spowodowało, że z bijącym sercem odpowiedział: – Panie mój, dokonałem wyboru – idę z tobą.

Arren opuszczał Wielki Dom z sercem i umysłem pełnym zadumy i zdziwienia. Powtarzał sobie, że jest szczęśliwy, choć słowo to zdawało się nie pasować do jego nastroju. Powtarzał sobie, że Arcymag nazwał go silnym człowiekiem, człowiekiem zdolnym sprostać swemu przeznaczeniu, i że jest dumny z tej pochwały; lecz wcale nie odczuwał dumy. Dlaczego? Najpotężniejszy czarodziej świata powiedział mu: "jutro pożeglujemy ku krańcom przeznaczenia", a on skinął głową i odszedł. Czyż nie powinien odczuwać dumy? A jednak nie czuł. Czuł tylko zdziwienie.

Zszedł stromymi, krętymi uliczkami Miasta Thwil i odnalazłszy kapitana swego statku na nabrzeżu powiedział mu:

– Wy płynam jutro z Arcymagiem do Wathwort i na Rubieże Południowe. Powiedz księciu, memu ojcu, że kiedy zostanę zwolniony ze służby, wrócę do domu, do Berili.

Kapitan nie miał zadowolonej miny. Wiedział dobrze, jak księżę Enlad może przyjąć posłańca z takimi wieściami.

– Muszę mieć pismo sporządzone przez ciebie, księżę – powiedział.

Uznając słuszność takiego żądania Arren pośpieszył z powrotem do miasta. Czuł, że wszystko to musi być zrobione natychmiast. Znalazł dziwny, mały sklepik, gdzie nabył kamień z tuszem, pędzelek i kawałek miękkiego papieru, grubego jak filc. Potem wrócił pędem na nabrzeże i usiadł na skraju mola, aby napisać do rodziców. Kiedy pomyślał o matce, trzymającej w ręku ten kawałek papieru i czytającej list, ogarnął go smutek. Była pogodną, cierpliwą kobietą, lecz Arren wiedział, że to on jest źródłem jej radości, i że ona oczekuje jego szybkiego powrotu. Nic jej nie pocieszy podczas długiej nieobecności syna. List był suchy i krótki. Podpisał go znakiem miecza, opieczętował kawałkiem smoły, który wziął ze stojącego opodal kotła, i wręczył kapitanowi.

– Poczekaj – krzyknął potem, jak gdyby statek miał natychmiast odpłynąć, i pobiegł z powrotem brukowanymi uliczkami do dziwnego sklepiku. Z trudem go odnalazł, gdyż ulice Thwil były jakieś dziwne, zmienne – za każdym razem zdawały się zakręcać w zupełnie innym kierunku. W końcu trafił na właściwą ulicę i wślizgnął się do wnętrza sklepu przez zasłonę, z glinianych, czerwonych paciorków, zdobiącą wejście. Kiedy kupował tusz i papier, na tacy z kłamrami i broszkami zauważył srebrną broszkę w kształcie dzikiej róży. Jego matka miała na imię Róża.

– Biorę to – powiedział w pośpiechu, władczym tonem.

– Stara robota z Wyspy O. Widzę, że jesteś znawcą starych wyrobów – zauważył sklepikarz spoglądając wcale nie na piękną pochwę, lecz na wysłużoną rękojeść miecza Arrena. – To będzie

cztery, licząc w kości słoniowej – zakończył.

Arren zapłacił tę raczej wygórowaną cenę nie targując się – w swojej sakiewce miał wystarczającą ilość kości słoniowej, służących za pieniądze na Lądach Wewnętrznych. Zarówno pomysł przesłania matce upominku, jak i sam fakt zakupu napełniły go radością, i gdy opuszczał sklep, zuchwałym gestem położył rękę na rękojeści miecza.

Ojciec podarował mu ten miecz w przeddzień jego wyjazdu z Enlad. Przyjął go z namaszczeniem i nosił – jak gdyby miał taki obowiązek – nawet na pokładzie statku. Był dumny z jego ciężaru na biodrze, a w duchu czuł brzemień lat tego prastarego oręża i to też napawało go dumą. Przecież był to miecz Serriadha, syna Morreda i Elfarran. Nie było na świecie oręża starszego z wyjątkiem miecza Erretha-Akbe osadzonego na szczycie Wieży Królów na Havnorze. Miecz Serriadha nigdy nie leżał odłogiem, nigdy nie był ukryty, lecz zawsze noszony. I choć nie używany od stuleci, nic nie stracił ze swej mocy, był bowiem wykuty za sprawą czaru o wielkiej potędze. Legenda głosi, że nigdy nie był, to też nie mógł być, dobyty w innym celu niż obrona życia. Ani dla zaspokojenia żądzy krwi, ani chęci zysku czy zemsty, ani w żadnej wojnie zaborczej nie pozwoliłby sobą władać. Od niego to, tego największego skarbu rodziny, Arren otrzymał swe powszednie imię. Jako dziecko nazywany był Arren-dek co oznacza mały Miecz.

Nigdy jednak nie użył swego miecza, tak samo jak jego ojciec i dziadek, bowiem na Enlad od dawna panował spokój.

I teraz na ulicach tego dziwnego miasta Wyspy Czarodziej, rękojeść miecza, której dotknął, wydała mu się obca. Była zimna i nie pasowała do dłoni. Ciężar broni przeszkadzał mu w marszu – miecz włókł się za nim hamując krok. Wciąż czuł ogarniające zdziwienie, które powoli napełniało go chłodem.

Zszedł do przystani, przekazał kapitanowi broszę dla matki i pożegnał się z nim, życząc mu szczęśliwej i spokojnej drogi do domu. Odchodząc naciągnął płaszcz na pochwę, w której tkwiła stara, niezłomna broń – niosąca śmierć rzecz, którą odziedziczył. Nie czuł już żadnej zuchwałości. – Co ja tu robię? – pytał sam siebie już teraz wspinając się wąskimi uliczkami, ku warownemu Wielkiemu Domowi, który wznosił się nad miastem. – Jak to się stało, że nie wróciłem do domu? Dlaczego szukam czegoś, czego nie rozumiem, z człowiekiem, którego nie znam?

Lecz na odpowiedź nie nadszedł jeszcze czas.

3. MIASTO HORT

W ciemnościach przed świtem Arren nałożył ubranie, jakie otrzymał. – Strój żeglarza, mocno znoszony, ale czysty. Zbiegł w dół przez milczące sale Wielkiego Domu do wschodnich drzwi wyrzeźbionych z rogu i smoczego zęba. Mistrz Odźwierny wypuścił go i z uśmiechem wskazał drogę. Poszedł najwyżej położoną ulicą miasta, a potem ścieżką prowadzącą w dół do przystani, która znajdowała się nad brzegiem zatoki, na południe od doków Thwil. Mógł już rozpoznać drogę. Drzewa, dach i wzniesienia rysowały się niewyraźnymi kształtami w półmroku. Szare powietrze przedświt było nieruchome i zimne. Wszystko stało bez ruchu skurczone i ponure. Tylko na wschodzie, nad ciemnym morzem rozciągała się ledwo dostrzegalna jasna linia: horyzont pochylający się ku niewidocznemu słońcu.

Podszedł do stopni przystani. Nikogo tam nie było, nic się nie poruszało. W grubym marynarskim płaszczu i wełnianej czapce było mu ciepło. A mimo to drżał, kiedy tak stał na kamiennych stopniach, czekając w ciemności.

Ciemne budynki przystani majaczyły nad czarną wodą. Nagle rozległ się stłumiony, głuchy dźwięk – trzykrotne, huczące uderzenie. Arren poczuł, jak włosy unoszą mu się na głowie. Zobaczył długi cień sunący bezgłośnie ku niemu. Była to łódź, która, ślizgając się lekko po wodzie, zbliżyła się do mola. Zbiegł po stopniach i wskoczył do łódki.

– Weź rumpel – powiedział Arcymag – gibka i ciemna postać na dziobie – i nie ruszaj się, gdy będę podnosił żagiel.

I już płynęli z rozpostartym żaglem jak białe skrzydło u masztu, łapiącym światło wstającego dnia.

– Zachodni wiatr zaoszczędzi nam wiosłowania przez zatokę. Nie wątpię, że to prezent od Mistrza Klucznika. Zobacz chłopcze, jak lekko płynie! O tak! Zachodni wiatr i jasny poranek z okazji wiosennego Przesilenia.

– Czy to Dalekopatrząca? – Arren znał imię łodzi Arcymaga z pieśni i opowiadań.

– Tak – odparł Krogulec, zajęty linami. Łódka podskakiwała i tańczyła na falach co chwila zmieniając kierunek, gdy wiatr się wzmacniał. Arren zacisnąwszy zęby starał się zachować równowagę.

– Płynie lekko, ale cokolwiek samowolnie, panie. Arcymag roześmiał się.

– Niech płynie, jak chce – jest mądra. Słuchaj Arrenie – przerwał i uklęknął na ławce, zwróciwszy się twarzą do chłopca i ciągnął dalej. – Nie jestem już teraz panem, ani ty księciem. Jestem kupcem o imieniu Jastrząb, a ty – moim bratankiem imieniem Arren. Podróżujesz ze mną, aby poznać morza i szlaki kupieckie. Pochodzimy z Enlad. Z jakiegoś miasta? Z dużego, abyśmy nie spotkali współziomków.

– Może z Temere na południowym wybrzeżu? Arcymag skinął głową.

– Ale – zauważył roztropnie Arren – wcale nie masz akcentu z Enlad.

– Wiem, mam akcent z Gontu – przyznał jego towarzysz i uśmiechnął się. – Jednak myślę, że będę mógł pożyczyć od ciebie to, co będzie mi potrzebne. Zatem płyniemy z Temere na naszej łódce Delfin i nie jestem już panem, ani magiem, ani Krogulcem, tylko jak mam na imię?

– Jastrząb, mój panie – odpowiedział Arren i zaraz uderzył się ręką po ustach.

– Wprawiaj się bratanku – powiedział Arcymag. To wymaga praktyki. Zawsze byłeś księciem. Podczas gdy ja robiłem wiele rzeczy, a dopiero na samym końcu zostałem Arcymagiem. I być może

jest to najmniej ważne z tego wszystkiego... Płyniemy na południe szukając niebieskich kamieni emmel, na których rzeźbi się zaklęcia. Wiem, że osiągną na Enlad wysoką cenę. Używają ich do zaklęć przeciwko reumatyzmowi, zwichnięciom, zeszywnieniom karku... i przejęzyczeniom.

Dopiero po chwili Arren roześmiał się, a gdy podniósł głowę, łódź uniosła się na długiej fali i wtedy, daleko przed sobą, na krawędzi ocenu, ujrzał nagły błysk złota – skrawek słonecznej tarczy.

Krogulec stał z ręką wspartą o maszt, gdyż łódka podskakiwała na wzburzonych falach i śpiewał wpatrując się we wschodzące słońce wiosennego zrównania dnia z nocą. Arren nie znał Starej Mowy, języka czarodziei, smoków,' ale w tych słowach słyszał radość i chwałę. Czuło się w nich jakiś potężny, marszowy rytm, niby opadanie i wznoszenie się pływów na oceanie, niby równowaga pomiędzy nocą, a dniem, bez końca następującymi po sobie. Mewy krzyczały na wietrze. Z prawej i lewej strony przesuwały się brzegi Zatoki Thwil, gdy na drugich rozświetlonych falach wpłynęli na Morze Wewnętrzne.

Z Roke do Miasta Hort nie jest daleko, jednak spędzili na morzu trzy dni. Arcymag ruszał niespodziewanie w tę drogę, lecz skoro już wyruszył wprost rozpierała go niecierpliwość. Wiatry zwróciły się przeciwko nim, gdy tylko wypłynęli z zaczarowanych wód Roke, jednak Krogulec nie zaklął żagla magicznym podmuchem, jak mógłby to uczynić zwykły zaklinacz pogody. Zamiast tego poświęcił wiele czasu ucząc Arrena, jak radzić sobie z łódką przy silnym, przeciwnym wietrze na wściekle rozkołysanym morzu, na wschód od wyspy Issel. Następnej nocy padało, i chociaż był to ostry, zimny deszcz marcowy, to jednak mag nie wypowiedział żadnego zaklęcia, aby go odegnąć. Trzeciej nocy, gdy stali zakotwiczeni w spokojnej, zimnej, mglistej ciemności przed wejściem do Przystani Hort, Arren uświadomił sobie, że przez ten krótki czas jaki go zna, Arcymag nie uczynił najmniejszego czaru. Ale i tak był to niezrównany żeglarz. Arren pływając z nim w ciągu tych trzech dni nauczył się więcej, niż przez dziesięć lat regat i wyścigów po zatoce Berili.

A mag i żeglarz są niejako spokrewnieni: obaj zajmują się siłami morza, obaj zmuszają wiatry, aby im służyły, przybliżając to co oddalone. Zatem Arcymag czy kupiec morski Jastrząb, znaczyło mniej więcej to samo.

Żadna niezręczność chłopca nie irytowała go, był towarzyski i nie mogło być lepszego kompana na taką morską podróż – rozmyślał Arren. Jednak często zagłębiał się w swoje własne myśli i milczał przez wiele godzin, a potem gdy już musiał przemówić, jego głos stawał się szorstki, patrzył na Arrena tak, jakby go nie widział. Nie osłabiało to miłości jaką chłopiec czuł do niego, choć to długie milczenie było trochę przerażające. Krogulec być może czuł to, bowiem tej mglistej nocy u brzegów Wathort zaczął jakby z wahaniem opowiadać Arrenowi o sobie.

– Nie chcę iść jutro znowu między ludzi – rzekł w ciemności – udawałem przed sobą, że jestem wolny... że na świecie nie ma zła, że nie jestem Arcymagiem, ani nawet czarodziejem, że jestem Jastrzębiem z Temere nie obarczonym przywilejami ani odpowiedzialnością, nie mającym do nikogo... Przerwał, a po chwili ciągnął dalej: Spróbuj wybrać coś pewnego Arrenie wówczas, kiedy od tego wyboru tak wiele zależy. Gdy byłem młody, dokonałem wyboru pomiędzy życiem, które oznacza "być", a życiem które oznacza "czynić". Pstrąg nie spieszy się tak do muchy, jak ja spieszyłem się do tego drugiego. Jednak każdy czyn, jakiego dokonujesz, każdy akt wiąże się ze sobą i ze swoimi konsekwencjami. I czyn ten musisz ciągle i ciągle ponawiać. Zatem bardzo rzadko zdarza się taki czas jak teraz, kiedy nie musisz nic robić, możesz zatrzymać się i po prostu być. Lub też zastanawiać się kim, ostatecznie, jesteś.

Jak taki człowiek – myślał Arren – może mieć wątpliwości kim lub czym jest? Dotąd sądził, że takie wątpliwości są właściwe tylko młodym, którzy jeszcze niczego nie dokonali.

Wraz z łódką kołysali się w głębokiej, chłodnej ciemności.

– To właśnie dlatego lubię morze – rozległ się w tej ciemności głos Krogulca.

Arren rozumiał go, jednak przez te trzy dni i trzy noce stale wybiegał myślą naprzód, do tego, czego poszukiwali, do celu ich podróży. I w końcu wykorzystując chwilę, gdy jego towarzysz miał ochotę na rozmowę, zapytał.

– Czy myślisz, że w Mieście Hort znajdziemy to, czego szukamy?

Krogulec potrząsnął głową, co by – może znaczyło, że nie, a być może, że nie wie.

– Może to rodzaj zarazy lub plagi, która przenosi się z wyspy na wyspę niszcząc stada, zbiory i ludzkie dusze?

– Plaga jest naruszeniem Wielkiej Równowagi – a to jest coś innego. Czuć w tym odór zła. Naruszenie równowagi sprowadza na ludzi cierpienie, jednak w naturze rzeczy leży dążenie do odzyskania równowagi, a my nie tracimy nadziei, nie zrzekamy się naszej sztuki i nie zapominamy słów Tworzenia. Natura nie jest nienaturalna. A w tym nie ma dążenia do odzyskania równowagi, jedynie coraz większy chaos. Tylko jedno stworzenie jest zdolne tak uczynić.

– Człowiek? – zaryzykował Arren.

– My, ludzie.

– W jaki sposób?

– Przez bezgraniczne pragnienie życia.

– Życia? Ale czy pragnąć żyć, to coś złego?

– Nie. Jednak, gdy chcemy władzy nad życiem – nieskończonego bogactwa, absolutnego bezpieczeństwa, nieśmiertelności – wówczas pragnienie staje się zachłannością. Jeśli zachłanność wesprze wiedza, wtedy przychodzi zło. Wówczas to równowaga świata zostaje zachwiana i zniszczenie przeważa szalę.

Arren dumiał nad tym przez chwilę i w końcu powiedział:

– Zatem myślisz, że szukamy człowieka?

– Człowieka i maga. Tak właśnie myślę.

– A ja sądziłem, bo tak uczył mnie ojciec i nauczyciele, że najwyższe kunszty czarodziejstwa zależą od równowagi rzeczy i nie mogą być użyte do czynienia zła.

– To właśnie – odparł, krzywiąc się Krogulec – jest wątpliwe, "nieskończone są spory magów". Każda wyspa Ziemiomorza zna czarownice, które rzucają plugawe zaklęcia, czarodziei, którzy używają swej sztuki dla zdobycia bogactwa. Ale to nie wszystko. Władca Ognia, który szukał sposobu zniszczenia ciemności i wstrzymania słońca na niebie, był wielkim magiem – nawet Erreth-Akbe z ledwością się przed nim obronił. Taki sam był wróg Morreda. Gdy przychodził, całe miasta klękały przed nim, armie walczyły dla niego. Zaklęcie jakie utkał przeciwko Morredowi było tak potężne, że nawet gdy już został zabity, czar nie mógł się zatrzymać i morze zalało wyspę Solea mszcząc na niej wszystko. To byli ludzie, których wielka moc i wiedza służyły woli zła, i odżywiały ją. Czy czary, które służą lepszej sprawie, zawsze okażą się potężniejsze, tego nie wiemy. Mamy tylko nadzieję.

Było coś ponurego w znajdowaniu nadziei tam, gdzie oczekuje się pewności. Arren przyłapał się na tym, że niechętnie myśli o tych przygnębiających sprawach. Po krótkiej chwili odezwał się.

– Myślę, że rozumiem teraz dlaczego powiedziałeś, że tylko ludzie czynią zło. Nawet rekiny są niewinne – zabijają, ponieważ muszą.

– To właśnie dlatego nic nam się nie może oprzeć. Tylko jedna rzecz w świecie jest w stanie przeciwstawić się człowiekowi o złym sercu. Tym czymś jest inny człowiek. W naszej hańbie jest nasza chwała. Tylko nasz zdolny do czynienia dobra duch, jest w stanie mu się przeciwstawić.

– A smoki? – zapytał Arren – Czy nie czynią wielkiego zła? Czy są niewinne?

– Smoki! Smoki są skąpe, chciwe, zdradzieckie, bezlitosne i pozbawione skrupułów. Ale czy są złe? Kim jestem, aby sądzić czyny smoków?... Są mądrzejsze od ludzi. Z nimi jest jak ze snami, Arrenie. My ludzie śnimy sny, czynimy magię – robimy dobrze, robimy źle. Smoki nie śnią. One są snami. One nie czynią magii – to jest ich substancja, ich istota. One nie działają – one są.

– W Serilune – powiedział Arren – jest skóra Bora Oth, zabitego trzysta lat temu przez księcia Keora z Enlad. Widziałem tę skórę. Jest ciężka jak żelazo, i jak mówią, gdy jest rozciągnięta, można nią przykryć cały rynek w Serilune. Zęby są tak długie jak moje przedramię. A mówią, że Bar Oth był smokiem, nie całkiem dorosłym.

– Widzę, że pragniesz zobaczyć smoki – stwierdził Krogulec.

– Tak.

– Ich krew jest zimna i jadowita. Nie można patrzeć im prosto w oczy... – zamilkł na chwilę, a potem ciągnął dalej. – A przecież gdybym miał zapomnieć lub żałować wszystkiego co kiedykolwiek zrobiłem, to chciałbym pamiętać jedno: smoki krążące wysoko na wietrze o zachodzie słońca nad zachodnimi wyspami – i to mi wystarczy.

Zamilkli. W ciemności nie rozległ się już żaden dźwięk oprócz szeptu muskającej łódkę wody. I w końcu, kołyszac się na głębokiej wodzie, zasnęli.

W jasnej mgle poranka wpłynęli to zatoki Hort. Stało tam z górą sto statków zacumowanych lub wyciągniętych na nabrzeże: łodzie rybaków i poławiaczy krabów, statki kupieckie, dwie dwudziestowiosłowe galery, jedna – wymagająca już naprawy – wielka sześćdziesięciowiosłowa galera, i kilka wąskich, wysoko ożaglowanych statków. Trójkątne żagle tych ostatnich przystosowane były do łapania górnych wiatrów na obszarach gorącej ciszy Południowych Rubieży.

– Czy to statek wojenny? – zapytał Arren, gdy mijali jedną z dwudziestowiosłowych galer.

– Niewolniczy, sądząc po kajdanach na pokładzie – odpowiedział Krogulec. – Sprzedają ludzi na Południowe Rubieże.

Arren zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym podszedł do skrzyni i wyciągnął z niej swój miecz, który pieczołowicie zawinięty, spoczywał tam od początku ich podróży. Odwinął go ale nie wyjął z pochwy. Tak stał niezdecydowany oburącz dzierżąc broń.

– Nie wygląda na miecz kupca morskiego – powiedział. – Pochwa jest zbyt bogata.

Krogulec zajęty przy rumplu, rzucił mu krótkie spojrzenie.

– Noś go, jeśli chcesz. Myślałem, że on może wiedzieć.

– Wśród mieczy, ten jeden wie – odpowiedział jego towarzysz, uważnie obserwując szlak, którym płynęli przez zatłoczoną zatokę. – Przecież niełatwo go użyć, prawda? Arren skinął głową.

– Tak mówią. A jednak zabijał. Zabijał ludzi. – Spojrzał w dół na wysmukłą, dobrze leżącą w dłoni rękojeść. – On tak, a ja nie. To sprawia, że czuję się głupio. Jest o tyle starszy ode mnie... Wezmę nóż. – Zakończywszy raptownie i zwinąwszy miecz, schował go z powrotem głęboko w skrzyni. Na jego twarzy malował się gniew i zmieszanie. Krogulec odezwał się dopiero po chwili.

– Chwyć teraz za wiosła, chłopcze. Bierzemy kurs na molo, tam przy schodach.

Miasto Hort, jeden z siedmiu Wielkich Portów Archipelagu, wznosiło się nad hałaśliwym

nabrzeżem, mieszaniną kolorów oślepiając zbocza trzech stromych wzgórz. Gliniane domy otynkowane były na czerwono, biało, żółto i pomarańczowo. Dachy miały purpurowo czerwoną dachówkę, a kwitnące pendikowce ciągnęły się ciemnoczerwonymi masami wzdłuż wyżej położonych ulic.

Jaskrawo kolorowe, pasiaste markizy, rozciągające się między dachami, ocieniały wąskie placyki. Nabrzeże jaśniało w słonecznych promieniach, odchodzące od niego ulice wyglądały jak ciemne szczeliny wypełnione cieniami, ludźmi i zgiełkiem.

Gdy cumowali łódkę, Krogulec pochylił się obok Arrena, jak gdyby chciał sprawdzić węzeł, i powiedział.

– Arrenie, na Wathort są ludzie, którzy dość dobrze mnie znają, zatem przypatrz mi się abys wiedział jak wyglądam. – Gdy się wyprostował, na jego twarzy nie było już blizn. Włosy miał zupełnie siwe, nos gruby i nieco zadarty; zamiast cisowej laski równej jego wzrostowi, trzymał różdżkę z kości słoniowej, którą zaraz schował za koszulę.

– Nie znasz mnie? – zapytał Arrena z szerokim uśmiechem. Mówił z wyraźnym enladzkin akcentem.

– Czy nigdy przedtem nie widziałeś swego stryja?

Arren widywał czarodziei na dworze w Berili, zmieniających swoje twarze podczas przedstawiania Czynów Morreda i wiedział, że była to tylko iluzja. Nie był w ciemię bity i zdołał powiedzieć:

– Och tak, stryjku Jastrzębiu.

Jednakże, podczas gdy mag wyklócał się ze strażnikami portu o zapłatę za dokowanie i pilnowanie łódki, Arren nie spuszczał z niego wzroku. Musiał się upewnić, że go pozna. I gdy tak patrzył, zmieszanie, jakiemu uległ z powodu przeobrażenia Krogulca, zamiast zmniejszać się, wzrastało. Iluzja była aż nadto zupełna. To nie był już wcale Arcymag, mądry doradca i przewodnik...

Cena, jakiej żądali strażnicy, była wysoka i Krogulec narzekał podczas płacenia, a odchodząc z Arrenem wciąż gderał. – Oto próba mojej cierpliwości – powiedział. Płacić temu brzuchatemu złodziejowi za pilnowanie mojej łódki, kiedy i pół czaru dwa razy wystarczyłoby za tę robotę! Cóż, taka jest cena przebrania... Zapomniałem nawet jak zazwyczaj mówię, czyż nie?

Szli w górę, zatłoczonej, cuchnącej, lecz barwnej ulicy wypełnionej sklepami, niewiele większymi od straganów. Ich właściciele stali w wejściach pomiędzy stosami i pękami porozwieszanych towarów, głośno zachwalając zalety i niską cenę swoich garnków, pończoch, kapeluszy, łopat, szpilek, sakiewek, kociołków, koszy, noży, lin, płócien i wszystkich innych możliwych wyrobów z żelaza i tkaniny.

– Czy to targowisko?

– Co? – odezwał się człowiek z zadartym nosem, pochylając swoją siwą głowę.

– Czy to targowisko, stryju?

– Targowisko? Nie, nie. Tutaj jest tak przez okrągły rok. Zabierz swoje ryby kobieto! Jadłem już śniadanie! – Arren natomiast próbował uwolnić się od mężczyzny, niosącego tacę z małymi mosiężnymi flakonami, który deptał mu po piętach, skamłąc. – Jednak spróbuj, piękny, młody panie, to cię nie zawiedzie, twój oddech będzie tak wonny jak róże z Numina, oczarujesz kobiety, spróbuj tego, młody mistrzu morski, młody księciu...

Nagle pomiędzy Arrenem i handlarzem stanął Krogulec, mówiąc: Co to za czary?

– Żadne czary! Skrzywił się mężczyzna, cofając się przed nim. Nie sprzedaję czarów, mistrzu morski, tylko syropy do odświeżania oddechu czyli korzeń hazii, tylko syropy, wielki książę! – Przypadł do płyt chodnika, o który z brzękiem stuknęła jego taca. Kilka flakonów przewróciło się i Arren zobaczył wyciekające z nich różowo purpurowe krople lepkiej cieczy.

Krogulec odwrócił się bez słowa i odszedł razem z Arrenem. Wkrótce tłum przerzedził się, a kramy przeistoczyły w biedne budy, wystawiające jako wszystkie swoje towary garść pogiętych gwoździ, złamane tłuczki i stare grzebienie do wyczesywania wełny. To ubóstwo nappełniło Arrena mniejszą odrazą niż bogata część ulicy – tam był o-głuszony natłokiem rzeczy ofiarowanych do sprzedaży i głosami nakłaniającymi do kupna... Natarczywa przymilność kupców wstrząsnęła nim. Pomyślał o jasnych, chłodnych ulicach swego północnego miasta. Żaden człowiek w Berili – myślał – nie upodliłby się przed obcym tak jak ten. – Wstrętni są ci ludzie – powiedział.

– Tędy, bratanku – usłyszał za całą odpowiedź.

Skęcili w bok, w przejście pomiędzy wysokimi, czerwonymi, pozbawionymi okien ścianami domów. Biegło ono wzdłuż zbocza i przez sklepiony łuk bramy, ozdobionej zniszczonymi proporcami i wylaniało się znowu w słońcu spadzistego placu jeszcze jednego rynku zapełnionego kramami i straganami, rojącego się od ludzi i much.

Na skrajach placu siedziało lub leżało bez ruchu kilkoro ludzi – mężczyzn i kobiet. Ich usta były dziwnie czarne jakby posiniaczone, przesłonięte rojami much, przypominającymi kiście wysuszonych winogron.

– Aż tylu... – doszedł Arrena głos Krogulca, cichy i zduszony, tak jakby on też był wstrząśnięty; jednak gdy spojrział na niego, ujrzał szarą twarz dobrodusznego kupca Jastrzębia, nie wyrażającą żadnego zainteresowania.

– Co się stało tym ludziom?

– Hazia. Koi i przynosi odrętwienie, pozwala uwolnić umysł od ciała. I umysł wędruje wolny. Jednak gdy wraca do ciała, potrzebuje jeszcze więcej hazii... Łaknienie wzrasta i życie nie trwa już długo, bo hazia jest trucizną. Najpierw przychodzą drgawki, później paraliż, a w końcu śmierć.

Arren spojrział na kobietę opartą plecami o nagrzaną słońcem ścianę. Uniosła rękę, chcąc odegnać muchy z twarzy. Ręka jednak zakreśliła w powietrzu urywany, kolisty ruch, tak jakby kobieta zupełnie zapomniała o niej, a sama dłoń poruszona została przez powracającą falę paraliżu lub mimowolny skurcz mięśni. Ten gest przypominał zakłęcie pozbawione jakiegokolwiek celu, czary bez znaczenia. Jastrząb również popatrzył na kobietę nie wyrażającym niczego wzrokiem.

– Chodź! – powiedział.

Poprowadził przez rynek do ocienionego markizą straganu. Zielone, pomarańczowe, żółte, karmazynowe, błękitne pasy słonecznego światła kładły się na wystawionych tkaninach, szalach, tkanych pasach. Tańczyły mnóstwem maleńkich odbić z lusterek, które zdobiły wyniosłą, przybraną piórami głowę sprzedającej te materiały kobiety. Ta okazała kobieta zawodziła grubym głosem:

– Jedwabie, atłasy, płótna, futra, wołoki, wełny, pledy z Gontu, gazy z Sowi, jedwabie z Lorbanery! Hej, ty, człowieku z północy, zdejmij swój wełniany płaszcz, czy nie widzisz, że słońce świeci? Co takiego chcesz zawieźć do domu, do dziewczyny na dalekim Havnorze? Spójrz na to, jedwab z południa, delikatny jak skrzydła jętki! – Zręcznym ruchem rąk rozwinęła sztukę lekkiego przejrzystego jak mgła jedwabiu, różowego i mieniającego się srebrnymi nićmi.

– Nie, pani, nie mamy zamiaru poślubiać królowych – powiedział Jastrząb. W odpowiedzi głos kobiety urósł do grzmotu.

– Więc w co chcesz ubierać swoje kobiety? W worki, w płótno żaglowe? Skąpcy, którzy nie chcą kupić kawałka jedwabiu dla biednej kobiety marznącej w śniegach pomocy! Może więc kupisz pledy z Gontu, aby pomogły ci się ogrzać w zimowe noce? – Wy – rzuciła na ladę wielki, kremowo brązowy prostokąt pledu, utkanego z jedwabistej wełny kóz z północnych wysp. Udający kupca wyciągnął rękę i opuścił ją uśmiechając się.

– Jesteś Gontyjczykiem? – odezwał się grzmiący głos, a przystrojona głowa pochyliła się, posyłając tysiące kolorowych cętek, które zawirowały na markizie i rozłożonych materiałach.

– To robota Andradów, widzisz? Użyto tylko czterech nitek osnowy na szerokość palca. Na Goncie używa się sześciu albo więcej. Ale powiedz mi, dlaczego odrzuciłaś magiczne rzemiosło i zajęłaś się sprzedawaniem fatalaszek? Kiedy byłem tu przed laty widziałem cię, jak wyciągałaś ludziom płomienie z uszu, a potem zamieniałaś je w ptaki i złote kielichy. Było to lepsze zajęcie niż to.

– To w ogóle nie było zajęcie – odpowiedziała kobieta i przez chwilę Arren czuł na sobie jej oczy, nieruchome i twarde jak agat, spoglądające na niego i Jastrzębia z ogniem i wzburzeniem spod rozkołysanych piór i błyskających odbić.

– Było to jednak przyjemne, to wyciąganie ognia z uszu – powtórzył Jastrząb – jak uparte dziecko. – Myślałem, że pokażę to mojemu bratankowi.

– Posłuchaj – powiedziała kobieta głosem już mniej chrapliwym, opierając swoje szerokie, brązowe ręce i ciężkie piersi na ladzie.

– Nie robimy już więcej tych sztuczek. Ludzie ich nie chcą. Widzę, że pamiętasz moje lusterka – i podrzuciła głową tak, że odbite cętki kolorowego światła zawirowały zawrotnie wokół nich. – Możesz więc omamić ludzki umysł błyszczącymi lustrami, słowami i innymi sztuczkami, których nie chcę ci mówić, aż w końcu człowiek pomyśli, że widzi to, czego nie można zobaczyć, to, czego nie ma. Tak jak te płomienie i złote kielichy, lub te ubrania, które przyozdabiałam żeglarzom złotem i diamentami wielkimi jak morele, tak, że byli wystrojeni jak Król Wszystkich Wysp. Ale to były tylko kłamliwe omamy. Łatwo można zrobić głupców z ludzi. Są jak piskłeta zahipnotyzowane przez węża. Zaprawdę, ludzie są jak piskłeta. Ale na końcu dowiadują się, że zostali okpieni i zamroczeni, ogarnia ich gniew i nie znajdują już przyjemności w tych rzeczach. Więc zajęłam się handlem i może te jedwabie nie wszystkie są jedwabiami, może te pledy nie wszystkie pochodzą z Gontu, jednak mimo to ludzie chcą je nosić – chcą nosić! Bo są prawdziwe, a nie tkane z powietrza i kłamstw, jak te ubrania ze złota.

– Dobrze, dobrze – przytaknął Jastrząb – zatem w całym Porcie Hort nie pozostał nikt, kto wyciągałby ogień z uszu lub robił inne sztuczki magiczne?

Na jego słowa kobieta zmarszczyła brwi, wyprostowała się i zaczęła troskliwie składać pled. – Ci, którzy pragną kłamstw i wizji żują hazię – odparła. – Pogadaj z nimi, jeśli chcesz! Skłoniła głowę ku nieruchomym postaciom na skraju placu.

– Byli jednak czarodzieje, którzy zaklinali wiatry dla żeglarzy i rzucali czary chroniące ich ładunki. Czy wszyscy oni zajęli się czymś innym?

Po tych słowach kobieta w nagłej furii zaczęła krzyczeć:

– Jeśli chcesz czarodzieja, to jest tutaj jeden, naprawdę wielki czarodziej, z laską i wszystkim – widzisz go tam? Pływał z samym Egre, wzniewał wiatry i odnajdywał galery z bogatym ładunkiem, tak mówił, ale to wszystko były kłamstwa. W końcu kapitan Egre wynagrodził go należycie – odciął mu prawą rękę. A teraz siedzi tam, widzisz, z ustami pełnymi hazii i brzuchem napełnionym

powietrzem. Powietrze i kłamstwa! Powietrze i kłamstwa! Oto cała twoja magia, kapitanie Kozo!

– Dobrze, już dobrze, pani – powiedział Jastrząb z upartą łagodnością. – Tylko pytałem.

Odwróciła się z jaskrawym błyskiem wirujących odbić cętek, pokazując im swoje szerokie plecy, a Jastrząb odszedł spokojnym krokiem z Arrenem u boku.

Jego równy krok był pełen zdecydowania. Doszli w ten sposób w pobliże mężczyzny, którego wskazała im kobieta. Siedział oparty plecami o ścianę, spoglądając przed siebie niewidzącymi oczyma. Ciemna, zarośnięta twarz musiała być niegdyś bardzo piękna. Pomarszczony kikut, odciętej ręki, leżał sromotnie na kamieniach chodnika w gorącym, jasnym słonecznym świetle.

Za nimi pomiędzy straganami, powstał jakiś tumult, ale Arren, zafascynowany i zaskoczony nie mógł oderwać wzroku od mężczyzny.

– Czy on rzeczywiście był czarodziejem? – zapytał bardzo cicho.

– Może być tym, którego nazywano Zającem, i który był zaklinaczem pogody u pirata Egre. To byli sławni rabusie. Odsuń się Arrenie!

Jakiś mężczyzna wyskoczył spomiędzy kramów i biegnąc na oślep niemal ich potrafił. Inny nadbiegał kłusem uginając się pod ciężarem wielkiej, składanej tacy załadowanej sznurkami, wstążkami i koronkami. Któryś z kramów zapadł się z trzaskiem, markizy poprzewracano lub pośpiesznie pościągano. Grupa ludzi szarpiąc się i popychając, przewalała się przez rynek; głosy urastały do krzyków i wrzasków. Nad tym wszystkim górował grzmiący krzyk kobiety z przystrojoną lusterkami głową. Arren zauważył ją w przelocie, jak, dzierżąc kawałek tyczki lub żerdzi, wymachiwała szeroko na prawo i lewo, broniąc się przed grupką ludzi niby osaczony szermierz. Czy była to sprzeczka, która przerodziła się w burdę, czy napad szajki złodziei lub walka pomiędzy rywalizującymi ze sobą partiami handlarzy, tego nie można było stwierdzić. Ludzie biegali z naręczami towarów, które tak samo mogły być łupem, jak ich własnością ratowaną przed splądrowaniem. Bijatyka ogarnęła cały plac, walczono na pięści i noże.

– Tam – powiedział Arren wskazując, na boczną uliczkę, uchodzącą z placu w pobliżu nich, gdyż było jasne, iż najlepiej zrobić, wynosząc się stąd niezwłocznie; ale jego towarzysz złapał go za rękę. Arren odwrócił się i zobaczył, że Zająć usiłuje wstać. Gdy z wysiłkiem wyprostował się, przez chwilę stał na chwiejnych nogach, a potem, nie patrząc wokół siebie, ruszył wzdłuż skraju placu, przesuając zdrową ręką po ścianach domów, jak gdyby szukał drogi. – Nie spuszczaaj z niego oka – polecił Krogulec i obaj ruszyli za nim. Nikt nie zaczepił ani ich, ani mężczyzny, za którym szli. Po chwili pozostawili za sobą rynek. Szli w milczeniu w dół wąskiej i krętej uliczki.

Na górze wysunięte poddasza domów niemal stykały się ze sobą, odcinając światło, a pod stopami kamienie były śliskie od wody i śmieci. Zająć szedł szybkim krokiem, chociaż wciąż przesuwał ręką po ścianach domów jak ślepiec. Krogulec i Arren deptali mu niemal po piętach, aby nie zgubić go na skrzyżowaniach. Arrena znienacka ogarnęło podniecenie łowcy. Wszystkie zmysły miał napięte, jak podczas polowania na jelenie w lasach Enlad. Widział wyraźnie twarze mijanych ludzi, głęboko wdychał słodki odór miasta: zapach odpadków, kadzideł, padliny i kwiatów. Kiedy przechodzili przez skrzyżowanie z szeroką, zatłoczoną ulicą, usłyszał uderzenia bębna i dostrzegł sznur nagich mężczyzn i kobiet powiązanych ze sobą w pasach i nadgarstkach łańcuchami, ze splątanymi włosami opadającymi na twarze.

Jedno mgnienie i stracił ich z oczu, gdyż pospieszył za Zającem zbiegając po kondygnacji schodków na wąski placyk, pusty z wyjątkiem kilku kobiet plotkujących przy fontannie.

Tam dogonili Zająca, a Krogulec położył mu rękę na ramieniu. Mężczyzna skurczył się, tak jakby

został oparzony, skrzywił się i cofnął pod osłonę masywnych drzwi. Stał tam dygocząc i patrząc na nich niewidzącymi oczyma ściganego zwierzęcia.

– Czy to ciebie nazywają Zającem? – zapytał Krogulec i powiedział to własnym głosem, chrapliwym, ale łagodnym. Mężczyzna nic nie odpowiedział, tak jakby niczego nie zauważył i nie usłyszał.

– Chcę czegoś od ciebie – powiedział Krogulec. Znowu żadnej odpowiedzi.

– Zapłacę za to.

Mężczyzna powoli zareagował.

– Kość słoniowa czy złoto?

– Złoto.

– Ile?

– Czarodziej wie ile warte są czary.

Twarz Zająca zadrżała i zmieniła się, ożywając na chwilę. Stało się to jednak tak szybko, że wydawało się mgnieniem, a potem znowu okrył ją mrok.

To wszystko odeszło – powiedział. – Wszystko odeszło. – Atak kaszlu przygiął go do ziemi, splunął czarną śliną. Gdy się wyprostował, stał bezwolny, drżąc, tak jakby zapomniał o czym rozmawiali.

Arren znowu patrzył na niego jak urzeczony. Wnęka, w której stał mężczyzna utworzona była przez dwa ogromne posągi, znajdujące się po obu stronach wejścia. Karki postaci ugięły się pod ciężarem frontonu, a pokryte węzłami mięśni ciała, tylko częściowo wyłaniały się ze ściany, jak gdyby usiłowały przedrzeć się przez kamienie do życia i zamarły u samego kresu drogi. Zbutwiałe drzwi, przy których stali, odpadły z zawiasów; dom – ongiś zapewne pałac był opuszczony. Posępne, nabrzmiałe twarze olbrzymów były poszczerbione i pokryte liszajami porostów. Pomiedzy tymi ogromnymi, zamarłymi postaciami człowiek o imieniu Zając stał wąty i słaby, z oczyma tak ciemnymi jak okna pustego domu. Uniósł swoją okaleczoną rękę w stronę przybyszów i zajęczał:

– Dajcie co nieco biednemu kalece, panie...

Przez twarz maga przemknęła chmura bólu czy też wstydu. Arren miał wrażenie, że przez chwilę ujrzał jego prawdziwą twarz wyłaniającą się spod przebrania. Krogulec jeszcze raz położył swoją rękę na ramieniu Zająca i cichym głosem powiedział kilka słów w języku czarodziei, którego Arren nie rozumiał.

Ale Zając zrozumiał. Uchwycił kurczowo Krogulca zdrową ręką i wyjąkał:

– Wciąż możesz mówić... mówić... chodź ze mną, chodź...

Mag spojrział na Arrena, a potem skinął głową. Poszli w dół stromymi ulicami do jednej z dolin, leżących pomiędzy trzema wzgórzami Miasta Hort. W miarę jak schodzili, uliczki stawały się coraz węższe, ciemniejsze i bardziej ciche. Niebo było bladym paskiem pomiędzy wystającymi poddaszami, a ciągnące się po obu stronach ściany domów ociekały wilgocią. Na dnie jaru płynął strumień cuchnący jak otwarty ściek; wzdłuż brzegów, pomiędzy łukami mostów, tłoczyły się domy. W ciemną bramę jednego z nich wszedł Zając, znikając jak płomień zdmuchniętej świecy. Weszli za nim.

Nieoświetlone schody skrzypiały i ugięły się pod ich stopami. Na ich szczycie Zając pchnięciem otworzył drzwi i wtedy zobaczyli, gdzie się znaleźli: pusty pokój z wypchanym słomą siennikiem. Pozbawione szyb, przesłonięte okiennicą okno, wpuszczało trochę mglistego światła.

Zając zwrócił się twarzą do Krogulca i znowu chwycił go za ramię. Jego usta drżały. W końcu, jękając się, wykrztusił:

– Smok... smok...

Krogulec spoglądał na niego nieruchomym wzrokiem milcząc.

– Nie mogę mówić – wychrypiał Zając i puściwszy rękę Krogulca, skulił się na pustej podłodze. Załkał.

Mag ukląkł obok i cicho przemówił do niego w Starej Mowie. Arren stał przy zamkniętych drzwiach z ręką na rękojeści noża. Szare światło i zakurzony pokój, dwie klęczące postacie, ciche, dziwne brzmienie głosu maga, mówiącego językiem smoków – wszystko to zdawało się snem, nie mającym nic wspólnego z przemijającym czasem i tym, co się działo na zewnątrz.

Powoli Zając podniósł się. Zdrową ręką otrzepał kurz z kolan, a okaleczoną schował za plecy. Rozejrzał się wokół, spojrzał na Arrena: teraz widział to, na co patrzył. Zaraz jednak odwrócił wzrok i usiadł na materacu. Arren stał w dalszym ciągu na straży. Jednak Krogulec, z prostotą kogoś, czyje dzieciństwo pozbawione było jakichkolwiek wygód, usiadł ze skrzyżowanymi nogami na gołej podłodze.

– Powiedz mi, jak utraciłeś swoją sztukę i jej język – odezwał się.

Zając milczał przez chwilę. Niespokojnie, gwałtownie zaczął uderzać okaleczoną ręką po udzie. W końcu, z wysiłkiem wyrzucił z siebie:

– Odcięli mi rękę. Nie mogę tkać czarów. Odcięli mi rękę. Krew wypłynęła i wyschła.

– Ale to było już po tym, jak utraciłeś swoją moc Zajacu, bo inaczej nie mogliby ci tego zrobić.

– Moc...

– Władzę nad wiatrami, morzem i ludźmi. Nazywałeś rzeczy i ludzi ich prawdziwymi imionami, a oni byli tobie posłuszni.

– Tak. Pamiętam, co to znaczy żyć – powiedział mężczyzna cichym, ochryłym głosem. – Znałem słowa i imiona...

– Czy teraz jesteś martwy?

– Nie. Żywy, żywy. Tylko kiedyś byłem smokiem.. Nie jestem martwy. Czasami śpię. Sen jest bardzo podobny do śmierci, każdy to wie. Zmarli wchodzą do snów, każdy to wie, przychodzą do żywych i mówią głupstwa. Ze śmierci wchodzą do snów. Jest tam droga. A jeśli się znajdzie wystarczająco daleko, to u samego kresu, można odnaleźć drogę powrotną. U samego kresu. Można ją odnaleźć, jeśli się wie, gdzie jej szukać. I jeśli się jest gotowym zapłacić cenę.

– Co to za cena? – głos Krogulca unosił się w mętym powietrzu jak cień opadającego liścia.

– Życie – cóż innego? Czym można okupić życie, jeśli nie życiem? – Zając kołysał się w przód i w tył na swoim sienniku z oczyma pełnymi chytryści i niesamowitego blasku. – Tak – mówił – mogą odciąć mi rękę. Mogą odciąć mi głowę. To nie ma znaczenia. Odnajdę drogę powrotną. Wiem, gdzie jej szukać. Tylko ludzie posiadający moc mogą pójść tą drogą.

– Masz na myśli czarodziei?

– Tak – Zając zawahał się, jak gdyby próbując kilka razy tego słowa; jednak nie mógł go wymówić. – Ludzie posiadający moc – powtórzył. – I muszą... i muszą się poddać. Płacić.

Zaraz potem wpadł w ponury nastrój, jakby słowo "płacić" przywołało jakieś wspomnienia i uświadomiło mu, że zdradził informację zamiast ją sprzedać. Nic więcej nie można było już z niego wydobyć, nawet zająknięcia lub napomknienia o "drodze powrotnej" – do czego, jak się wydawało,

Krogulec przywiązywał wielkie znaczenie. Wkrótce mag wstał. – Cóż, pół odpowiedzi to żadna odpowiedź – stwierdził – i to samo jest z zapłatą – i, ze zrećnością kuglarza, cisnął sztukę złota na siennik przed Zającem.

Zajac podniósł złoto. Spojrzał na nie, na Krogulca i na Arrena, gwałtownie poruszając głową.

– Czekaj – wyjąkał. Zaledwie sytuacja zmieniła się, stracił nad nią panowanie i teraz nie wiedział, co powiedzieć.

– Dzisiaj w nocy – powiedział w końcu. – Czekaj. Dzisiaj w nocy. Mam hazię.

– Nie potrzebuję jej.

– Żeby pokazać... żeby pokazać drogę. Dzisiaj w nocy. Zabiorę cię. Pokażę ci. Możesz tam pójść, ponieważ ty... ty jesteś... – Szukał słowa, dopóki Krogulec nie powiedział: – Jestem czarodziejem.

– Tak! Zatem możemy... możemy dostać się tam. Drogą. Kiedy śnię. We śnie. Rozumiesz? Zabiorę cię. Pójdiesz ze mną... drogą.

Krogulec stał, niewzruszony i zadumany, pośrodku ciemnego pokoju.

– Może – powiedział w końcu. – Jeśli wrócimy, będziemy tu o zmroku.

Potem odwrócił się do Arrena, który zaraz skwapliwie otworzył drzwi gotów do wyjścia. W porównaniu z pokojem Zająca ociekające wilgocią, zacienione ulice wydawały się jasne jak ogród.

Szybkim krokiem, najkrótszą drogą wiodącą stromymi, kamiennymi stopniami pomiędzy zarośniętymi bluszczem ścianami domów, ruszyli w stronę wyżej położonej części miasta. Arren oddychał głęboko jak morski lew.

– Ach! Czy wrócisz tam?

– Tak, jeśli nie będę mógł zdobyć tych informacji z mniej niebezpiecznego źródła. On może wciągnąć nas w zasadzkę.

– Czyż nie zdołasz obronić się przed złodziejami i rabusiami?

– Obronić? – powiedział Krogulec. – Co masz na myśli? Czy sądzisz, że chodzę zakutany w czary jak stara kobieta, która boi się reumatyzmu? Nie mam na to czasu. Ukryłem swoją twarz, aby ukryć nasze poszukiwania. Umiemy strzec się nawzajem. Ale jest rzeczą oczywistą, że nie uchronimy się w tej podróży od niebezpieczeństw.

– Oczywiście, że nie – powiedział Arren, zły, ugodzony w swej dumie. – Wcale tego nie oczekiwałem.

– To i dobrze – rzekł Krogulec, sztywno, ale z odcieniem dobrego humoru, który ugasił złość Arrena. Sam był zaskoczony własnym gniewem, nigdy nie pomyślałby, że może w ten sposób mówić do Arcymaga. Ale z drugiej strony to był, a zarazem nie był Arcymag – ten Krogulec z zadartym nosem i źle ogolonymi policzkami, którego głos czasami był głosem jednego człowieka, a czasami innego; był obcy, niepewny.

– Czy to, co mówił, miało sens? – zapytał Arren, gdyż niechętnie myślał o powrocie do ciemnego pokoju nad cuchnącą rzeką.

– Te wszystkie bajeczki o byciu żywym i martwym i o powrocie z odciętą głową?

– Nie wiem, czy to miało sens. Chciałem rozmawiać z czarodziejem, który utracił swoją moc. On powiedział, że jej nie utracił, że oddał – wymienił ją. Za co? Życie za życie, powiedział. Władza za władzę. Nie, nie rozumiem tego, ale warto go posłuchać.

Żelazny rozsądek Krogulca jeszcze bardziej zawstydził Arrena. Wydało mu się, że jest drażliwy i

nerwowy jak małe dziecko. Zając zaintrygował go, ale teraz fascynacja przerodziła się w tłumione obrzydzenie wywołujące mdłości, jak po zjedzeniu czegoś ohydny. Postanowił, że nie odezwie się dopóki nie zapanuje nad sobą. W następnej chwili potknął się na wyslizganych, gładkich stopniach i odzyskując równowagę otarł sobie ręce na kamieniach.

– Niech będzie przeklęte to ohydne miasto – wykrzyknął w gniewie.

– To zbyt ciężkie, jak sądzę – sucho odparł mag.

Rzeczywiście, w całym Mieście Hort wyczuwało się coś bardzo złego, złego w samej atmosferze, coś co niewątpliwie mogło nasunąć myśl o przekleństwie. Jednak nie była to obecność jakiejś cechy, a raczej jej brak, osłabienie wszystkich możliwości, jak choroba, która natychmiast atakuje duszę każdego przyjeźdźcy. Nawet ciepło popołudniowego słońca było niezdrowe, zbyt gorące jak na marzec. Place i ulice były pełne ożywionej krzątaniny, ale nie było w tym widać porządku, ani dostatku: towary były nędzne, ceny wysokie, a targowiska niebezpieczne, tak dla sprzedawców jak i kupujących, pełne band złodziei i włóczęgów. Na ulicach prawie nie widać było kobiet, a jeśli już – to najczęściej w grupach. W tym mieście nie znano ani prawa, ani władzy. Rozmawiając z ludźmi Arren i Krogulec dowiedzieli się niebawem, iż rzeczywiście w Mieście Hort nie było Rady, burmistrza, ani księcia. Niektórzy z rządzących miastem zmarli, niektórzy złożyli urzędy, innych pomordowano. Różni przywódcy panowali nad różnymi częściami miasta, strażnicy portowi trzymali w garści port i nabijali sobie kabzy. Miasto nie miało centralnej władzy. Ludzie, pomimo całej ich gorączkowej działalności wydawali się być pozbawieni celu. Rzemieślnicy wyglądali tak, jakby nie chcieli im się dobrze pracować, nawet rabusie rabowali tylko dlatego, że nic innego nie umieli robić. Pozornie były tam wszystkie cienie i blaski portowego miasta, ale wszędzie wokoło siedzieli nieruchomi przeżuwacze hazzii. Wyłaniające się z tego pozornego obrazu rzeczy sprawiały wrażenie niezupełnie prawdziwych; takie były nawet twarze, głosy, zapachy. Zanikały czasami podczas tego długiego, ciepłego popołudnia, kiedy Krogulec i Arren spacerowali ulicami rozmawiając z tym i owym. Zanikały zupełnie – pasiaste markizy, zabłocony bruk, kolorowe ściany – i cała jasność natury bladła, przeistaczając to miasto w krainę z marzeń sennych, pustą i posępną pod zamglonym słońcem.

Tylko w górze miasta, dokąd poszli późnym popołudniem, aby chwilę odpocząć, chorobliwy nastrój tego snu na jawie rozwiął się na jakiś czas.

– To nie jest szczęśliwe miasto – powiedział Krogulec kilka godzin wcześniej, i teraz, po długiej bezcelowej wędrówce i bezowocnych rozmowach z obcymi, wyglądał na zmęczonego i ponurego. Jego przebranie było odrobinę zatarte i rozcieńczone; spod dobrodusznej twarzy kupca morskiego przebierała nieokreślona surowość i śniadość. Arren nie był w stanie otrząsnąć się z nastroju tego poranka. Usiedli na grubej darni pokrywającej szczyt wzgórza, pod okapem ciemnonistnych pendikowców, usianych gęsto czerwonymi pączkami; niektóre z nich były już rozwarte. Nie widzieli stąd nic, prócz płaszczyzny dachów zbiegających w dół do morza. Zatoka otwierała szeroko swoje ramiona, szaroniebieska pod wiosenną mgiełką, która zacierała linię horyzontu. Morze było gładkie, bez granic. Siedzieli, wpatrując się w rozległą, błękitną przestrzeń. Umysł Arrena rozjaśnił się, otwierając się na spotkanie i uczczenie świata.

Wędrowcy poszli napić się wody z pobliskiego strumyka. Spływał on wartko pomiędzy brązowymi skałami ze źródła w jakimś księżycowym ogrodzie na wzgórzu za nimi. Arren pił długo, zanurzając całą twarz w zimnej wodzie. Potem wstał i zadeklamował wiersze z "Czynów Morreda":

"... Sławne są Fontanny Sheliethu,
srebrzystej harfy strumienie,

Lecz zawsze błogosławić będę ten potok,
który ukoił moje pragnienie!..."

Krogulec uśmiechnął się do niego, a on odwzajemnił mu uśmiech. Potrząsnął głową jak pies i rozlatujące się kropelki wody rozbłysnęły złocistą aureolą w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Zostawili za sobą gaj i zeszli w dół znowu zagłębiając się w płataninie ulic. Podczas gdy jedli kolację przy kramie, gdzie sprzedawano tłuste smażone ryby, wokół zapadła posępna noc. Wąskie uliczki szybko kryły się w ciemnościach.

– Chodźmy lepiej, chłopcze – powiedział Krogulec.

– Do łódki? – zapytał Arren, choć wiedział, że nie pójdą na przystań, ale do domu nad rzeką, do pustego, zakurzonego pokoju.

Zajac czekał na nich w wejściu.

Zapalił oliwną lampkę, aby oświetlić im ciemne schody. Gdy ją niósł, małeńki płomyk nieustannie drżał, rzucając na ściany wielkie, szybkie cienie.

Zajac przygotował jeszcze jeden worek ze słomą, aby jego goście mieli na czym usiąść, jednak Arren zajął swoje miejsce na gołej podłodze przy wejściu. Drzwi otwierały się na zewnątrz i aby ich pilnować, powinien był usiąść na dole za nimi. Jednak ów czarny jak smoła hali to było więcej, niż mógł znieść, a poza tym nie chciał spuszczać z oczu Zajaca. Uwaga Krogulca, a być może i jego moce, zwrócone będą na to, co Zajac mu powie lub pokaże. Dlatego Arren musiał czuwać, aby ustrzec ich przed podstępem.

Zajac trzymał się prościej niż ostatnio i nie drżał już tak bardzo. Oczyszczył sobie usta i zęby, i na początku mówił dość rozsądnie, choć z widocznym podnieceniem. W świetle lampy jego oczy były ciemne i jakby pozbawione białek, wydawały się oczyma zwierzęcia. Z przejęciem kłócił się z Krogulcem, nakłaniając go do zjedzenia hazii.

– Chcę cię zabrać, zabrać ze sobą. Musimy pójść tą samą drogą. Niebawem wyruszę, czy będziesz gotów czy nie. Musisz wziąć hazię, aby pójść za mną.

– Sądzę, że i bez tego będę mógł pójść za tobą.

– Nie tam, dokąd idę. To nie jest... rzucanie uroków. – Wydawał się być niezdolny do wypowiedzenia słów "czarodziej" lub "czary". – Wiem, że możesz dotrzeć do... do tego miejsca, wiesz jakiego, do muru. Ale to nie tam. To zupełnie inna droga.

– Jeśli pójdziesz, pójdę za tobą.

Zajac potrząsnął głową. Jego przystojną zniszczoną twarz pokryły wypieki. Często spoglądał na Arrena, świadom jego obecności, jednak mówił tylko do Krogulca.

– Słuchaj, są dwa rodzaje ludzi, czyż nie? My i reszta... Smoki i inni. Ludzie nieposiadający mocy są tylko na wpół żywi. Nie liczą się. Nie wiedzą, o czym śnią, boją się ciemności. Ale pozostali, ich panowie, nie boją się wchodzić w ciemność. To właśnie my. I to my posiadamy moc.

– Tak długo, jak znamy imiona rzeczy.

– Ale imiona nie mają znaczenia – o to chodzi, o to chodzi! To nie jest to, czego potrzebujesz. Uroki są złe. Musisz zapomnieć o tym wszystkim, odrzucić to. Hazia pomaga w tym: zapominasz imion, odrzucasz kształty rzeczy, idziesz prosto do rzeczywistości. Zaraz odejdę, a jeśli chcesz wiedzieć dokąd, powinieneś zrobić to, co mówię. A ja mówię to, co on. Aby zostać panem życia,

musisz najpierw być panem ludzi. Musisz zgłębić tajemnicę. Mogę powiedzieć ci jej imię, ale cóż to jest imię? Imię nie jest prawdziwe, nie jest prawdą, prawdą wieczną. Smoki nie mogą tam pójść. Smoki umierają. Wszystkie umierają. Wziąłem tyle tej nocy, że nigdy mnie nie złapiesz. Nie równaj się ze mną. Tam, gdzie się zgubię, poprowadzisz mnie. Pamiętasz czym jest tajemnica? Pamiętasz? Nie ma śmierci. Nie ma śmierci – nie! Nie ma przepoconego łóżka i gnijącej trumny, nie ma i nigdy nie będzie. Krew wysycha jak sucha rzeka i znika. Bez lęku. Bez śmierci. Imiona znikają, i słowa, i lęk. Wskaż, gdzie mogę zbłądzić, wskaż, panie...

I tak odszedł, w zduszonym uniesieniu słów podobnych do śpiewanego zaklęcia, a jednak słowa te nie tworzyły żadnego czaru; były niepełne, bez sensu. Arren słuchał, usiłując zrozumieć. Gdyby tylko mógł zrozumieć! Krogulec powinien był zrobić tak, jak tamten mówił i wziąć narkotyk – ten jeden raz – aby zrozumieć o czym mówi i odkryć tajemnicę, której Zając nie chciał, lub nie mógł wyjawiać. Czyż nie po to tutaj przyszli? Lecz jednak... Arren przeniósł wzrok z pełnej zachwyty twarzy Zająca na drugą... być może mag już rozumiał... Twarz Krogulca była twarda jak skała. Gdzie się podział zadarty nos, dobrotliwy wygląd? Kupiec morski Jastrząb odszedł zapomniany. Człowiek, który tam siedział, był Arcymagiem.

Zając siedział ze skrzyżowanymi nogami, kołysząc tułowiem, jego głos przeszedł w jęklive mamrotanie. Twarz jeszcze bardziej mu zmizerniała, a usta obwisły. Zwrócony twarzą do Zająca, oświetlony nieruchomym płomykiem oliwnej lampki, Krogulec nawet się nie odezwał, tylko ujął go za rękę. Arren nie widział samego wyciągnięcia ręki. Były jakieś przerwy w następujących po sobie wydarzeniach, chwile niebytu – to musiała być senność. Z pewnością minęło już kilka godzin, mogło być koło północy. Jeśli zasnął, to czy będzie mógł podążyć za Zającem w jego sen, dotrzeć do tego miejsca, do tajemniczej drogi? Być może. Wydawało się to teraz zupełnie prawdopodobne. Lecz on miał strzec drzwi. Zaledwie o tym wspomnieli... jednak obaj byli świadomi tego, że Zając – wiedząc, iż mają tutaj wrócić nocą – mógł zaplanować jakąś zasadzkę. Był przecież piratem i znał rozbójników. O tym nie mówili, jednak Arren wiedział, że to on miał trzymać straż, gdyż podczas tej dziwnej podróży ducha, mag mógł być bezbronny. A on jak głupiec pozostawił swój miecz w łódce! Na co teraz przydałby się nóż, gdyby nagle otworzyły się za nim drzwi? Ale to się nie mogło stać: miał nadśłuchiwać i nadśłuchiwał. Zając nie odzywał się już. Obaj mężczyźni pogrążeni byli w całkowitym milczeniu, w całym domu panowała cisza. Nikt nie mógł wejść bezgłośnie po tych skrzypiących schodach. A on mógł się odezwać, gdyby usłyszał jakiś głos; krzyknąć głośno i trans zostałby przerwany. Krogulec wróciłby i obronił siebie i jego, mściwym piorunem czarodziejskiego gniewu... Kiedy Arren usiadł przy drzwiach, Krogulec spojrzął na niego, tylko rzucił okiem, ale w tym spojrzeniu była pochwała i zaufanie. Był strażnikiem. Gdy on trzymał straż, nic złego nie mogło się zdarzyć. Jednak trudno, jakże trudno było nieustannie strzec tamtych dwu twarzy i małego, perłowego płomyka lampy na podłodze pomiędzy nimi. Jakże trudno strzec tych milczących, nieruchomych twarzy o otwartych oczach, niewidzących ani świata, ani zakurzonego pokoju, lecz jakiś inny świat snu czy śmierci... Obserwować ich i nie próbować pójść za nimi...

Tam, w rozległej, suchej ciemności, ktoś stał przywołując go. "Chodź" – powiedział ten wysoki pan cieni. W ręce trzymał płomyk nie większy od perły. Wyciągnął go w kierunku Arrena, obiecując życie.

Powoli Arren zrobił krok w jego stronę i... podążył za nim.

4. MAGICZNE ŚWIATŁO

Suchość. Jego usta były suche. Czuł w nich smak kurzu. Wargi pokrywał kurz.

Nie unosząc głowy z podłogi, obserwował grę cieni. Wielkie cienie poruszały się i zatrzymywały, wzdymały i kurczyły, a inne, mniej wyraźne, szybko przesuwały się po ścianach i suficie naśladując tamte. Zauważył również cień w kącie pokoju i cień na podłodze, ale żaden z nich nie poruszał się.

Poczuł, że zaczyna boleć go tył głowy. Równocześnie, w nagłym przebłysku powracającej świadomości, czując jak ścina mu to krew w żyłach, zrozumiał co widzi: skurzonego w kącie pokoju Zajęca z głową na kolanach. Rozciągniętego na plecach Krogulca, klęczącego nad nim mężczyznę, innego wrzucającego kawałki złota do worka i jeszcze jednego stojącego na straży. Ten ostatni w jednej ręce trzymał lampę, a w drugiej sztylet – sztylet Arrena.

Jeśli mówili coś, nie słyszał ich. Słyszał tylko swoje myśli, które natychmiast bez wahania powiedziały mu, co ma robić. Posłuchał od razu. Bardzo wolno podczołgał się kilka stóp, błyskawicznym ruchem wyrzucił lewą rękę i porwał worek z łupem. Skoczywszy na równe nogi skoczył ku wyjściu z ochryplym wrzaskiem. Nurkując w ślepej ciemności, zbiegł pewnie po schodach. Nie czuł nawet ich pod stopami – zdawało mu się, że frunie. Wyskoczył na ulicę i popędził w mrok.

Domy majaczyły czarnymi bryłami na tle gwiazd. Światło gwiazd odbijało się niewyraźnym migotaniem w rzece płynącej po jego prawej stronie. Chociaż nie wiedział dokąd prowadzą ulice, mógł rozróżnić skrzyżowania – i tak biegł, skręcając w nie i klucząc. Ścigali go – słyszał ich za sobą i to niezbyt daleko. Musieli być boso i ich zdyszane oddechy tłumiły odgłos kroków.

Roześmiałyby się, gdyby miał na to czas: wreszcie dowiedział się, co znaczy być zwierzyną, a nie myśliwym; celem polowania, zdobyczą. Znaczyło to być samotnym i wolnym. Skręcił w prawo i pochylony przebiegł przez most, kryjąc się za jego wysokimi obrzeżami. Wślizgnął się w boczną uliczkę, tuż za rogiem zawrócił do rzeki i wzdłuż brzegu dotarł do innego mostu, po którym przedostał się na drugą stronę. Jego buty dudniły na bruku – jedyny dźwięk w całym mieście – zatrzymał się więc przy filarze mostu, aby je zrzucić. Rzemienie jednak splątały się, a pogoń była już blisko. Za rzeką błysnęła lampa. Ciężki odgłos biegnących stóp zbliżał się. Nie chciał im umknąć, lecz tylko ich zwodzić, wciąż uciekać, wciąż wyprzedzać i odciągnąć jak najdalej od zakurzonego pokoju... Zrabowali mu płaszcz razem ze sztyletem i został w lekkiej koszuli z rękawami. Kręciło mu się w głowie, ból w tyle czaszki wzmagał się za każdym krokiem, a on biegł i biegł... Worek zawadzał mu. Nagłym ruchem cisnął go za siebie, luźne kawałki złota zadzwieczyły czysto na kamieniach.

– Macie wasze pieniądze! – krzyknął przerywanym z braku tchu, ochryplym głosem.

Biegł dalej. I nagle ulica skończyła się. Żadnego skrzyżowania, żadnych gwiazd w górze przed nim. Ślepy zaułek. Bez wahania zawrócił i pobiegł ku swoim prześladowcom. Lampa zakołysała się w jego oczach, kiedy z dzikim okrzykiem wyzwania podbiegł do nich.

Gdzieś przed nim kołysała się lampa, tam i z powrotem, niewyraźna plamka światła w ogromnej, ruchomej szarości. Patrzył na nią przez długą chwilę. Bładła coraz bardziej, aż w końcu jakiś cień przesunął się przed nią, a kiedy zniknął, światła już nie było. Zmartwiło go to trochę, a być może zasmucił się nad samym sobą, ponieważ wiedział już, że się obudził.

Zgaszona lampa wciąż kołysała się razem z masztem, do którego była przymocowana. Morze, i wszystko dookoła, jaśniało we wschodzącym słońcu. Bęben dudnił. Wiosła skrzypiały ociężale,

miarowo; wiązania statku zawodziły i skrzypiały setką cichych głosów. Człowiek w górze na dziobie zawołał coś do żeglarzy. Ludzie związani razem z Arrenem w ładowni, milczeli. Każdy z nich przywiązany był w pasie żelazną obręczą; nadgarstki zakute mieli w kajdany. Jedno i drugie połączone było krótkimi, ciężkimi łańcuchami z okowami następnego więźnia. Żelazny pas skuty był dodatkowo z rygłem umocowanym w pokładzie, tak, że ludzie mogli siedzieć lub kucać, ale nie mogli stać. Cisnąc się razem w małej ładowni byli zbyt stłoczeni, aby móc się położyć. Arren znajdował się w rogu przedniej ładowni. Kiedy unosił wysoko głowę, jego oczy znajdowały się na poziomie pokładu. Widział wtedy przestrzeń szerokości kilku stóp ograniczoną z jednej strony nadburciem, a z drugiej krawędzią ładowni.

Niewiele pamiętał z tego, co się zdarzyło ubiegłej nocy po pogoni w ślepym zaułku. Walczył, ogłuszono go, skrępowano i gdzieś zaniesiono. Pamiętał mężczyznę mówiącego dziwnym, ściszonego głosem, jakieś miejsce podobne do kuźni, palenisko strzelające czerwonymi iskrami... więcej nie mógł sobie przypomnieć. A jednak wiedział, że ten statek jest statkiem niewolniczym, i że zabrali go aby sprzedać.

Niewiele go to obchodziło. Był spragniony. Dokuczala mu zraniona głowa. Całe ciało miał obolałe. Kiedy słońce wzniosło się nad morzem, światło przeszło jego oczy lancami bólu.

Późnym rankiem każdy z więźniów dostał kawałek chleba i haust wody ze skórzanego bukłaka, który podał mi do ust człowiek o uważnej twardej twarzy. Szyję opinał mu podobny do psiej obroży, szeroki skórzany pas nabijany złotymi ćwiekami. Kiedy Arren usłyszał jak mówi, rozpoznał ów, dziwny, świszczący głos.

Łyk wody i kawałek chleba uśmierzyły na chwilę głód i pragnienie, rozjaśniły mu umysł. Po raz pierwszy spojrzał na twarze swoich towarzyszy niedoli – trzech w jego szeregu i czterech z tyłu. Niektórzy siedzieli z głowami opartymi na podciągniętych kolanach. Jeden leżał bezwładnie, chory lub odurzony narkotykiem. Siedzący obok Arrena współwięzień o szerokiej, płaskiej twarzy mógł mieć około dwudziestu lat.

– Dokąd nas zabierają? – Zwrócił się do niego Arren.

Młody człowiek spojrzał na niego – ich twarze były od siebie nie dalej niż od stopę – i wyszczerzył zęby wzruszając ramionami. Arren pomyślał, iż daje mu do zrozumienia, że sam nie wie. Wówczas jego towarzysz szarpnął skutymi rękoma tak, jakby chciał tam coś wyrazić i otworzył swoje, wciąż rozciągnięte w uśmiechu, usta, ukazując czarną jamę w miejscu, gdzie powinien być język.

– Na Showl – powiedział ktoś zza Arrena, a inny głos dorzucił: – lub na Targ na Amrunie – a wtedy mężczyzna z obrożą, którego wydawało się być pełno na całym statku, pochylił się nad ładownią sycząc. – Cicho tam, jeśli nie chcecie zostać karmą rekinów! Wszyscy zamilkli.

Arren usiłował wyobrazić sobie wymienione przed chwilą miejsca: Showl i Targ na Amrunie. Tam sprzedawali niewolników. Na pewno wystawią ich przed kupującymi jak woły czy barany spędzone na sprzedaż na plac targowy w Berili. Będzie tam stał spętany łańcuchami. Ktoś kupi go i zaprowadzi do domu, będzie wydawał mu polecenia, a on będzie odmawiał ich wykonania. Lub będzie posłuszny, lecz spróbuje uciec. Tak czy inaczej zostanie zabity. Jego dusza nie buntowała się na myśl o niewoli, był na to zbyt chory i oszołomiony, ale po prostu wiedział, że nie musi tego robić, że w ciągu tygodnia lub dwóch umrze, albo zostanie zabity. Jakkolwiek rozumiał i godził się z tym, to jednak przerażało go to tak, że przestał wybiegać myślą naprzód. Utkwił wzrok w czarnych, cuchnących deskach ładowni. Czuł żar słońca na swoich nagich ramionach i pragnienie, które znowu wysuszało mu usta i ścisnęło przełyk.

Słońce pograżyło się w morzu. Noc nadeszła bezchmurna i chłodna. Wzeszły jaskrawe gwiazdy. Bęben wybijał takt jak uderzenia pulsu wyznaczając rytm dla pociągnięć wiosła. W powietrzu nie czuć było najłżejszego tchnienia wiatru. Teraz z kolei zimno stało się największą udręką.

Plecy Arrena zyskiwały trochę ciepła od stłoczonych nóg ludzi znajdujących się za nim, a lewy bok ogrzewał mu niemowa, który siedział skurczony, zawodząc jakiś monotony rytm. Wioślarze zmienili się przy wiosłach; bęben znów wybijał takt. Arren tęsknił za ciemnością, jednak nie mógł zasnąć; bolały go kości, gdyż nie mógł zmienić pozycji. Siedział obolały, drżący, palony przez słońce. Wpatrywał się w gwiazdy, które przesuwały się po niebie za każdym pociągnięciem wiosła, a potem wracały na swoje miejsca, nieruchomiały, przesuwały się znowu, wracały, nieruchomiały...

Mężczyzna w obroży stał z kimś jeszcze pomiędzy tylną ładownią, a masztem. Mała kołysząca się na maszcie lampa rzucała na nich jasne błyski światła, wyłaniając z mroku sylwetki głów i ramion.

– Mgła, ty świński pomiole – odezwał się cichy, nienawistny głos człowieka w obroży.

– Skąd mgła w Południowej Cieśninie o tej porze roku?

Przekłete szczęście!

Bęben wybijał rytm. Gwiazdy kołysały się, przesuwały, nieruchomiały. Niemowa obok Arrena wzdrygnął się nagle, uniósł głowę i wydał okropny, nieartykułowany krzyk nocnego koszmaru.

– Spokój tam! – ryknął drugi z mężczyzn stojących przy maszcie.

Niemowa wzdrygnął się znowu i zamilkł zgrzytając zębami.

Gwiazdy niepostrzeżenie zapadły w nicość.

Maszt zafalował i zniknął. Zimna szarość mgielnej zasłony zdawała się spływać po plecach Arrena. Uderzenia bębna straciły rytm, by po chwili znowu go podjąć. Ale już wolniej.

– Gęsta jak zsiadłe mleko – odezwał się ochrypły głos gdzieś ponad Arrenem. – Hej tam, wiosłować! Najbliższa mielizna jest odległa stąd o dwadzieścia mil? – Zrogowaciała, pokryta bliznami stopa wynurzyła się z mgły, zatrzymała na chwilę tuż przy twarzy Arrena i czyniąc jeden krok, zniknęła.

We mgle nie czuło się ruchu w przód, lecz tylko przechyły i szarpnięcia wiosła. Bicie bębna dobiegało stłumione przez mgłę – powietrze było zimne i wilgotne. Mgła skraplała się na włosach Arrena i spływała na oczy; próbował łapać językiem krople i głęboko oddychał ociekającym wilgocią powietrzem, usiłując w ten sposób zaspokoić dręczące go pragnienie. Szczekał zębami. Zimny metal łańcucha kołysał się na jego udzie, a w miejscach, gdzie dotykał ciała, palił jak ogień. Bęben nagle umilkł.

Zapadła cisza.

– Trzymać rytm? Co się stało? – wykrzyknął ochrypły, świszczący głos z dziobu. Ale odpowiedź nie nadeszła.

Statek kołysał się lekko na spokojnym morzu. Za zamglonymi nadburciami nie było nic widać: pustka. Coś nagle otarło się o burtę. Dźwięk rozległ się wyraźnie i głośno w martwej, niesamowitej ciszy i ciemności.

– Jesteśmy na mieliznie – wyszeptał jeden z więźniów, ale jego głos pochłonęła cisza.

Mgła pojaśniała, jakby rozgorzał w niej ogień. Arren coraz wyraźniej widział głowy spętanych wraz z nim ludzi – maleńkie krople wilgoci lśniły na ich włosach. Statek zakołysał się znowu. Arren przesunął się na tyle, na ile mu pozwoliły łańcuchy i wyciągnął głowę, aby zobaczyć, co się dzieje przed nim. Mgła jaśniała nad pokładem, jak księżyc za cienką chmurą – zimna i promieniująca.

Wioślarze siedzieli jak wyciosane w kamieniu posągi. Załoga stała na śródpokładziu, a ich oczy błyszczały nieznacznie. Przy lewej burcie stał samotny mężczyzna. Z niego wydobywało się owo światło – z twarzy, z rąk i z laski, płonącej jak roztopione srebro.

U stóp promieniującego światłem mężczyzny kulił się ciemny kształt.

Arren próbował przemówić, ale nie mógł. Odziany w majestat światła, Arcymag podszedł do niego i uklęknął. Arren poczuł dotknięcie ręki i usłyszał jego głos. Czuł jak więzy na nadgarstkach i tułowiu opadają; w całej ładowni rozległ się grzechot łańcuchów. Lecz nikt się nie poruszył. Jedyne Arren próbował wstać, lecz nie mógł, gdyż całe ciało miał zdrętwiałe po długim bezruchu. Jego dłoń znalazła się w pełnym siły uścisku Arcymaga. Z jego pomocą wyczołgał się z ładowni i zwałił na pokład. Arcymag odszedł od niego, a zamglony przepych światła jarzył się na znieruchomiałych twarzach wioślarzy. Zatrzymał się przy człowieku, który kulił się przy balustradzie lewej burty.

– Nie karzę – odezwał się surowy czysty głos, zimny, jak zimne było to magiczne światło we mgle.
– Lecz aby zadość stało się sprawiedliwości, Egre, wezmę na siebie aż tyle: rozkazuję, by twój głos zamilkł aż do dnia, kiedy znajdziesz słowo warte wypowiedzenia.

Wrócił do Arrena i pomógł mu stanąć na nogi.

– Chodź, chłopcze – powiedział i z jego pomocą Arren, utykając, ruszył z miejsca. Na wpół gramoląc się, na wpół spadając, zsunął się do łódki, która kołysała się przy burcie statku. Była to Dalekopatrząca; jej żagiel wyglądał we mgle jak skrzydło ćmy.

W niezmienniej ciszy i zupełnym spokoju światło zamarło, a łódka zawróciła i oddaliła się od burty statku. I niemal natychmiast wszystko inne zniknęło: i galera, i przyćmiona lampa na maszcie, nieruchomi wioślarze i czarne burty. Arrenowi wydawało się, że słyszy głosy wybuchając krzykami, jednak dźwięk był nikły i wkrótce przepadł. Trochę dalej mgła zaczęła rzednąć i rwać się, rozplywając w ciemności. Wyłynęli pod gwiazdy i Dalekopatrząca, cicha jak ćma, pomknęła po morzu wśród jasnej nocy.

Krogulec przykrył Arrena derkami i dał mu wody. Potem Arcymag nic nie mówiąc położył rękę na jego ramieniu, kiedy chłopiec niespodziewanie załkał. Dotknięcie jego dłoni dawało poczucie pewności i bezpieczeństwa. Ciepło, łagodne kołysanie łódki i napełniająca go otucha spowodowały, że Arren poczuł się lepiej.

Uniósł wzrok ku swemu towarzyszowi. Na jego ciemnej twarzy nie było śladu niezemskiego blasku. Zaledwie go widział na tle gwiazd.

Łódka mknęła po morzu, kierowana zakłębciem. Fale, jakby w zadziwieniu, szeptały wzdłuż burt.

– Kim jest ten człowiek w obroży?

– Nieustanne kłamstwo. Morski rozbójnik, Egre. Nosi obrożę, aby ukryć bliznę na gardle, które mu kiedyś rozplątało. Wydaje się, że porzucił piractwo dla handlu niewolnikami. Tym razem wyświadczył sobie jednak niedźwiedzią przysługę. – W suchym, spokojnym głosie zabrzmiał cień satysfakcji.

– Jak mnie odnalazłeś?

– Czary, przekupstwo... Zmarnowałem wiele czasu. Nie chciałem, aby się dowiedziano, że Arcymag i Strażnik Roke myszkował po slumsach Miasta Hort. Chciałem zachować moje przebranie tak długo, jak to możliwe. Jednak gdy przepytałem paru ludzi i kiedy w końcu okazało się, że statek niewolniczy odpłynął przed świtem, straciłem cierpliwość. Wsiadłem do Dalekopatrzącej i przywołałem wiatr w jej żagiel – a tego dnia w powietrzu panował zupełny spokój. Unieruchomiłem w tym czasie wiosła w dulkach na wszystkich statkach w zatoce – jak oni to sobie wyjaśnią, skoro

całe czary to kłamstwa i powietrze, to już ich sprawa. Ale w pośpiechu i gniewie pomyliłem się i przepłynąłem obok statku Egre'a, który popłynął bardziej na południowy-wschód, aby uniknąć mielizn. Wszystko co czyniłem tego dnia, czyniłem źle. Miasto Hort nie przynosi szczęścia. W końcu utkałem czar odnajdujący i w ten sposób trafiłem w ciemnościach do statku. Czy nie powinieneś się teraz przespać?

– Nic mi nie jest, czuję się dużo lepiej. – Dreszcze ustąpiły miejsca lekkiej gorączce i Arren poczuł się rzeczywiście dobrze. Ciało miał słabe i omdlałe, ale myśli w zawrotnym tempie goniły jedna drugą. – Kiedy się obudziłeś? Co się stało z Zającem?

– Ocknąłem się w świetle dnia. Na szczęście mam twardą głowę; za uchem jest rozcięcie i guz jak mały ogórek. Zająca pozostawiłem pogrążonego w narkotycznym śnie.

– Zawiodłem na straży.

– Lecz nie dlatego, że zasnąłeś.

– Nie – Arren zawahał się. – To było... Ja byłem...

– Wyprzedziłeś mnie, widziałem cię – głos Krogulca zabrzmiał dziwnie. – Podkradli się do nas, ogłuszyli jak jagnięta w jatce, zabrali złoto, i tego, którego opłacało się sprzedać w niewolę, i odeszli. To po ciebie przyszli, chłopcze. Osiągnąłbyś cenę dobrej farmy na Targu w Amrunie.

– Nie uderzyli mnie wystarczająco mocno. Ocknąłem się i uciekłem im. Rozrzuciłem ich łup po całej ulicy, zanim mnie osaczyli. – Oczy Arrena błyszczały.

– Ocknąłeś się, kiedy tam byli – i uciekłeś? Dlaczego?

– Aby odciągnąć ich od ciebie. – Zdziwienie brzmiące w głosie Krogulca nagle uraziło dumę Arrena, więc dodał gwałtownie: – Myślałem, że przyszli po ciebie, że mogą cię zabić. Porwałem ich worek, aby mnie gonili, krzyknąłem i uciekłem. A oni pobiegli za mną.

– Tak, mogliby! – Tylko tyle powiedział Krogulec, bez słowa pochwały, chociaż przez chwilę siedział pogrążony w myślach. Potem zapytał:

– Czy nie przyszło ci do głowy, że mogę być już martwy?

– Nie.

– Najpierw morderstwo, później rabunek – to najpewniejszy sposób.

– Nie myślałem o tym. Chciałem ich tylko odciągnąć od ciebie.

– Dlaczego?

– Ponieważ ty mogłeś nas obronić, wydobyć nas z tego, jeśli miałbyś dość czasu, aby się obudzić. Lub w każdym razie wydostać się z tego sam. Stałem na straży i zawiodłem. Chciałem to naprawić. Jesteś tym, którego strzegłem. To ty się liczysz. Dalej będę cię strzegł i robił wszystko, co mi każesz, bo to ty nas prowadzisz. Tylko ty możesz dotrzeć tam, gdziekolwiek to jest, dokąd musimy pójść, by odegnąć zło.

– Czyżby? – powiedział mag. – Sam tak myślałem, do ostatniej nocy. Sądziłem, że ja jestem przewodnikiem, a jednak to ty mnie prowadziłeś, chłopcze. – Jego głos był chłodny, i jak się wydawało, odrobinę ironiczny. Arren nie wiedział, co powiedzieć. Był zupełnie zdezorientowany. Cały czas myślał, że odciągnięciem rozbójników od Krogulca ledwo odpokutował swój sen, czy też trans, w trakcie pełnienia straży. Teraz okazywało się, że jego czyn był niemądry – podczas gdy ów trans, który ogarnął go w niewłaściwym momencie, wydawał się być w jakiś zadziwiający sposób pożyteczny.

– Przykro mi, mój panie, że cię zawiodłem – powiedział w końcu. Wargi miał jak z drewna i z

trudnością powstrzymywał się od łkania. – A ty uratowałaś mi życie.

– A ty, być może, uratowałaś mnie – odparł ochryple mag. – Kto wie? Po rabunku mogli podciąć mi gardło. Ale nie mówmy o tym więcej, Arrenie. Cieszę się, że jesteśmy razem.

Potem podszedł do skrzynki z zapasami i rozpałił mały piecyk na węgiel drzewny. Zdawał się być czymś pochłonięty. Arren leżał obserwując gwiazdy. Wzburzenie opuściło go, myśli przestały wirować. Poniewczasie zrozumiał, że Krogulec nie osądzał tego, co uczynił, lub czego nie uczynił. Zrobił tak, i Krogulec to zaakceptował. "Nie karzę", wspomniawszy ów zimny głos, jakim mag odezwał się do Egre'a. Ale też nie nagradzał. A jednak w największym pośpiechu, rozpętując moc swoich czarów, przybył do niego przez morze. Uczyniłby to jeszcze raz. Można było na nim polegać.

Godzien był całej miłości, jaką Arren do niego czuł, i pełnego zaufania. I dlatego właśnie Krogulec ufał Arrenowi. Wszystko, co Arren uczynił, było właściwie.

Wrócił teraz do chłopca, podając mu kubek parującego wina.

– Może to pozwoli ci zasnąć. Uważaj, możesz sparzyć sobie język.

– Skąd wzięłaś wino? Nie widziałem bukłaka na pokładzie.

– Na Dalekopatrzącej jest wiele rzeczy, których oczy nie dostrzegą – odparł Krogulec, siadając obok niego. Arren usłyszał w ciemności jego śmiech, krótki i prawie bezdźwięczny.

Usiadł, aby napić się wina. Było bardzo dobre, krzepiło ciało i duszę.

– Dokąd teraz płyniemy? – zapytał.

– Na zachód.

– Dokąd zaprowadził cię Zając?

– W ciemność. Nie zgubiłem go, lecz on się zgubił. Wędrował po zewnętrznych kresach, nieskończonych pustkowiach majaków i sennych koszmarów. Jego dusza kwiliła jak ptak w tych ponurych miejscach, jak mewa krzycząca daleko od morza. Nie może być przewodnikiem. Zawsze był zagubiony. Przy całej swej biegłości w sztuce czarodziejskiej, nigdy nie dostrzegł drogi przed sobą, widział tylko siebie.

Arren nie rozumiał tego wszystkiego, ani też nie chciał zrozumieć. Został wciągnięty za próg "ciemności", o której mówili czarodzieje, i chciał o tym zapomnieć. Nie miał z tym nic wspólnego. W rzeczywistości bał się zasnąć, żeby nie ujrzeć znowu we śnie tej ciemnej postaci, cienia wyciągającego do niego perlę i szepczącego "chodź".

– Panie mój – odezwał się, raptownie zmieniając temat – dlaczego...

– Śpij – powiedział Krogulec z lekkim naciskiem.

– Nie mogę spać, mój panie. Zastanawiam się, dlaczego nie uwolniłeś pozostałych więźniów?

– Uwolniłem. Nie pozostawiłem na statku żadnych więźnów.

– Lecz ludzie Egre'a byli uzbrojeni. Gdybyś ich skrupował...

– Cóż, gdybym ich skrupował? Było ich zaledwie sześciu.

Wioślarze byli też niewolnikami, takimi jak ty. Do tej pory Egre i jego ludzie mogą być martwi, lub pojmani przez pozostałych w celu wystawienia na targu niewolników. Lecz ja pozostawiłem im wybór między walką, a targiem. Nie jestem łowcą niewolników.

– Wiedziałaś jednak, że to źli ludzie...

– Czyż zatem miałem stać się podobny do nich? Pozwolić, aby ich czyny określały moje? Nie chciałem dokonywać wyboru za nich. Ani pozwolić im, aby uczynili to za mnie!

Arren milczał, zastanawiając się nad tym. Po chwili mag odezwał się cicho:

– Młodzi ludzie myślą, że jeśli ktoś podniesie kamień i rzuci nim, a on trafi lub chybi celu, to ów czyn na tym się kończy. Ale tak nie jest, czy to rozumiesz, Arrenie? Gdy ten kamień zostanie podniesiony, ziemia stanie się lżejsza, a ręką, która go unosi cięższa. Kiedy się go rzuci, jego ruch wpłynie na obroty gwiazd, a tam gdzie uderzy lub spadnie, zmieni się wszechświat. Od każdego czynu zależy równowaga całości. Wiatry i morza, wszystkie przejawy działania sił wody, ziemi i światła, wszystko to, co czynią zwierzęta i rośliny, jest słuszne i właściwe. Wszystkie te czyny stanowią część równowagi. Od huraganów, przez głosy wielkich wielorybów pluskających w morzu, do upadku suchego liścia i lotu komara, wszystko to zawiera się w harmonii całości. Lecz my, z tego powodu, że posiadamy władzę nad światem i sobą musimy uczyć się tego, co liść, wieloryb i wiatr czynią z własnej swej natury. Musimy uczyć się utrzymywać równowagę. Posiadając rozum, nie możemy działać w nieświadomości. Mając możliwość wyboru, nie możemy działać lekkomyślnie. Kim jestem – chociaż mam moc, żeby to czynić – aby karać i nagradzać igrając z ludzkim przeznaczeniem?

– Ale z drugiej strony – powiedział Arren, wpatrując się w gwiazdy spod zmarszczonych brwi – czy beczynność sprzyja utrzymaniu równowagi? Chyba jednak człowiek musi działać, nawet jeśli nie zna wszystkich skutków swego czynu. Jeśli w ogóle ma coś do zrobienia.

– Nie bój się. Ludziom o wiele łatwiej przychodzi działać, niż powstrzymać się od działania. Dalej będziemy czynić dobrze i źle... Gdyby jednak znowu zapanował nad nami król i tak jak dawnymi czasy szukał rady u maga, i gdybym to ja był tym magiem, powiedziałbym mu: – Panie mój, nie czyn nic, ponieważ właśnie to jest sprawiedliwe, godne pochwały i szlachetne. Nie czyn nic, ponieważ wydaje się właściwym tak postępować; czyn tylko to, co musisz, i czego nie możesz zrobić w żaden inny sposób.

W jego głosie było coś, co spowodowało, że Arren nie odrywał od niego oczu. Wydało mu się, że twarz maga znowu lśni blaskiem światła ukazując jastrzębi nos, pokryty bliznami policzek i ciemne, żywe oczy. Arren patrzył na niego z miłością, ale też i strachem, myśląc: "o tyle mnie przewyższa". Przyglądając się czarodziejowi, uświadomił sobie w końcu, iż ów blask nie był magicznym światłem, zimną aureolą nie pozostawiającą na twarzy miejsca na cienie, lecz rzeczywistym światłem – zwyczajnym światłem poranka. Były jednak moce przewyższające jego moc. A minione lata nie obeszły się z Krogulcem lepiej niż z innymi ludźmi. Wiek pobruździł mu twarz zmarszczkami. Wyglądał na zmęczonego w coraz silniejszym świetle poranka. Ziewnął...

I tak patrząc, dziwiąc się i zastanawiając, Arren w końcu zasnął. A Krogulec siedział obok niego, obserwując nadchodzący świt i wschód słońca, jak ktoś kto pilnie przypatruje się swemu największemu skarbowi, z którym stało się coś złego – porysowanemu klejnotowi lub choremu dziecku.

5. SNY I MORZE

Późnym rankiem Krogulec uciszył magiczny podmuch, wzdymający dotychczas żagiel łódki, i pozwolił jej płynąć z naturalnym wiatrem, który łagodnie dmuchał na południe i zachód. Daleko, z prawej, wzgórza południowego Wathort przesuwały się pozostając w tyle – coraz bardziej niebieskie i małe, jak zamglone fale wznoszące się nad innymi falami.

Arren zbudził się. Morze wygrzewało się w gorącym, złotym słońcu południa – nieskończony bezkres wody pod bezkresną kopułą światła. Krogulec siedział na rufie nagi, z wyjątkiem przepaski na biodrach i turbanu zwiniętego z płótna żaglowego na głowie. Śpiewał cicho, uderzając dłońmi w ławkę – jak w bęben – w lekkim jednostajnym rytmie. To co śpiewał, nie było magicznym zaklęciem ani pieśnią o czynach bohaterów lub królów, lecz rytmicznym zbitkiem słów, nie mających głębszego sensu, piosenką, jaką może śpiewać samotny chłopiec pasący kozy w długie, gorące letnie popołudnia na wysokich wzgórzach Gontu.

Z morza wyskoczyła ryba i poszybowała w powietrzu na wiele łokci, unosząc się na sztywnych lśniących płetwach podobnych do skrzydeł ważki.

– Jesteśmy na Południowych Rubieżach – powiedział Krogulec, kiedy skończył śpiewać. – To dziwna część świata, gdzie, jak mówią, ryby latają, a delfiny śpiewają. Ale woda jest tutaj dobra do kąpieli, a ja zawarłem porozumienie z rekinami. Zmyj z siebie dotknięcia łowcy niewolników.

Arrena bolał każdy mięsień i z początku nie miał ochoty ruszyć się z miejsca. Nie był też doświadczonym pływakiem, gdyż morza otaczające Enlad nie należą do łagodnych i pływanie w nich podobne jest raczej do szybko wyczerpującej walki. Gdy się zanurzył, błękitne morze, z początku zimne, wydało mu się nieprzyjemne, jednak już po chwili Arren rozkoszował się łagodnym dotykiem wody. Wszystkie dolegliwości ustąpiły. Zmagał się z falami u boku Dalekopatrzącej, jak młody wąż morski. Fontanny wody tryskały w górę. Krogulec dołączył do niego tnąc fale sprężystymi ruchami. Posłuszna i opiekuńcza Dalekopatrząca czekała za nimi – białoskrzydła na lśniącej wodzie. Ryba wyskoczyła w powietrze i Arren rzucił się za nią – zanurkowała, znowu wyskoczyła, szybując w powietrzu, i ponownie uciekła do morza, pociągając go za sobą.

Chłopiec, gibki i zwinny, pluskał się w wodzie i wygrzewał w słońcu pieszczącym morze dotykiem promieni. A mężczyzna, ciemnoskóry i opanowany – tym opanowaniem, jakie daje siła lat – płynął, poruszając się oszczędnymi ruchami, z głową ocienioną zawojem płótna żaglowego. Jednocześnie utrzymywał łódkę na kursie i obserwował kąpiącego się chłopca oraz latające ryby z taką samą bezstronną czułą uwagą.

– Dokąd płyniemy? – zapytał Arren późnym zmierzchem, znowu senny po sutej kolacji z solonego mięsa i czerstwego chleba.

– Na Lorbanery – odparł Krogulec, i te ciche pozbawione znaczenia sylaby były ostatnim dźwiękiem, jaki Arren usłyszał zanim zasnął. A pierwszy śniony tej nocy sen utkał się właśnie wokół nich. Śniło mu się, że brodzi w zwałach miękkiego materiału o wyblakłych kolorach, postrzępionego i przetykanego różowymi, złotymi i lazurowymi niciami, i odczuwa z tego powodu dziwną przyjemność. Ktoś powiedział do niego: "To są jedwabne pola Lorbanery, gdzie nigdy nie zapadają ciemności". Lecz później, u schyłku nocy, wówczas gdy jesienne gwiazdy błyszczały na wiosennym niebie, śnił, że znajduje się w zrujnowanym domu. Wszystko było suche i zakurzone, zewsząd zwisały postrzępione, poszarzałe pajęczki nici. Pajęczyny splątały mu nogi, dusiły go, przesuwał się po ustach i nozdrzach. Ale największą zgrozą nappełniło go to, że poznał ten długi, zaniedbany pokój –

była to sala w Wielkim Domu Roke, sala gdzie jadł śniadanie z Mistrzami.

Zbudził się ogarnięty przerażeniem, z bijącym sercem i nogami unieruchomionymi pod ławką. Usiadł, próbując otrząsnąć się ze straszego snu. Na wschodzie jeszcze się nie rozjaśniło, choć ciemność była już rozrzedzona. Maszt skrzypiał. Żagiel, wciąż wyдутy północno-wschodnim wiatrem, jaśniał nad nim wysoki i ledwo widoczny. Na rufie jego towarzysz spał głębokim, spokojnym snem. Arren ułożył się znowu i drzemał, dopóki nie zbudził go jasny dzień.

Tego dnia morze było tak spokojne i tak niebieskie, że Arren nie wyobrażał sobie, aby mogło być takie w rzeczywistości. Woda była delikatna i przezroczysta, a pływanie w niej sprawiało dziwne nierealne wrażenie unoszenia się lub szybowania w powietrzu.

W południe Arren zapytał:

– Czy czarodzieje przywiązują wagę do snów? Krogulec łowił ryby. Z uwagą obserwował wędkę. Po długiej chwili powiedział:

– Dlaczego o to pytasz?

– Zastanawiam się, czy sny kiedykolwiek odpowiadają prawdzie?

– Z pewnością.

– Czy mogą przepowiedzieć przyszłość?

W tym momencie wzięła ryba – i już w chwilę później mag wciągał na pokład ich obiad – wspaniałego, niebiesko srebrnego morskiego okonia. Pytanie poszło w zapomnienie.

Po południu, gdy próżnowali pod zasłoną skleconą naprędce dla ochrony przed wszechwładnym słońcem, Arren zapytał:

– Co chcemy znaleźć na Lorbanery?

– To, czego szukamy.

– Na Enlad – powiedział po chwili Arren – znana jest opowieść o chłopcu, którego nauczyciel był z kamienia.

– Tak... A czegoż uczył?

– Niezadawania pytań.

Krogulec prychnął powstrzymując śmiech i usiadł.

– Cóż, dobrze! Powiem ci, chociaż wolę milczeć, dopóki nie mam pewności, o czym mówię. Dlaczego magia nie działa w Mieście Hort i na Naweduen, a być może i na całych Rubieżach? Tego właśnie chcemy się dowiedzieć, czyż nie?

– Tak.

– Czy znasz stare powiedzenie: "na Rubieżach prawa się zmieniają"? Posługują się nim żeglarze, ale jest to powiedzenie czarodziei i oznacza, że czary są zależne od miejsca, w którym się je rzuca. Prawdziwe zaklęcie na Roke może okazać się zwyczajnymi słowami na Iffish. Język Tworzenia nie wszędzie jest dobrze pamiętany – tu jedno słowo, tam inne. Tkając czar, przeplata się go ziemią, wodą, wiatrami i światłem miejsca, gdzie jest rzucony. Kiedyś pożeglowałem na wschód tak daleko, że ani wiatr, ani woda, nieświadome swoich prawdziwych imion, nie zważały na moje rozkazy. A może, co bardziej prawdopodobne, to ja byłem ich nieświadom. Świat jest bowiem wielki. Otwarte Morze rozciąga się poza granice wszelkiej wiedzy. Istnieją inne światy poza naszym. Wątpię, czy w tych otchłaniach przestrzeni i czasu jakiegokolwiek możliwe do wypowiedzenia słowo, zachowa, zawsze i wszędzie, swoje znaczenie i swoją moc. Chyba, że będzie to Pierwsze Słowo, które wypowiedział Segoy tworząc wszystko, lub Ostatnie Słowo, które nie było i nie będzie

wypowiedziane, aż do czasu odtworzenia wszystkich rzeczy... Tak, nawet w tym świecie naszego Ziemiomorza wyspy, które znamy, różnią się od siebie, są odmienne i pełne tajemnic. A miejscem najmniej poznanym i najbardziej tajemniczym są Południowe Rubieże. Kilku czarodziei z Łądów Wewnętrznych zawitało do ich mieszkańców. Nie zostali przez nich mile powitani, jako że ludzie ci – tak należy sądzić – mieli swoje własne odmiany magii. Jednak wieści o tym są niejasne i możliwe, że sztuka magiczna nigdy nie była tutaj w pełni zgłębiona i całkowicie zrozumiana. Jeśli tak, mogłaby łatwo zostać unicestwiona przez kogoś, komu zależałoby na jej zniszczeniu, i szybciej osłabłaby, niż nasze czary na Łądach Wewnętrznych. A potem my słuchamy opowieści o tym, jak to na Południu magia nie działa. Wiedza jest korytem, w którym nasze dokonania nabierają mocy i głębi. Tam gdzie nie ma nadrzędnych zasad, czyny Judzi słabną, nie osiągają celu, obracają się wniwecz. W taki sposób owa tłusta kobieta z lusterkami utraciła swoją sztukę – i teraz myśli, że nigdy jej nie posiadała. Dlatego też Zając bierze swoją hazię i myśli, że wie dzie go ona dalej, niż zaszli najwięksi magowie, podczas gdy w rzeczywistości zaledwie wkracza na łąki snów i nie wie, że jest już zgubiony... Lecz gdzie i czym jest to miejsce, do którego, jak sądzi, zdąża? Czym jest to, czego szuka? Czym jest to, co pochłonęło jego czary? Byliśmy już wystarczająco długo w Mieście Hort – tak sądzę – więc płyniemy dalej na południe, do Lorbanery, aby zobaczyć, co czynią tam czarodzieje i dowiedzieć się, czym jest to, co musimy odszukać... Czy to ci wystarczy?

– Tak, lecz...

– Zatem niech kamień zamilknie na chwilę! – powiedział mag. Usiadł przy maszcie w żółtawym, rozpalonym cieniu zasłony. Łódka płynęła leniwie na południe, a on z uwagą wpatrywał się w morze, kierując wzrok na zachód. Siedział wyprostowany nieruchomo. Mijały godziny. Arren wykapał się, wślizgując się cicho do wody z rufy łódki. Nie chciał bowiem wchodzić w pole widzenia ciemnych oczu, spoglądających przez morze na zachód, które wydawały się patrzeć daleko poza jasną linię horyzontu, poza jasny błękit powietrza, poza granice światła.

Krogulec w końcu przerwał swoje milczenie i przemówił, chociaż nie wypowiadał wielu słów na raz. Wychowanie, jakie Arren odebrał, pozwalało mu natychmiast wyczuć prawdziwy nastrój ukryty pod maską uprzejmości bądź powściągliwości. Wiedział więc, że jego towarzysz jest przygnębiony. Nie zadawał już więcej pytań, a gdy zapadł wieczór, powiedział:

– Jeśli zaśpiewam, czy to zakłóci twoje myśli?

– To zależy od tego co zaśpiewasz – odparł Krogulec starając się, aby zabrzmiało to jak żart.

Arren usiadł opierając się plecami o maszt i zaśpiewał. Jego głos nie był już tak cienki i melodyjny jak przed laty, gdy szkolił go nauczyciel muzyki w Pałacu w Berili, wygrywając melodie na swojej smukłej harfie. Teraz wysokie tony okrzepły i nabrały siły, a niskie, ciemne i czyste, podobne były do dźwięków wioli. Śpiewał "Lament po Białym Czarodzieju", pieśń, którą ułożyła Elfarran, kiedy to dowiedziała się o śmierci Morreda i oczekiwała swej własnej. Rzadko śpiewa się tę pieśń i nigdy z lekkim sercem. Krogulec wsłuchał się w młody głos, silny, pewny i smutny, rozlegający się między czerwonym niebem, a morzem. Łzy napłynęły mu do oczu, oslepiając go.

Po tej pieśni Arren milczał przez chwilę, a potem zaczął śpiewać cicho lżejszą, bardziej beztruską melodię. Wzruszyła ona monotonię bezwietrznego powietrza, rozkołysanego morza i zamierającego światła – dopóki nie spłynęła na nich noc. Kiedy skończył śpiewać, wszystko wokół znieruchomiło – wiatr ucichł, fale uspokoiły się, wiązania i liny ledwie poskrzypywały. Morze wygładziło się, a ponad nim jedna po drugiej wschodziły gwiazdy. Ostre, jasne światło ukazało się na południu, kładąc na wodzie deszcz złotych rozbłysków.

– Spójrz, Arcymagu! Latarnia morska! – a po chwili – Czy to może być gwiazda?

Krogulec wpatrywał się przez chwilę w światło i w końcu powiedział:

– Sądzę, że jest to gwiazda Gobardon. Widoczna jest tylko na Południowych Rubieżach. Gobardon znaczy Korona. Kurremkarmerruk nauczał nas, że gdyby płynąć jeszcze dalej na południe, znad horyzontu wyłoniłoby się po Gobardonie jeszcze osiem dalszych, jasnych gwiazd, tworzących razem wielką konstelację; jak niektórzy mówią – podobną do sylwetki biegnącego człowieka lub do runu Agnen. Runu Końca.

Przyglądali się Koronie, rozjaśniającej niespokojny morski horyzont i świecącej coraz mocniej.

– Śpiewałeś pieśń Elfarran – rzekł Krogulec – tak, jakbyś sam czuł smutek i sprawiłeś, że ja też go poczułem. Ze wszystkich historii Ziemiomorza ta jedna zawsze najbardziej mnie wzrusza. Żarliwe męstwo Morreda, stawiającego czoło rozpacz; dobry król, Serriadh, do którego nie miała dostępu rozpacz; i ona, Elfarran. Kiedy uczyniłem największe zło, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się uczynić, zrobiłem to dla jej piękności, którą chciałem ujrzeć. Teraz ją zobaczyłem – przez chwilę widziałem Elfarran.

Zimny dreszcz przebiegł Arrenowi po plecach. Przełknął ślinę i siedział w milczeniu, wpatrując się we wspaniałą, a zgubną – żółtą jak topaz – gwiazdę.

– Który z bohaterów jest ci najbliższy? – zapytał mag, a on odpowiedział: Erreth-Akbe.

– Rzeczywiście, był największym z nich.

– Tak, lecz ja miałem na myśli jego śmierć – sam walczył ze smokiem Ormem na plaży Selidoru. Mógł panować nad całym Ziemiomorzem, a jednak wybrał to zamiast władzy.

Mag nie odpowiedział. Obydwaj przez chwilę podążali za swoimi myślami. Potem, wciąż wpatrując się w żółtą Gobardon, Arren zapytał:

– Zatem jest prawdą, że zmarli mogą być przywróceniu do życia za pomocą magii?

– Tak, mogą być przywróceniu do życia – potwierdził mag.

– Ale czy kiedykolwiek tak się stało? Jak to się robi? Wydawało się, że jego towarzysz odpowiada z wielką niechęcią.

– Za pomocą czarów Przywoływania – powiedział pochmurniej. Arren pomyślał, że mag nic więcej nie będzie chciał powiedzieć, ale ten niespodziewanie ciągnął dalej:

– Te czary zawarte są w naukach Paln. Mistrz Herold nie chce nauczać ani używać tej wiedzy. Jest używana rzadko i nigdy mądrze, jak sądzą. Wielkie czary, które się na nią składają, zostały stworzone przez Szarego Maga z Paln tysiąc lat temu. Przywoływał on duchy bohaterów i magów, nawet Erretha-Akbe, aby doradzały Władcom Paln w ich wojnach i rządach.

– I co się stało?

– Rady zmarłych nie mają pożytku dla żywych. Nastaly złe czasy dla Paln. Szary Mag został wypędzony i zmarł w zapomnieniu.

Mag mówił niechętnie, aczkolwiek jakby czuł, że Arren ma prawo znać odpowiedź. Chłopiec pytał więc dalej:

– Zatem nikt teraz nie używa tych czarów?

– Znałem tylko jednego człowieka stosującego je swobodnie.

– Kim on był?

– Mieszkał w Havnor. Mieli go za zwykłego czarodzieja, ale w rzeczywistości był wielkim magiem o nadprzyrodzonej mocy. Bogacił się na swej sztuce, pokazując każdemu – kto zapłacił –

ducha, jakiego tylko chciano ujrzyć – zmarłą żonę, męża lub dziecko. Wypełnił swój dom niespokojnymi cieniami minionych stuleci, pięknymi kobietami z czasów Królów. Widziałem jak przywołał z Suchej Krainy starego mistrza, Nemmerlego, Arcymaga z czasów mojej młodości, tylko po to, aby w chwili bezczynności rozerwać się i nie wyjść z wprawy. I ta wspaniała dusza przyszła na jego zawołanie, jak pies do nogi. Wzbudziło to mój gniew i rzuciłem mu wyzwanie. Nie byłem wówczas Arcymagiem. Powiedziałem: – Zmuszasz zmarłych, aby przychodzili do ciebie. Czy pójdziesz ze mną do ich rodziców? I zmusiłem go, aby poszedł, chociaż przeciwstawiał się całą swoją wolą, zmieniał kształt i płakał głośno w ciemności.

– I w ten sposób go zabiłeś? – wyszeptał z przejęciem Arren.

– Nie! Zmusiłem go, aby poszedł i wrócił ze mną. Był przerażony. On, który tak łatwo przywoływał zmarłych, bał się śmierci – swojej własnej – bardziej niż jakikolwiek inny człowiek. Przy kamiennym murze... Ale powiedziałem ci więcej niż powinien wiedzieć nowicjusz. A ty nie jesteś nawet nowicjuszem. – Poprzez zapadający zmrok przenikliwe oczy odwzajemniły spojrzenie Arrena, pesząc go.

– No, dobrze – zgodził się Arcymag. – Jest to kamienny mur, pewne miejsce na samej granicy. Przez niego duch wkracza do krainy śmierci, a żywy człowiek może go przekroczyć i wrócić z powrotem, jeśli zna drogę... Przy kamiennym murze, po stronie żywych, ten człowiek skulił się i nie chciał iść dalej. Przywarł rękoma do kamieni, płakał i jęczał. Jego strach wzbudził we mnie obrzydzenie i gniew. To powinno było mnie przekonać, że czynię źle. Ale oświadczyła mi złość i pycha. On był silny, a ja pragnąłem udowodnić, że jestem jeszcze silniejszy.

– Co potem zrobił – kiedy wróciliście?

– Człogał się przede mną i przysiągł nigdy już nie używać Wiedzy Pelnish. Całował moją rękę, a przecież mógł mnie zabić.

– Co się z nim stało?

– Wyjechał z Havnor, na zachód, być może do Paln. Nigdy już o nim nie słyszałem. Kiedy go poznałem, włosy miał już białe, choć wciąż jeszcze był żwawym mężczyzną wyglądającym jak zapaśnik. Być może już nie żyje. Nie mogę sobie nawet przypomnieć jego imienia.

– Prawdziwego imienia?

– Nie! To pamiętałbym. – Przerwał, i na przeciąg trzech uderzeń serca zapadł w całkowity bezruch.

– Nazywali go Cob, tam, w Havnor – powiedział zmienionym, wyważonym głosem.

Było zbyt ciemno, aby dostrzec wyraz twarzy maga. Arren zobaczył tylko, że odwraca się i patrzy na żółtą gwiazdę, teraz już wzeszła wyżej nad falami, rzucającą w ich stronę przerywaną smugę złota, tak cienką jak pajęczna nić. Po chwili Arcymag odezwał się znowu:

– Nie tylko w snach, Arrenie, bywa tak, że odnajdujemy siebie wciąż jeszcze stawiających czoła temu, co dawno zostało zapomniane i mówiących coś, co wydaje się nie mieć sensu tylko dlatego, że sami nie chcemy go dostrzec.

6. LORBANERY

Widziana z odległości dziesięciu mil rozświetlonej wody, Lorbanery była zielona, jak jasny mech na obrzeżu fontanny. Z bliska rozpadała się na liście, pnie drzew, cienie, drogi, a także na domy, twarze i ubrania ludzi, kurz i to wszystko co składa się na zamieszkałą wyspę. Jednak wciąż, przede wszystkim, była zielona – każdy bowiem kawałek powierzchni, który nie był zabudowany bądź zbyt nieurodzajny, oddano w posiadanie niskim drzewom morwowym o okrągłych koronach. Liśćmi tych drzew żywią się małe czerwie, wysnuwające jedwab, z którego przedzie się nici do tkanin jakie sporządzają mężczyźni, kobiety i dzieci całej Lorbanery. O zmierzchu powietrze pełne jest niewielkich, szarych nietoperzy, które żywią się małymi czerwiemi. Zjadają dużo, ale pozwala im się na to; jedwabnicy nie zabijają ich. Są głęboko przekonani, iż zabicie szaroskrzydłego nietoperza stanowi bardzo złą wróżbę. Jeśli ludzie żyją z maleńkich robaczków – powiadają – to z pewnością małe nietoperze mają prawo do tego samego.

Domy były dziwaczne, z małymi oknami umiejscowionymi, gdzie popadnie, o strzechach z gałązek morwy – całe zielone od mchów i porostów. Lorbanery to bogata wyspa – tak jak wiele wysp na Rubieżach, – i wciąż jeszcze widać to było po wymalowanych i dostatnio wyposażonych domostwach, po wielkich kołowrotkach i krosnach w domach i warsztatach, i po kamiennej przystani małego portu Sosara, gdzie jednocześnie mogło cumować kilka kupieckich galer. Lecz teraz w przystani nie było statków. Farba na domach wyblakła, nie widać było nowego wyposażenia, większość kołowrotków i warsztatów stała beczynnie, zakurzona, z pajęczynami rozsnutymi pomiędzy pedałami, pokrywającymi osnowy i krosna.

– Czarodzieje? – zdziwił się naczelnik wioski Sosara, niski mężczyzna o twarzy tak twardej i brunatnej, jak podeszwy jego gołych stóp. – Nie ma czarodziei na Lorbanery. Nigdy nie było.

– Kto by pomyślał? – rzekł z podziwem Krogulec. Siedział z ośmioma lub dziewięcioma wieśniakami, pijąc cienkie i cierpkie wino z owoców morwy. Z konieczności powiedział im, że przybył na Rubieżę Południową w poszukiwaniu kamienia emmel. Nie widział jednak potrzeby ukrycia siebie lub swego towarzysza pod przebraniem. Arren jak zwykle pozostawił swój miecz schowany na łódce, a jeśli mag miał przy sobie swoją laskę, to nie było jej widać. Wieśniacy początkowo byli ponurzy i wrogo nastawieni, w każdej chwili gotowi znowu stać się takimi samymi. Tylko zręczność i autorytet Krogulca pokonywały ich niechętnie nastawienie.

– Musicie przecież mieć zaklinaczy drzew – powiedział. – Co robią, gdy sady zetnie późny przymrozek?

– Nic – odpowiedział chudy mężczyzna z końca rzędu wieśniaków. Wszyscy siedzieli w szeregu pod okapem, oparci plecami o ścianę gospody. Tuż za ich stopami bębnił o ziemię grubokroplisty, łagodny kwietniowy deszcz.

– Niebezpieczeństwo tkwi w deszczach, nie w przymrozkach – stwierdził naczelnik. Robaki toczą korzenie. Nikt nie potrafi powstrzymać deszczu. I nigdy nie potrafił. Naczelnik był wrogo nastawiony do czarodziei i czarów, inni jednak wydawali się za nimi tęsknić.

– Nigdy nie padało o tej porze roku, – odezwał się jeden z nich – kiedy żył nasz przyjaciel.

– Kto? Stary Mildi? Cóż, nie żyje. Zmarł – odparł naczelnik.

– Zwykle nazywano go Sadownikiem, – wspomniał chudy mężczyzna.

– Tak, nazywano go Sadownikiem – dodał inny. Cisza spadła na nich jak deszcz na ziemię.

– W oknie jednoizbowej gospody siedział Arren.

Znalazł starą lutnię zawieszoną na ścianie, o długim gryfie i trzech strunach – jedną z tych, jakich używają na Jedwabnej Wyspie. Grał teraz na niej, ucząc się wydobywać muzykę, nie głośniejszą niż stukot deszczu o strzechę.

– Na rynkach w Mieście Hort – zaczął Krogulec – widziałem materiały sprzedawane jako jedwab z Lorbanery. Niektóre z nich rzeczywiście były jedwabiem, ale żaden nie pochodził stąd.

– Sezony były do niczego – tłumaczył chudy mężczyzna. – Cztery lata były takie, teraz idzie piąty.

– Pięć lat minęło od Wili Odłogów – odezwał się stary mężczyzna skrzypiącym głosem – od czasu kiedy zmarł Stary Mildi. Tak, przecież zmarł, a nie był nawet tak stary, jak ja. Zmarł akurat w Wilię Odłogów.

– Brak zwiększa ceny – powiedział naczelnik. – Za jedną sztukę wpół oczyszczonego, błękitno farbowanego jedwabiu dostaniemy teraz tyle, ile dostawaliśmy za trzy sztuki.

– Jeśli dostaniemy. Gdzie są statki? A błękit jest podrabiany – sprzeciwił się chudy mężczyzna. Tym sposobem przez najbliższe pół godziny dyskutowali o jakości farb, jakich używali w swych wielkich warsztatach.

– Kto wyrabia farby? – zapytał Krogulec, wywołując na nowo ożywioną sprzeczkę.

Jak z niej wynikało, cały proces farbowania nadzorowali członkowie rodziny, którzy, rzeczywiście uważali siebie za czarodziei. Jeśli jednak kiedykolwiek byli czarodziejami, to utracili swoją sztukę i nikt inny jej nie posiadał; jak kwaśno zauważył chudy mężczyzna. Wszyscy z wyjątkiem naczelnika zgadzali się, że słynny błękit z Lorbanery i niezrównany szkarłat nazywany smoczym ogniem – noszony dawno temu przez Królowe na Haunorze – nie są już tym, czym były kiedyś. Czegoś im brakowało. Winę za to mogły ponosić padające nie w porę deszcze, barwniki, lub ich niedokładne oczyszczanie.

– Albo oczy ludzi, którzy nie potrafią odróżnić prawdziwego lazuru od brudnego błękitu – powiedział zgryźliwie chudy mężczyzna i spojrzał ze złością na naczelnika.

Naczelnik nie podjął wyzwania i znowu wszyscy umilkli.

Cienkie wino wydawało się jeszcze bardziej kwasić ich humory – twarze mieli pochmurne. Słychać było tylko szelest deszczu na niezliczonych liściach sadów w dolinie, szept morza w dole na końcu ulicy i ciche dźwięki lutni w ciemności za drzewami.

– Może coś zaśpiewa, ten twój chłopak o twarzy dziewczyny? – zapytał naczelnik.

– Dobrze. Arrenie, zaśpiewaj nam coś, chłopcze.

– Nie mogę na tej lutni zagrać do końca niskich tonów – powiedział Arren z okna, uśmiechając się.

– Brakuje jej płaczu. Czego chciałbyś posłuchać, gospodarzu?

– Czegoś nowego – mruknął naczelnik. Lutnia zadźwięczała cicho; już ją nastroił.

– Może tego tutaj nie znacie – powiedział. Potem zaśpiewał.

Na białe cieśniny Solei,

na pochylone w ukłonie czerwone gałęzie,

które zwieszają swe kwiaty

nad jej schyloną głową,

ciężką od smutku za utraconym kochankiem,

na czerwoną gałąź i na białą gałąź,

na smutek, co nie przemija,
przysięgam,
ja, Serriadh,
krew z krwi matki mojej i krwi Morreda,
pamiętać o tym, co złe -
zawsze, zawsze.

Siedzieli nieruchomo w ciepłym, dżdżystym zmierzchu Południa, słuchając pieśni, podobnej do krzyku szarego łabędzia z zimnych mórz, wokoło wyspy Ea. Gdy pieśń się skończyła, milczeli jeszcze chwilę pogrążeni w smutku i tęsknocie.

– Dziwna muzyka – odezwał się w końcu któryś, niepewnie.

Inny, przywracając poczucie absolutnego pierwszeństwa wyspy Lorbanery w każdym miejscu i czasie, powiedział: – Obca muzyka zawsze była cudaczna i ponura.

– Zatem wy nam zaśpiewajcie – zaproponował Krogulec. Sam posłuchałbym wesołej piosenki. Chłopak zawsze śpiewa o dawno zmarłych bohaterach.

– Ja zaśpiewam – powiedział ten, który odezwał się ostatni. Odchrząknął lekko i zaczął śpiewać o baryłce mocnego, wiernego wina i... hej, ho i wszyscy razem! Lecz nikt nie przyłączył się do chóru i pieśń się urwała.

– Śpiewacy są do niczego – stwierdził ze złością. – To wina młodych, którzy burzą i zmieniają dawne zwyczaje, zamiast uczyć się starych pieśni.

– To nie tak – sprzeciwił się chudy mężczyzna. – Wszystko jest do niczego. Nic nie idzie dobrze.

– Tak, tak, tak – wysapał najstarszy z nich. – Szczęście nas opuściło. Właśnie tak. Szczęście nas opuściło.

Po tym nikt już nie miał wiele do powiedzenia. Wieśniacy odchodzili po dwóch, trzech, aż na zewnątrz gospody pozostał tylko Krogulec, a w środku Arren. I wówczas, wreszcie, Krogulec roześmiał się. Lecz nie był to wesoły śmiech.

Bojaźliwa żona oberżysty rozpostarła dla nich posłania na podłodze, potem odeszła, a oni ułożyli się do snu. Lecz wysokie krokwie izby były siedzibą nietoperzy, które przez całą noc wlatywały i wylatywały przez pozbawione szyb okna, popiskując cienko. Dopiero o świcie powróciły na dobre, sadowiąc się na swoich miejscach. Każdy składał się w mały, zgrabny pakunek, zwisający z krokwi w dół.

Być może to ów nieustający ruch nietoperzy sprawił, że Arren nie spał spokojnie. Minęło wiele nocy od czasu, gdy po raz ostatni spał na starym łądzie. Jego ciało odzwyczaiło się od bezruchu ziemi i, gdy zasypiał, wciąż domagało się kołysania, kołysania... wtedy świat wysuwał się spod niego i Arren budził się z gwałtownym wzdrygnięciem. Gdy w końcu zasnął, śniło mu się, że jest skuty łańcuchami w ładowni statku łowcy niewolników; byli tam też inni, lecz wszyscy martwi. Budził się wiele razy, aby uwolnić się od tego snu, lecz zasypiając, natychmiast do niego powracał. W końcu wydało mu się, że pozostał na statku sam, ale wciąż spętany tak, że nie mógł się ruszyć. Wówczas jakiś dziwny, powolny głos przemówił mu do ucha. Zrzuć więzy – powiedział – Zrzuć więzy. Spróbował się poruszyć i udało mu się to. Wstał. Znajdował się na jakimś rozległym, zamglonym wrzosowisku pod niskim niebem. Ziemia i gęste powietrze przesycone były grozą, nieskończonym przerażeniem. To miejsce było straszne, straszne samo w sobie, a on tam był i nie mógł się wydostać. Musiał znaleźć drogę, lecz nie zauważył żadnych ścieżek, a on sam był maleńki jak dziecko, jak

mrówka, natomiast miejsce było. ogromne, nieskończone. Spróbował ruszyć przed siebie, potknął się i... obudził.

Teraz, gdy nie spał, strach go nie otaczał, lecz wcale nie mniejszy był w nim. Czuł, że czarna ciemność pokoju dusi go i zaczął szukać gwiazd w niewyraźnym prostokącie okna. Nie mógł ich dojrzeć, choć deszcz już ustał. Leżał czuwając, a nietoperze wlatywały i wylatywały przez okno na swych bezgłośnych, błoniastych skrzydłach. Czasami, na samej granicy słyszalności, dochodziły go cienkie głosy.

Wstali wcześniej, o jasnym poranku. Krogulec z przejęciem dopytywał się o kamienie emmel. Jakkolwiek żaden z wieśniaków nie wiedział, co to takiego, mieli na ten temat różne przypuszczenia i spierali się. On słuchał, lecz tak jakby czekał na inne wieści. W końcu Krogulec i Arren ruszyli drogą, którą zaproponował im naczelnik, prowadzącą do kamieniołomów, gdzie wydobywano błękitny barwnik. Lecz gdy wyruszyli, Krogulec skręcił w bok.

– To będzie ten dom – stwierdził. – Mówili, że rodzina farbiarzy i skompromitowanych czarodziei mieszka przy tej drodze.

– Czy warto z nimi rozmawiać? – zapytał Arren, pamiętający aż nadto dobrze Zająca.

– Tam skupia się nieszczęście – powiedział ochryple mag. – To tam skończyło się szczęście. Muszę dotrzeć do tego miejsca! – I ruszył przed siebie, a Arren musiał pójść za nim.

Dom, ładny kamienny budynek, stał w głębi otoczony sadami. On sam i całe otoczenie było od dawna zaniedbane. Nie zebrane, wyblakłe kokony jedwabników zwisały pomiędzy połamanymi gałęziami, a ziemia pod drzewami pokryta była grubą warstwą śmieci – martwych larw i ciem. Dom i wszystko w pobliżu niego spowijał odór rozkładu. Gdy podeszli do niego, Arren nagle przypomniał sobie przerażenie, jakie ogarnęło go tej nocy.

Zanim doszli, drzwi otwarły się gwałtownie. Wyskoczyła zza nich siwowłosa kobieta, spoglądając zaczerwienionymi oczyma i krzycząc z nienawiścią: – Precz, przekłeci, złodzieje, oszczercy, półgłówki, kłamcy i obrzydliwi głupcy! Precz, wynoście się! Żeby was nigdy zły los nie opuścił!

Krogulec zatrzymał się, wyglądając na nieco zaskoczonego, i szybko unióś rękę w dziwnym geście. Powiedział tylko jedno słowo: – Przestań!

Słyszając to kobieta zamilkła. Wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi oczyma.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Aby odwrócić twoją klątwę.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego i w końcu zapytała ochryple:

– Obcy?

– Z północy.

Zbliżyła się. Z początku Arren skłonny był się z niej śmiać, z tej starej kobiety skrzeczącej na progu, lecz gdy się zbliżyła, czuł już tylko wstyd. Była odrażająca, jej ubranie było brudne i postrzępione, oddech cuchnął, a oczy miały wyraz okropnego cierpienia.

– Nie mam mocy, aby przeklinać – powiedziała. – Żadnej mocy. – Powtórzyła gest Krogulca. – Czy tam, skąd przybywasz, wciąż tak robią?

Skinął głową. Spoglądał na nią nieruchomym wzrokiem, a ona odwzajemniła jego spojrzenie.

Niespodziewanie twarz jej zaczęła się poruszać i zmieniać, i nagle zapytała: – Gdzie twoja laska?

– Nie pokazuję jej tutaj, siostró.

– Tak, nie powinieneś. Może odgradzić cię od życia. Tak jak mnie odgradziła od życia moja moc. I tak je straciłam. Straciłam też wszystko co wiedziałam, wszystkie słowa i imiona. Odeszły z moich oczu i ust po cienkich sznurkach podobnych do pajęczyny. W świecie jest dziura i światło wysącza się przez nią a słowa odchodzą ze światłem. Czy wiesz o tym? Mój syn cały dzień siedzi wpatrując się w ciemność, szukając dziury w świecie. Powiada, że widziałby lepiej, gdyby był ślepcem. Nie umie już farbować. A byliśmy Farbiarzami Lorbanery. Spójrz! – Wyciągnęła w ich stronę szczupłe, muskularne ręce, aż po barki splamione wyblakłą mieszaniną niezmywalnych farb. – Nigdy nie schodzą ze skóry – wyjaśniła – ale umysł został zmyty do czysta. Nie ma już w nim kolorów. Kim jesteście?

Krogulec nie odpowiedział. Ich oczy znowu się spotkały. Arren, stojąc z boku, obserwował to z niepokojem.

Nagle zadrżała i wyszeptała: – Znam cię...

– Tak. Swój pozna swego, siostrze.

Dziwnym było widzieć, jak odsuwa się od maga w przerażeniu, pragnąc uciec, lecz jednocześnie coś ciągnęło ją do niego. Wydawało się, że chce paść przed nim na kolana.

Ujął jej rękę i zatrzymał ją: – Czy chcesz, aby powróciła twoja moc, zdolności, wiedza. Mogę ci to dać.

– Jesteś Wielkim – wyszeptała. – Jesteś Królem Cieni. Panem Ciemnego Miejsca...

– Nie. Nie jestem królem. Jestem człowiekiem, śmiertelnikiem, twoim bratem, takim samym człowiekiem jak ty.

– Ale nie umrzesz?

– Umrę.

– Lecz powrócisz i będziesz żył wiecznie?

– Nie. Ani żaden inny człowiek.

– Zatem nie jesteś... nie jesteś Wielkim z ciemności, – zdziwiła się, marszcząc brwi i spoglądając na niego z mniejszym strachem. – Jednak jesteś Wielkim. Czyżby było dwóch? Jak brzmi twoje imię?

Surowa twarz Krogulca na chwilę złagodniała. – Nie mogę tego tobie powiedzieć – odezwał się łagodnie.

– Wyznam wam tajemnicę – rzekła cicho. Stała teraz wyprostowana, patrząc mu prosto w oczy, a w jej głosie i postawie rozbrzmiewało echo dawnej godności. – Nie chcę żyć, żyć i żyć wiecznie. Wolałabym, aby powróciły imiona rzeczy. Ale one wszystkie odeszły. Imiona nic teraz nie znaczą. Nie ma więcej tajemnic. Czy chcesz poznać moje imię? – Jej oczy wypełniły się światłem, pięści zacisnęły, pochyliła się do przodu i wyszeptała: – Mam na imię Akaren. – Potem wykrzyczała już głośno: – Akaren! Akaren! Mam na imię Akaren! Teraz wszyscy znają moje ukryte imię, moje prawdziwe imię! I nie ma już tajemnic, nie ma prawdy, i nie ma śmierci... śmierci... śmierci! Ostatnie słowo wykrzyczała szlochając, aż ślina trysnęła jej z ust.

– Zamilcz, Akaren!

Umilkła. Łzy spływały po jej brudnej twarzy, przesłoniętej pasmami potarganych, siwych włosów.

Krogulec ujął tę pomarszczoną, zroszoną łzami twarz w obie dłonie, i niezwykle lekko, bardzo czule pocałował ją w oczy. Stała bez ruchu, z przymkniętymi powiekami. Arcymag, z ustami przy jej uchu, powiedział kilka słów w Starej Mowie, jeszcze raz ją pocałował i puścił.

Otworzyła oczy i patrzyła na niego przez chwilę zamyślonym, niedowierzającym wzrokiem – tak

niemowlę spogląda na swoją matkę, tak matka patrzy na swoje dziecko. Powoli odwróciła się i podeszła do drzwi, przestąpiła próg i zamknęła drzwi za sobą – w zupełnym milczeniu, z nieustającym wyrazem zdziwienia na twarzy.

Mag bez słowa zawrócił w stronę drzwi. Arren poszedł za nim. Nie śmiał o nic pytać. Niespodziewanie Krogulec zatrzymał się pośrodku zniszczonego sadu i powiedział: – Odebrałem od niej imię i dałem jej nowe. To w pewnym sensie nowe narodziny. Nie było dla niej żadnej innej nadziei ani pomocy.

Jego głos był napięty i stłumiony.

– To była kobieta obdarzona mocą – ciągnął dalej. – Nie zwyczajna czarownica czy warzycielka driakwi, lecz kobieta posiadająca zdolności i znająca sztukę. Używała swego kunsztu do tworzenia piękna – dumna i uczciwa kobieta. To było jej życie. I wszystko to zostało zniszczone. – Odwrócił się nagle, wszedł w szpaler drzew, i zatrzymał się, zwrócony plecami do Arrena, przy jednym z pni.

Arren czekał na niego w gorącym, pocętkowanym cieniem liści, słonecznym światłem. Wiedział, że Krogulec wstydzi się obarczać go swoimi uczuciami. Rzeczywiście nie było niczego, co mógłby zrobić i powiedzieć. Za to sercem był całkowicie ze swoim towarzyszem. Nie była to już teraz owa pierwsza, romantyczna żarliwość i uwielbienie, lecz świadoma cierpienia więź, która wyszła z najskrytszych głębin serca i została przekuta w niezłomne więzy. W swej miłości czuł teraz współczucie – bez niego bowiem miłość nie zahartuje się, nie jest pełna i długo potrwa.

Niebawem Krogulec wrócił do niego przez zielony cień sadu. Żaden z nich nie odezwał się i szli dalej obok siebie. Było gorąco. Deszcz, który spadł ostatniej nocy, wysechł i kurz unosił się na drodze pod ich stopami. Wcześniej ten dzień wydawał się Arrenowi posępny i mdły, zatruty przez sny. Teraz znajdował przyjemność i w gorącym dotyku słońca i w uldze, jaką przynosił cień. Był zadowolony i nie rozmyślał nad celem wędrówki.

Nie miało to i tak znaczenia, bowiem niczego nie osiągnęli. Popołudnie zeszło im na rozmowach z ludźmi, wydobywającymi rudy barwników, i na targowaniu się o te kawałki, o których mówiono, że są kamieniami emmel. Gdy zmęczeni wracali do Sosary, a ostatnie promienie słońca dotykały ich głów i karków, Krogulec zauważył:

– To błękitny malachit, lecz wątpię, aby się na tym poznali w Sosarze.

– Oni są dziwni – powiedział Arren. – Tak jest ze wszystkim; nie widzą różnicy pomiędzy niczym. Jeden z nich powiedział naczelnikowi ostatniej nocy: "Nie odróżniasz prawdziwego lazuru od brudnego błękitu...". Narzekają na złe czasy, lecz nie wiedzą, kiedy się one zaczęły. – Skarżą się na złą robotę, lecz nie robią nic, aby ją poprawić. – Nie widzą nawet różnicy pomiędzy rzemieślnikiem a człowiekiem czarów, pomiędzy rzemiosłem a sztuką magiczną. Tak, jakby w ich umysłach nie było wyraźnych kolorów, granic i różnic. Wszystko jest dla nich takie same, wszystko jest szare.

– Tak – zgodził się mag w zamyśleniu. Przez chwilę stapał z głową wciągniętą między ramiona, podobny do jastrzębia; i chociaż był niewysokim mężczyzną, szedł zadziwiająco długim krokiem.

– Czego im brakuje?

Arren odpowiedział bez chwili wahania:

– Radości życia.

– Tak – powtórzył znowu Krogulec, zgadzając się ze stwierdzeniem Arrena i zastanawiając się nad nim przez chwilę. – Cieszę się – powiedział w końcu – że możesz myśleć za mnie, chłopcze... Czuję się zmęczony i otępiały. Jestem zniechęcony od czasu, kiedy rozmawialiśmy z tą, która miała na imię Akaren. Czuję wstręt do rozpadu i zniszczenia. Nie pragnę wroga. Jeśli mam wroga, to nie

chciałbym ani go szukać, ani bać się z nim spotkać... Jeśli ktoś już musi szukać, nagrodą powinien być skarb, a nie coś wstrętnego.

– Wróg, mój panie... – zaczął Arren, a Krogulec skinął głową.

– Gdy mówiła o Wielkim Człowieku, Królu Cieni...? Krogulec ponownie skinął głową.

– Też tak myślę – powiedział. – Sądzę, że musimy dotrzeć nie tylko do miejsca, lecz przede wszystkim do osoby. To jest zło, zło, które przeszło przez tę wyspę – ta utrata umiejętności i dumy, ten smutek i rozpad. To dzieło złej woli. Ale owa wola nie jest związana z miejscem, nawet nie zauważa Akaren czy Lorbanery. Trop, jakim goni-my, to ślad zniszczenia, tak jakbyśmy zdążali za wozem, który runął z górskiego zbocza i na naszych oczach wywołał lawinę.

– Czy ona, Akaren, może powiedzieć coś więcej o tym wrogu – kim lub czym jest, i gdzie się znajduje?

– Nie teraz, chłopcze – odparł mag cichym, ponurym głosem. – Bez wątpienia mogłaby. W jej szaleństwie wciąż tkwi magia. Prawdę powiedziawszy, właśnie to szaleństwo było jej czarami. Lecz nie mogę zmuszać jej, aby mi odpowiedziała. Zbyt mocno cierpi.

Szedł dalej z głową schowaną między ramionami, jakby sam cierpiał i bardzo pragnął tego uniknąć.

Arren odwrócił się, usłyszawszy za sobą tupot nóg na drodze. Za nimi biegł mężczyzna. Był jeszcze daleko, lecz zbliżał się szybko. W świetle zachodzącego słońca kurz drogi i długie włosy tworzyły wokół jego głowy aureolę. Wydłużony cień skakał dziwacznie po pniach drzew rosnących przy drodze.

– Słuchajcie! – krzyczał. – Zatrzymajcie się! Znalazłem ją! Znalazłem!

Zrównał się z nimi w pośpiechu. Ręka Arrena powędrowała najpierw do miejsca, gdzie powinna znajdować się rękojeść miecza, potem do miejsca, gdzie niegdyś tkwił jego utracony nóż, a potem zwinęła się w pięść – wszystko to w ułamku chwili. Rzucił groźne spojrzenie na mężczyznę i wysunął się naprzód. Mężczyzna był o całą głowę wyższy od Krogulca, z szerokimi barami. Szaleniec o dzikich oczach dyszał i bredził.

– Znalazłem ją! – powtarzał, podczas gdy Arren, usiłując zdobyć nad nim przewagę, surowym głosem zapytał:

– Czego chcesz? – Mężczyzna chciał go ominąć i podejść do Krogulca, jednak Arren znowu zastąpił mu drogę.

– Jesteś Farbiarzem Lorbanery – stwierdził Krogulec.

Wówczas Arren poczuł, że zrobił z siebie głupca próbując bronić swego towarzysza. Usunął się więc na bok, czyniąc wolną drogę. Te trzy słowa maga spowodowały, że szaleniec przestał dyszeć i wymachiwać swoimi wielkimi, poplamionymi rękoma. Jego oczy uspokoiły się. Skinął głową.

– Byłem Farbiarzem – powiedział – ale teraz nie potrafię farbować. – Spojrzał z ukosa na Krogulca i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Potrząsnął głową pokrytą czerwonym, zakurzonym gąszczem włosów. – Zabrałeś imię mojej matce – przemówił. – Nie poznaję jej teraz, a ona mnie. Kocha mnie wciąż mocno, lecz opuściła mnie. Nie żyje.

– Arrenowi zamarło serce, lecz zobaczył, że Krogulec zaledwie lekko potrząsnął głową.

– Nie, nie – zaprzeczył – ona nie zmarła.

– Ale umrze. Umrze.

– Tak. To konsekwencja samej istoty życia – potwierdził mag.

Farbiarz wydawał się głowić nad tym przez chwilę, a potem podszedł do Krogulca, chwycił go za ramiona i pochylił się nad nim. Poruszał się tak szybko, że Arren nie mógł mu przeszkodzić, jednak, gdy zbliżył się do nich, usłyszał jego szept: – Znalazłem dziurę w ciemności. Stał tam Król. On jej pilnuje, rządzi nią. Miał małeńki płomyk, małeńką świeczkę w dłoni. Dmuchał w nią i ona zgasła. Potem dmuchnął w nią znowu i zapaliła się. Zapaliła się!

Krogulec nie sprzeciwiał się, gdy mężczyzna schwycił go i szeptał. Zapytał tylko:

– Gdzie byłeś, kiedy to widziałeś?

– W łóżku.

– Śniąc?

– Nie.

– Po drugiej stronie muru?

– Nie – powiedział Farbiarz zupełnie trzeźwo, lecz z wyraźnym niepokojem. Puścił maga i cofnął się o krok. – Nie, ja... ja nie wiem, gdzie ona jest. Znalazłem ją, lecz nie wiem gdzie.

– To właśnie chciałbym wiedzieć – stwierdził sucho Krogulec.

– Mogę ci pomóc.

– Jak?

– Masz łódź. Przyplynałeś na niej tutaj, popłyniesz dalej. Popłyniesz na zachód, prawda? To właśnie tam. To droga do miejsca, skąd on przychodzi. Musi istnieć miejsce, miejsce na tym świecie, bo on jest żywy – nie jak duchy i dusze zmarłych, które przechodzą przez mur. Nie możesz przecież przywołać zza muru niczego oprócz dusz, a to jest żywe ciało, nieśmiertelne. Widziałem płomień, zapalający się w ciemności od jego oddechu, płomień, który dawno był zgaszony. Widziałem to. – Twarz mężczyzny zmieniła się, nabrała jakiegoś dziwnego uroku w czerwonożłotym świetle zachodzącego słońca. – Wiem, że on pokonał śmierć. Wiem to. Poświęciłem moją sztukę magiczną, aby się tego dowiedzieć. Byłem przecież kiedyś czarodziejem! I ty to wiesz i zdążasz tam. Weź mnie ze sobą.

To samo światło padało na twarz Krogulca, lecz pozostawiało ją nieporuszoną i szorstką.

– Próbuję tam dotrzeć – przyznał.

– Pozwól mi pójść z tobą! Krogulec krótko skinął głową.

– Jeśli będziesz tam, kiedy popłyniemy – powiedział tak zimno, jak przedtem.

Farbiarz cofnął się jeszcze o krok i stał obserwując Krogulca. Uniesienie na jego twarzy powoli męciło się i zamazywało, aż zastąpił je dziwny, ponury wyraz. Wyglądało to tak, jak gdyby rozsądna myśl z trudem torowała sobie drogę przez oszalamiającą nawałnicę słów, odczuć i wizji. W końcu bez słowa zawrócił i zaczął biec z powrotem drogą w mgiełce kurzu, który jeszcze nie zatarł jego śladów. Arren odetchnął głęboko z ulgą. Krogulec również westchnął, chociaż nie było to westchnienie ulgi. – Cóż – powiedział. – Dziwne drogi wymagają dziwnych przewodników. Chodźmy.

Arren zbliżył się na krok do Krogulca.

– Chyba nie chcesz go zabrać? – zapytał.

– To zależy od niego.

W nagłym błysku gniewu Arren pomyślał: ode mnie też, nic jednak nie powiedział i szli dalej obok siebie w milczeniu.

Kiedy wrócili do Sosary, nie zostali tam dobrze przyjęci. Na tak małej wyspie jak Lorbanery wiadomo jest o wszystkim, co się tylko wydarzy. Bez wątpienia widziano ich skręcających do Domu Farbiarza i rozmawiających z szaleńcem na drodze. Karczmarz obsłużył ich po grubiańsku, a jego żona zachowywała się tak, jakby wzbudzali w niej nieprzytomny strach. Wieczorem, kiedy ludzie z wioski przyszli aby zasiąść pod okapem karczmy, wyraźnie stronili od obcych, choć między sobą byli weseli i rozbawieni. Dowcipów nie można jednak powtarzać w kółko i zabawa szybko skończyła się. Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę i w końcu naczelnik odezwał się do Krogulca:

– Czy znalazłeś te swoje niebieskie kamienie?

– Znalazłem jakieś niebieskie kamienie – odparł uprzejmie Krogulec.

– Pewnie Sopli ci pokazał, gdzie ich szukać, co?

– Cha, cha, cha – zaśmiał się ktoś, wyczuwając ironię w głosie naczelnika.

– Sopli to ten mężczyzna z czerwonymi włosami?

– Obląkany. Rano rozmawiałeś z jego matką.

– Szukałem czarodzieja – rzekł czarodziej. Chudy mężczyzna, który siedział najbliżej niego, splunął w ciemność.

– Po co?

– Sądziłem, że może odnajdę to, czego szukam.

– Ludzie przybywają na Lorbanery po jedwab – powiedział naczelnik. Nie szukają tutaj kamieni. Nie szukają czarów. Nie przybywają tutaj, aby poznać odczynianie uroków, hokus-pokus i inne czarodziejskie sztuczki. Żyją tu uczciwi ludzie i zajmują się uczciwą robotą.

– To prawda. Ma rację – poparła go reszta.

– I nie chcemy tutaj innych ludzi, przybyszy z obcych stron, wtykających nos w nie swoje sprawy i wtrącających się do naszych interesów.

– To prawda. Ma rację – powtórzył chór.

– Jeśli byłby w okolicy jakiś czarodziej, który nie zwariował, dalibyśmy mu prawdziwą robotę w naszych warsztatach, ale oni nie wiedzą, jak uczciwie pracować.

– Wiedzieliby, gdyby tam było cokolwiek do roboty – odparł Krogulec. – Wasze warsztaty są puste, sady zapuszczone, jedwab w waszych magazynach został utkany przed laty. Cóż wy robicie, tutaj na Lorbanery?

– Pilnujemy swoich spraw – warknął naczelnik, lecz chudy mężczyzna wybuchnął w podnieceniu:

– Dlaczego statki nie przybywają, powiedz nam to! Co oni robią w mieście Hort? Czy to dlatego, że nasza robota jest do niczego?

Przerwano mu gniewnymi zaprzeczeniami. Wykrzykiwali do siebie, podrywali się na nogi, naczelnik potrząsał pięścią przed twarzą Krogulca, ktoś wyciągnął nóż. Ponury nastrój zmienił się w szal. Arren natychmiast powstał i spojrzał na Krogulca. Spodziewał się ujrzeć go w nagłym blasku magicznego światła, wprawiającego tamtych w osłupienie swoją objawioną mocą. Lecz mag nie uczynił nic. Siedział, spoglądał na tych ludzi i słuchał ich pogroźek. A oni stopniowo uspokajali się, jakby nie byli w stanie podtrzymać swego gniewu dłużej niż przedtem radości. Noże zniknęły w pochwach, groźby zmieniły się w szyderstwa. Zaczęli odchodzić jak psy opuszczające miejsce walki – jedni chyłkiem, drudzy z dumnie uniesionymi głowami.

Gdy pozostali sami, Krogulec wstał, wszedł do gospody i zaczerpnął głęboki łyk wody z garnka stojącego obok drzwi. – Chodź, chłopcze – powiedział. – Mam tego dość.

– Do łodzi?

– Tak. – Położył dwie sztuki srebra na parapecie okna i podniósł lekki tobołek z rzeczami. Arren był zmęczony i senny. Rozejrzył się po izbie gospody – dusznej, niegościnniej i pełnej pozawieszanych u krokwi niespokojnych nietoperzy. Myśląc o ostatniej nocy spędzonej w tym pokoju, za chwilę ochoczo podążył za Krogulcem. Idąc w dół jedynej, ciemnej ulicy Sosary, pomyślał, że teraz odchodząc wymkną się szaleńcowi Sopl. Lecz gdy przyszedli do portu, ten czekał już na molo.

– Więc jesteś – powiedział mag. – Wejdz na pokład, jeśli chcesz płynąć z nami.

Sopli bez słowa zeskoczył do łodzi i przykucnął przy maszcie jak wielki rozczochrany pies. I wtedy Arren zbuntował się.

– Mój panie! – wybuchnął. Krogulec odwrócił się. Stali twarzą w twarz na molu ponad łodzią.

– Na tej wyspie wszyscy są szaleni, lecz sądzę, że nie ty, panie. Dlaczego go zabierasz?

– Aby wskazał drogę.

– Drogę – do jeszcze większego szaleństwa? Do śmierci w morzu lub z nożem w plecach?

– Do śmierci, lecz jaką drogą, tego nie wiem.

Arren mówił w uniesieniu, a Krogulec odpowiadał spokojnie, choć w jego głosie brzmiała nuta gwałtowności. Nie był przyzwyczajony, aby ktoś poddawał w wątpliwość jego decyzje. Tego popołudnia na drodze, kiedy Arren próbował obronić maga przed szaleńcem... tak, już wtedy... Arren spostrzegł, jak daremna była jego pomoc. Teraz czuł w sobie gorycz i cały ten gwałtowny przypływ poświęcenia, jaki wypełniał go o poranku, rozviał się i znikł. Był niezdolny do obrony Krogulca, nie pozwalano mu na podjęcie jakiegokolwiek decyzji. Nawet nie umiał... a może mu nie pozwalano zrozumieć istoty tych poszukiwań. Po prostu wleczono go ze sobą, bezużytecznego jak dziecko. Lecz on nie był dzieckiem.

– Nie będę się z tobą kłócił, mój panie – rzekł tak zimno, jak tylko mógł. – Ale to... to nie jest rozsądne.

– To jest zupełnie rozsądne. Tam dokąd zdążamy, rozsądek nam nie pomoże. Idziesz czy zostajesz? Łzy gniewu trysnęły z oczu Arrena.

– Powiedziałem, że pójdę z tobą i będę ci służył. Nie złamię mego słowa.

– To dobrze – powiedział mag ponuro i uczynił ruch, jakby chciał się odwrócić, po czym znowu stanął twarzą w twarz z Arrenem. – Potrzebuję cię, Arrenie, i ty potrzebujesz mnie. Powiem ci teraz, że wierzę, iż ta droga jaką zdążamy, jest tą, którą i ty musisz pójść i to nie z posłuszeństwa czy lojalności wobec mnie. Ona była już twoja zanim mnie ujrzałeś, zanim postawiłeś stopę na Roke, zanim wypłynąłeś z Enlad. Nie możesz z niej zawrócić.

Głos maga wcale nie złagodniał. Młodzieniec odpowiedział równie ponuro:

– Jak mogę zawrócić bez łodzi, tutaj, na krawędzi świata?

– To jest krawędź świata? Nie, ona jest dalej. Być może jednak do niej dotrzemy.

Arren skinął głową i zeskoczył do łodzi. Krogulec odwiązał linę i przywołał lekki wiatr w żagiel. I zaraz, od majaczących w mroku, pustych doków Lorbanery, poczuli chłodny, rześki powiew północy. Przed nimi księżyc odbijał się srebrem od gładkiego morza i pełził lewą stroną nieba. Skręcili na południe wzdłuż brzegu wyspy.

7. SZALENIEC

Szaleniec, Farbiarz Lorbanery, siedział skulony, ze zwieszoną głową, opierając się o maszt. Rękoma obejmował kolana. W świetle księżycy jego sztywne jak druty włosy zdawały się być czarne. Krogulec zawinął się w derkę i ułożył do snu na rufie. Żaden z nich nie poruszył się. Arren usiadł na dziobie. Przysiągł sobie czuwać całą noc. Jeśli mag chce wziąć na siebie odpowiedzialność za to, że ich szalony pasażer nie zaatakuje ani jego ani Arrena, to bardzo ładnie z jego strony; on jednakże wie swoje i przedsięwzięcie własne środki ostrożności.

Noc była bardzo długa i spokojna. Światło księżycy niezmiennie spływało z nieba. Skulony przy maszcie Sopli, chrapał; Arren słyszał ciche posapywanie. Łódź powoli posuwała się naprzód. Arren z wolna zapadał w sen. Naraz zbudził go dziwny dreszcz. Spojrzał na niebo – księżyc przesunął się tylko trochę wyżej. Wtedy porzucił swe cnotliwe postanowienie czuwania, ułożył się wygodniej i zasnął.

Znowu śnił. Miał wrażenie, że zawsze się tak działo w tej podróży choć po raz pierwszy sny były fragmentaryczne, dziwnie słodkie i przynoszące ukojenie. W miejscu masztu Dalekopatrzącej wyrosło drzewo z olbrzymimi, wygiętymi w łuk liściastymi konarami. Łódź prowadziły łabędzie, pikując przed nią na mocarnych skrzydłach. Daleko w przodzie, ponad zielonym jak beryl morzem, jaśniało miasto białych wież. Nagle Arren znalazł się w jednej z nich, biegł do góry krętymi schodami lekko i ochoczo. Obrazy zmieniały się, powracały i przechodziły w inne, które mijały bez śladu. Naraz znalazł się w okropnym, przyćmionym brzasku na wrzosowiskach, i stopniowo zaczęła ogarniać go taka groza, aż zaparło mu dech w piersiach. Jednak dalej szedł przed siebie, ponieważ iść musiał. Po długim czasie uświadomił sobie, że iść naprzód oznacza tutaj kręcić się w kółko i powracać po własnych śladach. Lecz musiał się wyrwać, wydostać; stawało się to coraz bardziej i bardziej naglące. Zaczął biec. Wówczas koła, po których biegł, zaczęły się ścieśniać, a ziemia pochyłać. Biegł w ciemniejszym mroku, szybciej i szybciej, wokół opadającej wewnętrznej krawędzi pułapki, ogromnego leja wsysającego wszystko w dół, w ciemność. Gdy to zrozumiał, poślizgnął się i upadł.

– Co się stało, Arrenie?

To Krogulec odezwał się do niego z rufy. Niebo i morze w szarzyźnie świtu były zupełnie nieruchome.

– Nic.

– Koszmar?

– Nic.

Było mu zimno i bolała go zdrętwiała prawa ręka, którą sobie przygniótł. Zamknął oczy przed narastającym światłem i pomyślał: Napomyka o tym i owym, ale nigdy nie powie jasno dokąd zdążamy, po co lub dlaczego ja powinienem tam pójść. A teraz wlecze z nami tego szaleńca. Kto jest bardziej szalony, ten obłąkany czy ja, który idę z nim? Tych dwóch może się zrozumie. To jest czarodziej, który oszalał – tak przecież powiedział. Mógłbym być teraz w domu, w Pałacu Berili, w moim pokoju z rzeźbionymi ścianami, czerwonymi dywanami na podłodze i ogniem w kominku. I mógłbym budzić się, aby razem z ojcem pójść polować z sokołami. Dlaczego więc jestem z nim? Dlaczego zabrał mnie ze sobą? Ponieważ to moja droga, którą muszę pójść – tak mówi, ale to tylko gadanie czarodzieja, czyniące ze zwykłych rzeczy – wielkie. Sądzę, że prawdziwe znaczenie słów tkwi wciąż gdzie indziej. Jeśli jest jakakolwiek droga, którą muszę pójść – jest to droga do mojego

domu, a nie bezsensowna wędrówka przez Rubieże. W domu czekają na mnie obowiązki, a ja się uchylam przed nimi. Jeśli Krogulec rzeczywiście myśli, że jest jakiś wróg, który niszczy działanie czarów, to dlaczego zdąża na spotkanie z nim niemalże sam? Mógł przecież zapewnić sobie pomoc setek innych magów. Mógł zebrać armię wojowników, flotę statków. Czy na spotkanie wielkiego niebezpieczeństwa wysyła się starego mężczyznę i chłopaka w łodzi? To zwykłe szaleństwo. On oszalał. I jak mówi – szuka śmierci. Szuka śmierci i chce zabrać mnie ze sobą. Ale ja nie jestem ani obłąkany ani stary. Nie chcę umierać, nie chcę iść z nim.

Uniósł się na łokciu i spojrzał przed siebie. Księżyc, który wschodził przed nim kiedy wypływali z Zatoki Sosary, pojawił się teraz znowu, zachodząc. Za nimi, na wschodzie, dzień wstawał blady i posepny. Nie było chmur, lecz nieboskłon zasnuwała ledwo widoczna mgiełka. Później, w ciągu dnia, słońce prażyło, choć przyćmione i bez blasku.

Przez cały dzień płynęli wzdłuż ciągnącej się po ich prawej ręce, Lorbanery, która ciągnęła się po niskiej i zielonej. Lekki wiatr dął od lądu i wypełniał żagiel. O zmierzchu minęli ostatni długi przylądek; bryza zamarła. Krogulec przywołał w żagiel magiczny wiatr i jak sokół wypuszczony z ręki Dalekopatrząca zerwała się ochoczo do przodu, pozostawiając za sobą Jedwabną Wyspę.

Farbiarz Sopli kulił się żałośnie w tym samym miejscu przez cały dzień, cierpiąc na morską chorobę. Widać było, że boi się morza i łodzi. Dopiero pod wieczór odezwał się ochryłym głosem.

– Czy płyniemy na zachód?

Zachodzące słońce świeciło prosto w twarz. Krogulec zniósł z cierpliwością to głupie pytanie i skinął głową.

– Do Obehol?

– Obehol leży na zachód od Lorbanery.

– Daleko na zachód. Może to miejsce jest właśnie tam.

– Jakie ono jest, to miejsce?

– Skąd mam wiedzieć? Jak miałem je zobaczyć? Nie ma go na Lorbanery! Szukam tego miejsca od czterech, pięciu lat. Zamykam oczy w ciemności i zawsze widzę go, wołającego: "chodź, chodź", a ja nie mogę przyjść. Nie jestem władcą czarodziei, który potrafi wskazać drogi w ciemności. A jednak istnieje to miejsce, przez które przechodzi się do światła, na ziemię obracającą się pod słońcem. Tego właśnie Mildi i moja matka nie mogli zrozumieć. Wciąż wpatrywali się w ciemność. Potem stary Mildi umarł, a moja matka straciła rozum. Zapomniała czarów, których używamy do farbowania, i to spowodowało, że oszalała. Pragnęła umrzeć, lecz ja mówiłem, aby czekała do czasu, aż znajdzie miejsce. Bo ono musi być. Jeśli zmarli mogą powracać do życia, to musi być takie miejsce, przez które przechodzą.

– To zmarli powracają do życia?

– Myślałem, że wiesz o tym – odezwał się po chwili Sopli, spoglądając z ukosa na Krogulca.

– Właśnie usiłuję się dowiedzieć. Sopli nic nie odpowiedział. Nagle mag zniewolił go spojrzeniem, lecz ton jego głosu był łagodny.

– Szukałeś drogi do wiecznego życia, Sopli?

Pytany przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie. Potem ukrył swoją zmierzwioną, brązowoczerwoną głowę w ramionach, splótł ręce w kostkach i zaczął się nieznacznie kołysać w przód i w tył. Wydawało się, że przybiera tę pozycję, gdyż jest przestraszony, i nie chce rozmawiać, lub też po prostu nie przyjmuje do wiadomości niczego, o czym się mówi. Arren odwrócił się od

niego, z rozpaczą i odrazą. Co oni z nim zrobią, w ciągu tych dni lub tygodni, na osiemnastostopowej łodzi? Było to tak, jak dzielenie ciała z chorą duszą...

Krogulec wspiął się obok niego na dziób i ukląkł jednym kolanem na ławce, spoglądając na błądy zmierzch.

– Łatwo zranić duszę człowieka – stwierdził. Chłopiec nic nie odpowiedział. Zapytał zimno:

– Co to jest Obehol? Nie słyszałem tej nazwy.

– Znam tę nazwę i miejsce jedynie z map, nic więcej... Spójrz tam – towarzysze Gobardon!

Wielka topazowa gwiazda zwisała teraz wyżej, nad południowym horyzontem, a pod nią, ledwo prześwitując nad zamglonym morzem-, świeciły. Tworzyły trójkąt – biała z lewej, a białobłękitna z prawej strony.

– Czy mają nazwy?

– Mistrz Dawca Imion nie zna ich. Może ludzie z Obehol i Wellogy mają dla nich nazwy. Nie wiem Arrenie, wpływamy teraz na Dzwonne Morze pod Znakiem Słońca.

Chłopiec nie odpowiedział, spoglądając jakby z odrazą na błyszczące, bezimienne gwiazdy nad nieskończoną wodą.

Gdy tak dzień za dniem płynęli na zachód, ciepło wiosny Południa sphywało na wody, a niebo pozostawało czyste. Jednak Arrenowi wydawało się, że światło jest matowe, tak jakby padało przez szkło. Kiedy się kąpał, woda była letnia i z ledwością go odświeżała. Ich solona żywność nie miała smaku. W niczym nie było świeżości i jasności, chyba że w nocy, gdy gwiazdy zapalały się tak wielkim blaskiem, jakiego nigdy nie widzieli. Arren kładł się i wpatrywał w nie dotąd, dopóki nie usnął. Śpiąc śnił ten sam sen o wrzosowiskach lub pułapce, albo dolinie otoczonej urwiskami, lub o długiej drodze prowadzącej w dół pod niskim niebem. Zawsze było tam przyćmione światło. Ogarniała go groza i beznadziejnie próbował ucieczki.

Nigdy nie mówił o tym Krogulcowi. Nie rozmawiał z nim o niczym, co było ważne, o niczym – z wyjątkiem nieistotnych, codziennych zdarzeń ich żeglugi. Krogulec, który dotąd umiał Arrena ożywić, pogрузił się teraz w zupełnym milczeniu.

Arren zrozumiał wreszcie, jakim był głupcem powierzając swoje ciało i duszę niespokojnemu i tajemniczemu człowiekowi, powodującemu się odruchami i nieczyniacemu żadnego wysiłku, aby pokierować swoim życiem, lub żeby je uratować. Teraz pragnął śmierci, czy to – myślał chłopiec – było przyczyną tego, że nie śmiał stawiać czoła swej porażce, klęsce czarów tej wielkiej siły rządzącej ludźmi.

Dla tych, którzy poznali tajemnice stało się jasne, iż niewiele było sekretów w sztuce magicznej, z której Krogulec i wszystkie pokolenia magów czerpały tyle sławy i władzy. Nie było w tym nic ponad wykorzystanie wiatru i pogody, ponad wiedzę o ziołach leczniczych i zręczność w pokazywaniu takich iluzji jak mgły, światła i zmiany kształtów – to istotnie mogło przestraszyć nieświadomych, lecz to tylko zwykłe oszustwa. Rzeczywistość była niezmienna. W magii nie było niczego, co dawałoby człowiekowi prawdziwą władzę nad ludźmi, ani niczego co można by było wykorzystać przeciwko śmierci. Magowie nie żyją wcale dłużej od zwykłych ludzi. Wszystkie te tajemnicze słowa nie mogą, nawet na chwilę, odwlec godziny ich śmierci. Nawet w drobiazgach nie można polegać na magii.

Krogulec był zawsze bardzo skąpy w posługiwaniu się swoimi umiejętnościami. Kiedy tylko mogli, płynęli z wiatrem naturalnym, łowili ryby, żeby zdobyć żywność i oszczędzali wodę jak inni żeglarze. Po czterech dniach niekończącego się halsowania w kapryśnym, przeciwnym wietrze Arren

zapytał maga, czy nie mógłby przywołać w żagiel trochę sprzyjającego wiatru. Kiedy ten przecząco potrząsnął głową, zapytał znowu:

– Dlaczego nie?

– Nie proszę chorego, aby się ścigał – odparł Krogulec – ani nie kładę kamienia na przeładowany grzbiet. – Nie było jasne czy mówił o sobie, czy tak ogólnie o świecie. Jego odpowiedzi były skąpe, trudne do zrozumienia. W tym właśnie, myślał Arren, tkwi sedno czarów – napomykać o ukrytych, wielkich znaczeniach, kiedy się mówi o niczym, i nie robić nic w ogóle tak, aby sprawiało to wrażenie szczytu mądrości.

Arren próbował ignorować Soplego, lecz było to niemożliwe, a w każdym innym przypadku szybko znalazłby jakiś sposób porozumienia z obłąkanym. Sopli nie był szalony, czy po prostu nie aż tak szalony, jak by na to wskazywały jego zmierzwiowane włosy i urywana mowa. W rzeczywistości wrażenie największego szaleństwa sprawiał, być może, jego paniczny strach przed wodą. Tylko rozpacz wskrzesić mogła w nim tę odrobinę odwagi, dzięki której wszedł do łodzi. A tak naprawdę nigdy nie pozbył się swego strachu. Głowę trzymał nisko, żeby nie widzieć wody falującej i pluskającej wokół niego i wokół maleńkiej kruchej skorupki łodzi. Kiedy musiał wstać, przyprawiało go to o zawrót głowy, przywierał wtedy do masztu. A gdy Arren po raz pierwszy postanowił się wykąpać i skoczył z dziobu do wody, Sopli krzyknął z przerażenia, a kiedy Arren wdrapał się już z powrotem do łodzi, biedak był zielony ze strachu.

– Myślałem, że się utopiłeś – wykrztusił, a młodzieniec roześmiał się.

Po południu, kiedy Krogulec siedział pogrążony w medytacji, obojętny i nieobecny, Sopli przesunął się ostrożnie przez ławki do Arrena.

– Nie chcesz umrzeć, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– On chce – oznajmił Sopli, wysuwając nieznacznie dolną szczękę w kierunku Krogulca.

– Dlaczego tak sądzisz?

Arren przybrał władczy ton, który zdawał się być czymś tak oczywistym, że Sopli uznał to za naturalne, chociaż był dziesięć lub piętnaście lat starszy od niego. Odpowiedział z chętną uniżonością, choć w swój zwykły, urywany sposób. – On chce się dostać do tego ukrytego miejsca. Lecz nie wiem dlaczego. Nie chce... Nie wierzy w... w obietnicę.

– Jaką obietnicę?

Mężczyzna spojrział na niego ostro, w jego oczach błysnął ślad zaprzepaszczonego męstwa. Lecz wola Arrena była silniejsza, odpowiedział prawie szeptem.

– Wiesz jaką. Życie. Wieczne życie.

Przez ciało chłopca przeszedł gwałtowny dreszcz. Przypomniawszy sobie swoje sny, wrzosowisko, pułapkę, urwiska, przyćmione światło. To była śmierć, to była groza śmierci. To przed śmiercią musiał uciekać, musiał znaleźć drogę. A na jej progu stała okryta cieniem postać, wyciągająca maleńki ognek, nie większy od perły – błysk nieśmiertelnego życia. Arren po raz pierwszy spojrział w jasnobrązowe, czyste oczy Sople'ego: Ujrzał w nich to, co w końcu sam zrozumiał i to, że Sopli jest świadom jego wiedzy.

– On – powiedział Farbiarz, wysuwając szczękę w stronę Krogulca – on nie chce oddać swego imienia. A nikt nie może zabrać ze sobą imienia. Droga jest zbyt wąska.

– Widziałeś ją?

– W ciemności, oczyma duszy. Ale to nie wystarczy. Chcę się tam dostać, chcę ją zobaczyć. Na tym świecie i własnymi oczami. A jeśli... jeśli umrę i nie znajdę drogi, tego miejsca? Większość ludzi nie umie go znaleźć, nie wiedzą nawet, że ono istnieje – tylko niektórzy z nas mają moc. Ale to jest trudne, ponieważ, aby się tam dostać, trzeba pozbyć się mocy... Pozbyć się słów. Pozbyć się imion. To też trudno sobie wyobrazić. A kiedy umierasz – twoja dusza też umiera. Mężczyzna zatrzymywał się na każdym słowie. – Chcę wiedzieć, że mogę wrócić. Chcę tam być. Po stronie życia. Chcę żyć, być bezpiecznym. Nienawidzę, nienawidzę tej wody...

Farbiarz przyciągnął do siebie ręce i nogi tak, jak to robi pajak, gdy zsuwa się po swej nici. Ponownie schował głowę między ramiona, aby odciąć się od widoku morza.

Od tego czasu Arren nie unikał rozmowy z nim, wiedząc, że Sopli podzielił się nie tylko swoją wizją, lecz również swoim strachem. Zrozumiał też, że jeśli nie będzie już innego wyjścia, Sopli pomoże mu przeciwstawić się Krogulcowi.

Spokojne i kapryśne wiatry wciąż powoli pchały ich na zachód tam, dokąd – jak udawał Krogulec – prowadził ich Sopli. Lecz on, który nie wiedział nic o morzu, nigdy nie widział mapy, nigdy nie był w łodzi, on, w którym woda wzbudzała chorobliwe przerażenie nie mógł ich nigdzie prowadzić. To Krogulec był tym, który wskazywał drogę i z rozmysłem prowadził ich na manowce. Arren rozumiał to teraz i znał powód. Arcymag wiedział, że oni i im podobni, szukają wiecznego życia – i mając je przyrzeczone, lub będąc przyciągani przez nie – mogą je znaleźć. W swej dumie, dumie Arcymaga, bał się, że mogą je zdobyć. Zazdrościł im, bał się ich, i nie mógł znieść myśli, że ktoś inny mógłby być potężniejszy od niego. Chciał wypłynąć na Otwarte Morze, daleko poza wszelkie lądy, aż zupełnie się zgubią. Wtedy nigdy nie będą mogli powrócić do zamieszkałego świata. Umrą z pragnienia. Wolał sam umrzeć, niż pozwolić im na zdobycie wiecznego życia.

Kiedy Krogulec rozmawiał z Arrenem o drobiazgach dotyczących sterowania łodzią, proponował mu wspólną kąpiel w ciepłym morzu, czy życzył dobrej nocy pod wielkimi gwiazdami – wtedy nadchodziły takie momenty, w których wszystkie te przypuszczenia wydawały się chłopcu kompletnym nonsensem.

Wówczas, spoglądając na swego towarzysza, widział go takim jak zawsze – ta surowa, szorstka, cierpliwa twarz. To jest mój pan i przyjaciel – myślał wtedy. I niewiarygodnym wydawało się to, że wątpił. Lecz chwilę później znowu ogarniał go niepokój i razem z Soplím wymieniali spojrzenia, ostrzegając się nawzajem przed ich wspólnym wrogiem.

Każdego dnia słońce świeciło gorące, choć przyćmione. Jego światło kładło się złudnym blaskiem na leniwie rozkołysanym morzu. Otaczała ich błękitna woda i niezmiennie, pozbawione cieni błękitne niebo. Wiatry wiały i cichły, a oni obracali żagiel, aby je pochwycić, i powoli pęzli gdzieś w bezkres.

Pewnego popołudnia złapali w końcu lekki, pomyślny wiatr i Krogulec wskazał coś w górze obok zachodzącego słońca, mówiąc:

– Patrz.

Wysoko ponad masztem chwiał się sznur morskich gęsi, podobny do szeregu czarnych runów kreślonych na niebie. Gęsi leciały na zachód. Podążająca ich śladem Daleko-patrząca, znalazła się następnego dnia w pobliżu wielkiej wyspy.

– To tam – oznajmił Sopli. – To ta wyspa. Musimy się na nią dostać.

– Czy jest tam miejsce, którego szukasz?

– Tak. Musimy tam wylądować. Dalej już nie możemy płynąć.

– To będzie Obehol. Za nią, na Rubieżach Południowych, jest jeszcze wyspa Wellogy. A na Rubieżach Zachodnich są i inne leżące daleko bardziej na zachód niż Wellogy. Czy jesteś pewien, Sopli?

Farbiarza z Lorbanery ogarnął gniew. W jego oczach znowu pojawiło się krzywe spojrzenie. Mimo to nie mówi już tak gorączkowo – pomyślał Arren – jak wówczas, gdy wiele dni temu rozmawiali z nim po raz pierwszy na Lorbanery.

– Tak. Musimy wylądować. Dotarliśmy wystarczająco daleko. Miejsce, którego szukam, jest właśnie tam. Czy chcesz, abym przysiągł, że wiem? Na moje imię?

– Nie możesz – stwierdził Krogulec swoim twardym głosem, spoglądając w górę na mężczyznę, który był o wiele wyższy od niego. Sopli wstał, trzymając się kurczowo masztu, by móc patrzeć na leżącą przed nimi wyspę.

– Nie próbuj, Sopli.

Tamten skrzywił się z gniewu czy bólu. Spojrzał na góry, które zdawały się być niebieskie z tej odległości, i powiedział:

– Wziąłeś mnie jako przewodnika. Tam właśnie jest to miejsce. Musimy tam wylądować.

– Wylądujemy tak czy inaczej. Potrzebujemy wody – odparł Krogulec i wrócił do rumpla.

Farbiarz mamrocząc, usiadł na swoim miejscu przy maszcie. Arren słyszał jak wielokrotnie powtarzał: Przysięgam na moje imię. I za każdym razem, gdy to mówił, znowu krzywił się jakby z bólu.

Zbliżyli się do wyspy pchani północnym wiatrem i zaczęli ją opływać, szukając zatoki lub dogodnego miejsca do lądowania. Lecz grzywacze załamywały się z hukiem przy brzegu. Zielone góry w głębi wyspy prażyły się w gorącym słońcu, aż po szczyty pokryte kobiercem drzew.

Opłynąwszy przylądek ujrzeli wreszcie, głęboko wcinającą się w ląd, półkolistą zatokę, otoczoną piaszczystymi plażami. Tutaj fale podchodziły do brzegu spokojnie. Ich gwałtowność łagodził przylądek i łódź mogła bezpiecznie cumować. Żaden znak nie świadczył o tym, że plaża lub las ponad nią są zamieszkałe. Nie dostrzegli łodzi, dachu, czy wstęgi dymu. Skoro tylko Dalekopatrząca wpłynęła do zatoki, lekki wiatr ucichł. Było gorąco, spokojnie, cicho. Arren zabrał się za wiosła. Krogulec sterował. Jedynym dźwiękiem był skrzyp wiosła w dulkach. Zielone szczyty wylaniały się nad zatoką, otaczając ją. Słońce odbijało się w wodzie taflami, rozpalonego do białości, światła. Arren słyszał tętnienie krwi w uszach. Sopli opuścił swoje bezpieczne miejsce przy maszcie. Przykucnął na dziobie trzymając się burt i w napięciu wpatrywał się w ląd. Ciemna twarz Krogulca błyszczała od potu jak posmarowana oliwą. Mag nieustannie przenosił wzrok z niskich, przybrzeżnych fal na urwiska ponad nimi, zasłonięte kurtyną liści.

– Teraz – powiedział i do Arrena i do łodzi. Arren trzykrotnie silnie pociągnął wiosłami i Dalekopatrząca łagodnie osiadła na piasku. Krogulec wyskoczył z łodzi, aby z pomocą ostatniego impetu fal wypchnąć ją wyżej na brzeg. Gdy wyciągnął ręce, żeby pchnąć, potknął się i zgiął w pół, chwytając za rufę. Potężnym szarpnięciem wciągnął łódź z powrotem na wodę, poza przybój, i wczółgał się do środka przez burłę, która zawisła pomiędzy morzem a brzegiem.

– Wiosłuj! – wysapał i opadł na kolana, ociekając wodą i próbując złapać oddech.

Trzymał dziryt – używany do miotania, długi na dwie stopy dziryt z brązowym grotem. Skąd go wziął? Jeszcze jeden dziryt nadleciał, gdy Arren oszołomiony pochylił się nad wiosłami. Uderzył w krawędź ławki, odłupał kawałek drewna i odskoczył. Na niskich wzniesieniach nad plażą, między drzewami, poruszały się jakieś postacie, ciskając coś, i składając się do rzutu. Powietrze wokół nich

cicho świstało i furkotało. Arren gwałtownie wtulił głowę między ramiona, zgął grzbiet i zaczął wiosłować silnymi pociągnięciami: dwa, aby przeskoczyć płycizny, trzy aby zawrócić łódź i dalej...

Sopli stojący na dziobie, za plecami Arrena, zaczął krzyczeć. Raptem coś unieruchomiło ręce chłopca tak, że wiosła wyskoczyły z wody i koniec jednego z nich uderzył go w żołądek. Arren na chwilę oślepl i stracił oddech.

– Zawracaj! Zawracaj! – krzyczał Sopli.

Nagle łódź podskoczyła na wodzie i zakołysała się. Arren, rozjuszony, odwrócił się, gdy tylko znowu zdołał uchwycić wiosła. Farbiarza nie było w łodzi.

Wokół nich głęboka woda zatoki falowała oślepiająco w promieniach słońca.

Arren, osłupiały, spojrział znowu za siebie, a potem na Krogulca skulonego na rufie.

– Tam – powiedział Krogulec wskazując za burtę, lecz tam nic nie było, tylko morze i oślepiające błyski słońca. Dzirynt z dmuchawki spadł kilkanaście stóp od łodzi i zniknął, bezszelestnie zanurzając się w wodzie. Arren pociągnął jeszcze dziesięć, czy dwanaście razy wiosłami, potem znowu spojrział na wodę i jeszcze raz na Krogulca.

Ręka i lewe ramię maga krwawiły. Krogulec przyciskał do ramienia tampon z płótna żaglowego. Dzirynt z brązowym ostrzem leżał na dnie łodzi, choć przedtem Arren widział grot wystający z głębokiej rany w ramieniu swego towarzysza. Arcymag uważnie obserwował wodę pomiędzy nimi a białą plażą, gdzie jakieś maleńkie postacie podskakiwały i chwiały się w oślepiającej spiekocie. W końcu rozkazał:

– W drogę.

– A Sopli...

– On już doszedł do końca drogi.

– Utopił się? – spytał niedowierzająco Arren.

Krogulec skinął głową.

Chłopiec wiosłował, dopóki plaża nie stała się białą linią obrysowującą lasy i wielkie zielone szczyty. Krogulec siedział przy rumplu i przyciskał tampon z płótna do ramienia, nie zwracając uwagi na ranę.

– Trafili go?

– Wyskoczył.

– Przecież nie umiał pływać. Bał się wody!

– Tak. Śmiertelnie się bał. Chciał... chciał dostać się na ląd.

– Dlaczego nas zaatakowali? Kim oni są?

– Musieli uznać nas za wrogów. Czy możesz... pomóc mi przez chwilę? – Arren zobaczył, że tampon, który mag przyciskał był zupełnie przesiąknięty krwią. Dzirynt trafił między nasadę ramienia a obojczyk, rozrywając jedną z większych żył tak, że rana krwawiła obficie. Według wskazówek Krogulca Arren podarł płócienną koszulę na pasy i zabandażował ranę. Mag poprosił o dzirynt i gdy Arren położył mu go na kolanach, ten wyciągnął prawą rękę do ostrza, topornie wykutego w brązie, drugiego i wąskiego jak liść wierzby. Zdawało się że chce coś powiedzieć, jednak po chwili potrząsnął głową. – Brak mi siły na czary – stwierdził. – Później. Będzie dobrze. Czy możesz wyprowadzić nas z tej zatoki, Arrenie?

Chłopiec bez słowa powrócił do wiosła. Zgiął grzbiet w wysiłku i wkrótce wypłynął łodzią z

głębokiej zatoki, gdyż jego smukłe, gibkie ciało pełne było siły. Długa południowa cisza Rubieży zawisała nad morzem. Żagiel opadł bezwładnie. Słońce błyszczało poprzez woal mgły, lecz zielone szczyty zdawały się drżeć i falować w niezmiernej spiekocie.

Mag wyciągnął się na dnie łodzi z głową wspartą o ławkę przy rumplu. Leżał nieruchomo z na wpół przymkniętymi ustami i powiekami. Arren spoglądał ponad rufą łodzi – nie miał ochoty patrzeć mu w twarz. Rozżarzone, mgliste powietrze drżało nad wodą, jak gdyby z nieba spływały woale pajęczyny. Ręce Arrena dygotały ze zmęczenia, lecz wiosłował dalej.

– Dokąd płyniesz? – zapytał ochryple Krogulec, unosząc się odrobinę. Arren odwrócił się i zobaczył półkolistą zatokę znowu wyginającą swoje zielone ramiona wokół łodzi. Z przodu widniała biała linia plaży, a nad nią góry tłoczyły się. Zawrócił łódź.

– Nie mogę już wiosłować – powiedział.

Złożył wiosła, zszedł z ławki i ukucnął na dziobie. Zdawało mu się, że Sopli wciąż był za jego plecami, przy maszcie. Wiele dni spędzili razem. Jego śmierć była zbyt nagła, zbyt bezsensowna, aby ją zrozumieć. Wszystko było niezrozumiałe.

Łódź bezwładnie kołysała się na wodzie, żagiel zwisał luźno z rei. Wzbierający w zatoce przyływ powoli odwrócił łódź bokiem do prądu i łagodnymi wahaniami popychał ją w kierunku odległej, białej linii plaży.

– Dalekopatrząca – powiedział pieszczotliwie mag i dodał słowo lub dwa w Starej Mowie. Łódź łagodnie za-kołysała się i, kierując w stronę otwartego morza, wysliznęła się po błyszczącej wodzie z ramion zatoki. Lecz po jakimś czasie, tak samo powoli i łagodnie, zeszła z kursu i żagiel znowu zwiśł bezwładnie.

Arren odwrócił się i zobaczył, że jego towarzysz leży tak jak przedtem, choć głowa opadła mu niżej, a oczy były zamknięte. Przez cały ten czas czuł głębokie, przyprawiające o mdłości przerażenie, które narastało i powstrzymywało go od jakiegokolwiek działania, oplatając jego ciało cienkimi nićmi i pogrążając w mroku jego umysł. Nie czuł w sobie śladu odwagi, którą mógłby przeciwstawić temu strachowi, a tylko coś w rodzaju tępego gniewu na swój los.

Nie powinien pozwolić, aby łódź dryfowała tak blisko skalistych brzegów wyspy, której mieszkańcy atakowali obcych. To było jasne, lecz niewiele znaczyło. Cóż innego mógłby uczynić? Wiosłować z powrotem na Roke? Nie wiedział gdzie jest, był zupełnie i beznadziejnie zagubiony w bezmiarze Rubieży. Nigdy nie zdoła z powrotem poprowadzić łodzi, do jakiegokolwiek przyjaznego lądu. Mógł tego dokonać tylko według wskazówek maga, a ten był ranny i bezradny. Sytuacja była tak samo niespodziewana i bezsensowna, jak śmierć Soli'ego. Twarz maga zmieniła się, zżółkła, a rysy straciły ostrość; jakby był umierający. Arren pomyślał, że powinien się ruszyć i przenieść go pod zasłonę, aby uchronić przed palącym słońcem i dać mu wody. Człowiek, który stracił dużo krwi, musi pić. Lecz od kilku dni wody im brakowało, beczka była prawie pusta. I co z tego? Wszystko było do niczego, bez sensu. Szczęście ich opuściło.

Mijały godziny, słońce prażyło, bezbarwny upał spowijał ich. Arren siedział nadal bez ruchu.

Chłodny powiew musnął mu czoło. Uniósł oczy. Słońce obniżyło się, barwiąc zachód ciemną czerwień, zapadł zmierzch. Dalekopatrząca płynęła, powoli popychana łagodnym wschodnim wiatrem, wzdłuż urwistych zadrzewionych brzegów Obehol.

Arren przeszedł na drugi koniec łodzi i zajął się swoim towarzyszem. Ułożył mu poślanie pod zasłoną i dał wody do picia. Wszystko to robił pośpiesznie i starał się nie patrzeć na bandaż, który wymagał zmiany, gdyż rana wciąż jeszcze krwawiła. Krogulec, omdlały z braku sił, nie odezwał się.

Pił chciwie. Jego oczy zamknęły się i znowu zapadł w sen, przynoszący jeszcze większe pragnienie. Leżał w milczeniu. Gdy w zapadłych ciemnościach wiatr ucichł, wiatr magiczny nie zastąpił go i łódź znowu kołysała się leniwie na gładkiej, falującej wodzie. Majaczące z prawej strony góry, odcinały się czernią od jaśniejszego przepychem gwiazd nieba i Arren przez długi czas w nie się wpatrywał. Kontury góry wydawały się znajome, jakby widział je już przedtem, jakby znał je całe życie.

Układając się do snu zwrócił twarz na południe. Tam wysoko na niebie, ponad pustym morzem, płonęła Gobardon. Poniżej znajdowały się dwie inne, tworząc wraz z nią trójkąt, a pod nimi weszły w prostej linii trzy kolejne, formując jeszcze większy trójkąt. Potem, gdy noc z wolna zdążała do świtu, wymykając się z płynnych płaszczyzn czerni i srebra, do tamtych gwiazd dołączyły dwie następne. Były żółte jak Gobardon, chociaż słabsze i układały się ukośnie na lewo, od prawej podstawy trójkąta. Było to więc osiem z dziewięciu gwiazd, o których przypuszczano, że tworzą postać człowieka lub Karycki run Agnen. Arren nie widział w tym wzorze postaci człowieka, chyba, że – jak to się dzieje z gwiazdozbiorami – byłaby dziwacznie zniekształcona. Lecz run był wyraźny, z zagiętym ramieniem i poprzeczną kreską: było wszystko oprócz podstawy, ostatniej kreski do całości, gwiazdy, która jeszcze nie weszła.

Oczekując na nią Arren zasnął.

Gdy się zbudził o świcie, prąd zniósł Dalekopatrzącą dalej od Obehol. Mgła zakrywała brzegi i wszystko z wyjątkiem szczytów gór, a nad fioletowymi wodami południa przerzedzała się w delikatną mgiełkę, zamazując ostatnie gwiazdy.

Spojrzał na swego towarzysza. Krogulec oddychał nierówno, jak wówczas, gdy ból gnieźdzący się pod powierzchnią snu, nie może jej całkowicie rozerwać. W tym zimnym, pozbawionym cieni świetle jego twarz wydawała się stara i poorana zmarszczkami. Patrząc na niego Arren, widział człowieka, w którym nie było mocy, czarów, siły, ani nawet młodości – zupełnie nic. Nie uratował Sopliego, nie odwrócił od siebie strzały. Sprowadził na nich niebezpieczeństwo i nie ocalił ich. Teraz Sopliego nie żyje, a on umiera. – Arren też umrze. Z winy tego człowieka – na próżno – niepotrzebnie.

Arren spoglądał na niego z rozpaczą.

Nie poruszyło się w nim żadne wspomnienie o fontannie szepczącej pod jarzębiną, o białym, magicznym świetle, rozbłyskującym we mgle na statku handlarza niewolników, czy o zaniedbanych sadach Domu Farbiarzy. Nie zbudziły się w nim ani duma ani nieustępliwość woli. Przyglądał się, jak świt nadciąga przez morze spokojne, lecz pełne falowania bladoametystowych wybrzuszeń. Wszystko pozbawione mocy, nierzeczywiste, jak sen. A w głębinach snu i morza nie było nic – przepaść, pustka. Nie było dna.

Łódź posuwała się naprzód, nierówno i powoli, popychana kapryśnymi podmuchami wiatru. Z tyłu szczyty Obehol stawały się coraz mniejsze, odcinając się czernią od wstającego słońca. Od wschodu nadciągał wiatr, unosząc łódź coraz dalej od lądu, od świata na otwarte morze.

8. DZIECI OTWARTEGO MORZA

Tego dnia, około południa, Krogulec poruszył się i poprosił o wodę. Gdy napił się, zapytał:

– Dokąd płyniemy?

Żagiel ponad nimi był napięty, a łódź przechylała się jak jaskółka na długich falach.

– Na zachód lub na północny zachód.

– Zimno mi – poskarżył się mężczyzna. Słońce buchało blaskiem, napelniając łódź spiekotą. Arren nic nie odpowiedział.

– Staraj się trzymać kurs na zachód, na Wellogy. Wyląduj tam. Potrzebna nam woda.

Arren spoglądał przed siebie, błdził wzrokiem ponad pustym morzem.

– Co się stało, Arrenie?

Nic nie odpowiedział.

Krogulec spróbował usiąść, a gdy mu się to nie udało, chciał sięgnąć po swoją laskę leżącą obok skrzyni. Niestety była poza jego zasięgiem. Chciał się odezwać, lecz słowa zatrzymywały się na jego suchych ustach. Spod przesiąkniętego i pokrytego zaschlą skorupą bandaża wydostała się krew, ściekając cienką, pajęczą nicią purpury po ciemnej skórze jego piersi. Gwałtownie wciągnął powietrze i zamknął oczy.

Arren popatrzył na niego, lecz bez emocji i zaraz odwrócił wzrok. Przeszedł do przodu i powrócił do swojej skulonej pozycji na dziobie, wpatrując się przed siebie. Usta miał zupełnie suche. Wschodni wiatr, który wiał teraz niezmiennie nad otwartym morzem, był suchy jak wiatr pustyni. W beczulce pozostały tylko dwie lub trzy pół-kwarty wody. Była ona – i to Arren wiedział – przeznaczona dla Krogulca, a nie dla niego i nie przyszło mu do głowy, aby się jej napić. Zarzucił wędki, bowiem odkąd opuścili Lorbanery, wiedział, że surowa ryba zaspokaja zarazem głód i pragnienie. Linki nie drgnęły. Było to bez znaczenia. Łódź płynęła dalej po wodzie, sprawiającej wrażenie pustyni. Ponad łodzią, powoli poruszało się słońce wygrywając z nią wyścig przez szerokość nieba.

Raz Arrenowi wydało się, że widział na południu błękitną wyniosłość, która mogła być wyspą lub chmurą. Od długiego czasu łódź płynęła bardziej na północny zachód. Arren nie próbował nawet zmienić halsu i zawrócić, lecz pozwolił Dalekopatrzącej płynąć dalej. Wyspa mogła, bądź nie mogła, być rzeczywista. To też nie miało znaczenia. Arren w całej tej niezmiernej, gorącej wspaniałości wiatru, w przyćmieniu światła i oceanu, widział fałsz.

Nadciągnęła ciemność, potem znowu światło, ciemność, i światło, jak uderzenia bębna po napiętym płótnie nieba.

Włókł swoją rękę w wodzie za burtą łodzi. Przez moment widział wyraźnie swoją rękę, prześwitującą zielonkawo pod przepływającą wodą. Pochylił się i zessał wilgoć z palców. Była gorzka, boleśnie paliła wargi, lecz uczynił tak jeszcze raz. Potem, chory i zgięty wpół, wymiotował, lecz tylko odrobina żółci paliła mu gardło. Nie było już wody dla Krogulca i bał się do niego zbliżyć. Leżał rozciągnięty, drżąc na przekór gorącu. Wszystko pogrążone było w milczeniu, suche i jasne. Straszliwie jasne. Ukrył oczy przed tym światłem.

Było ich trzech. Stali w łodzi, chudzi jak łodygi, kanciaci i wielkoocy, podobni do dziwnych, ciemnych czapli lub żurawi. Ich głosy były wysokie jak świergot ptaków. Nie rozumiał ich mowy. Jeden z nich ukląkł z ciemnym pęcherzem w rękę i przechylił go do ust Arrena: to była woda.

Chłopiec pił chciwie, krztusił się i pił znowu, dopóki nie opróżnił naczynia. Potem rozejrzał się wokół, z wysiłkiem podniósł się na nogi i wyszeptał:

– Gdzie, gdzie on jest?

W Dalekopatrzącej, oprócz niego, było tylko trzech obcych, szczupłych mężczyzn.

Spoglądali na niego nie rozumiejąc.

– Inny człowiek – zakrakał, jego podrażnione gardło i spieczone usta z trudem formowały słowa – mój przyjaciel...

Wreszcie jeden z nich zrozumiał, jeśli nie słowa to rozpacz, i kładąc drobną rękę na jego ramieniu, wyciągnął drugą, wskazując.

– Tam – powiedział uspokajająco.

Arren spojrział w tamtym kierunku. Zobaczył, przed łodzią i na północ od niej tratwy, tłoczące się ciasno i rozciągnięte daleko w morze. Było ich tak wiele, że pokrywały wodę jak jesienne liście sadzawkę. Miały niskie burty, każda dźwigała jedną lub dwie chaty czy szałas ustawione w pobliżu środka. Na wielu postawione były maszty. Kołysały się, jak liście, wznosząc i opadając łagodnie, gdy pod nimi przebiegały ogromne fale zachodniego oceanu. Pasma wody pomiędzy nimi, lśniły jak srebro, a w górze rozciągał się głęboki fiolet i złote, deszczowe chmury zaciemniające nieboskłon.

– Tam – powtórzył mężczyzna, wskazując na wielką tratwę w pobliżu Dalekopatrzącej.

– Żywy?

Spoglądali na niego i w końcu jeden zrozumiał.

– Żywy. Żyje.

Gdy to usłyszał, zaczął płakać. Jeden z mężczyzn ujął jego nadgarstek w silną, wąską dłoń i przeprowadził go z Dalekopatrzącej na tratwę, do której była przywiązana. Tratwa była wielka, i miała tak dużą wyporność, że nawet odrobinę nie zanurzyła się pod ich ciężarem. Podczas gdy mężczyzna prowadził po niej chłopca, inny ciężkim oszczepem, zakończonym zębem orki przyciągnął najbliższą tratwę, tak, że mogli bez trudu przejść z jednej na drugą. Tam zaprowadził Arrena do czegoś w rodzaju chaty, otwartej z jednej strony, a z pozostałych zamkniętej plecionymi matami.

– Kładź się – polecił i było to wszystko, co Arren zapamiętał.

Leżał na plecach, wpatrując się w nierówny dach nakrapiany cętkami światła. Miał wrażenie, że znajduje się w jabłoniowych sadach Semermyny, na wzgórzach Berilia, gdzie książęta Enlad spędzają lato. Wydawało mu się, że leży w gęstej trawie i spogląda w górę na słoneczne promienie, sączące się przez gałęzie jabłoni.

Po chwili usłyszał cmoknięcia, chłopot wody w pustych miejscach pod tratwą i wysokie głosy jej mieszkańców, którzy mówili haryckim językiem – powszechnym na Archipelagu – lecz o tak mocno zmienionym brzmieniu i rytmie, iż trudno było ich zrozumieć. Wiedział już gdzie jest – poza Archipelagiem, poza Rubieżami, poza wszystkimi wyspami, zagubiony na otwartym morzu. Lecz wciąż był spokojny, leżąc wygodnie i beztrudnie, jak na trawie w sadzie swego rodzinnego domu.

Po chwili pomyślał, że powinien wstać. Ale gdy to zrobił, stwierdził, iż jego ciało jest wychudzone i spalone słońcem, ale nogi choć się trzęsą, nadają się do użytku.

Odsunął na bok plecione zasłony, które tworzyły ściany schronienia, i wyszedł na zewnątrz w słońce popołudnia. W czasie jego snu spadł deszcz. Wielkie, wygładzone czworokątne kłody tratwy, zwarte i uszczelnione, ściemniały od wilgoci, a włosy szczupłych półnagich ludzi były czarne i gładkie od deszczu. Lecz zachodnia połowa nieba, tam gdzie stało słońce, była czysta, a kłęby

błyszczących srebrem chmur przesunęły się teraz daleko, na północny wschód.

Jeden z mężczyzn zbliżył się ostrożnie do Arrena i zatrzymał się kilka stóp przed nim. Był drobny i niski, nie wyższy od dwunastoletniego chłopca, z wielkimi ciemnymi oczyma. Trzymał harpun z haczykowatym, kościanym ostrzem.

– Zawdzięczam moje życie tobie i twoim ludziom – zwrócił się do niego Arren. Mężczyzna skinął głową.

– Czy możesz zaprowadzić mnie do mojego towarzysza?

Odwracając się, mężczyzna zawołał tak wysokim i przenikliwym głosem, że zabrzmiało to jak krzyk morskiego ptaka. Potem przysiadł na piętach, jakby w oczekiwaniu i Arren uczynił to samo.

Tratwy posiadały maszty, chociaż na tej, na której się znajdowali, maszt nie był postawiony. Podnoszone żagle szerokością dorównywały szerokości tratwy. Zrobione były z brązowej tkaniny, jednak nie z płótna, czy brezentu, lecz z jakiegoś włóknistego materiału, który wyglądał jak filc. Tratwa, znajdująca się w odległości ćwierć mili, opuściła na linach brązowy żagiel z salingu. Z pomocą żerdzi i oszczepów zaczęła sobie powoli torować drogę pomiędzy innymi, aż znalazła się obok tej, na której był Arren. Gdy pas wody pomiędzy nimi zmniejszył się do szerokości trzech stóp, mężczyzna towarzyszący Arrenowi podniósł się i niedbale przeskoczył z jednej tratwy na drugą. Arren uczynił to samo i niezdarnie wylądował na pokładzie. Jego kolana nie zdołały zamortyzować upadku. Podniósł się i stwierdził, że maleńki mężczyzna patrzy na niego, nie z rozbawieniem, lecz z aprobatą. Opanowanie Arrena, w widoczny sposób, zdobyło jego szacunek.

Ta duża, z wysoko wzniesionym pokładem tratwa zrobiona była z kłód długich na czterdzieści i szerokich na cztery lub pięć stóp – szerniałych i wygładzonych przez wodę oraz ludzkie stopy. Dziwacznie rzeźbione, drewniane posągi stały wokół kilku szałasów. W czterech rogach wznosiły się wysokie żerdzie z pękami piór morskich ptaków.

Przewodnik zaprowadził go do najmniejszego z szałasów, i tam Arren zobaczył leżącego, pogrążonego we śnie Krogulca.

Chłopiec usiadł. Człowiek, który go przywiódł powrócił na inną tratwę, i nikt już Arrena nie niepokoił. Po jakimś czasie kobieta z sąsiedniej tratwy przyniosła mu jedzenie: rodzaj zimnego, rybnego gulaszu z kawałkami przezroczystego warzywa, słonego, lecz smacznego i mały kubek wody o smaku smoły uszczelniającej beczkę. Ze sposobu, w jaki podała mu wodę zrozumiał, iż był to skarb, rzecz godna najwyższej czci. Wypił ją z powagą i nie poprosił o więcej, choć mógł wypić dziesięć takich kubków.

Ramię Krogulca było zręcznie zabandażowane. Spał głęboko i spokojnie. Kiedy się zbudził, jego oczy były bystre i przytomne. Spojrzał na Arrena i uśmiechnął się radosnym uśmiechem, który tak zawsze zaskakiwał na jego surowej twarzy. Arren poczuł nagle, że jest bliski płaczu. W milczeniu położył rękę na rękę mężczyzny.

Jeden z mieszkańców tratw zbliżył się i przykucnął w cieniu sąsiedniego, dużego szałasu. Budowla ta zdawała się być czymś w rodzaju świątyni, z niezwykle skomplikowanym, czworokątnym wzorem nad wejściem i z odrzwiami z pni wyrzeźbionych na kształt szarych, nurkujących wielorybów. Mężczyzna był równie niski i szczupły jak pozostali, lecz na twarzy – o wyraźnych rysach – widać było patynę lat. Nie miał na sobie nic prócz przepaski na biodrach, ale bijąca od niego godność wystarczała za cały ubiór:

– Musi spać – powiedział. Arren pozostawił Krogulca samego.

– Jesteś wodzem tego ludu – stwierdził, nieomylnie rozpoznając w nim księcia.

– Jestem – odparł mężczyzna i krótko skinął głową. Arren stał przed nim, wyprostowany i nieporuszony. Niebawem ciemne oczy mężczyzny spotkały się na krótko z jego oczyma. – Ty również jesteś wodzem – zauważył.

– Jestem – przyznał Arren. Dałby wiele, aby się dowiedzieć, skąd ten mieszkaniec tratwy wie o tym, lecz nie dał tego po sobie poznać. Mimo to służył memu panu.

Wódz powiedział coś, czego Arren w ogóle nie rozumiał. Jakies słowa zmienione nie do poznania, czy też nazwy, których nie znał, a potem zapytał:

– Po co przyplłynęliście na Balatran?

– Na poszukiwanie.

Nie wiedział, ile może powiedzieć. Wszystkie wydarzenia wydawały mu się bardzo odległe i pogmatwane. W końcu zdecydował się mówić tylko o ostatnich dniach.

– Dotarliśmy do Obehol. Zaatakowali nas, kiedy przybijaliśmy do lądu. Mój pan został ranny.

– A ty?

– Ja nie – odparł Arren i teraz przydało mu się opanowanie, jakiego nauczyło go dzieciństwo spędzone na dworze. – Lecz tam... tam było jakieś szaleństwo. Ten, który płynął z nami, utopił się. Tam był strach... – Przerwał i stał w milczeniu.

Wódz obserwował go czarnymi, nieprzeniknionymi oczyma. W końcu przemówił:

– Zatem trafiliście tu przypadkiem?

– Tak. Czy wciąż jesteśmy na Południowych Rubieżach?

– Rubieże? Wyspy? – zatoczył swą szczupłą, czarną ręką łuk nie większy od ćwiartki koła, z północy na wschód. – Wyspy są tam – wyjaśnił. – Wszystkie wyspy. – Potem, pokazując cały obszar wieczornego morza, od północy, przez zachód, aż na południe wymówił tylko jedno słowo:

– Morze.

– Z jakiej wyspy pochodzisz, panie?

– Z żadnej. Jesteśmy Dziećmi Otwartego Morza.

Młodzieniec spojrział na jego żywą twarz. Potem popatrzył, ponad nim, na wielką tratwę ze świątynią i wysokimi figurami bóstw na poły ludzi, na poły delfinów, ryb czy morskich ptaków. I na ludzi zajętych swoją pracą, splatających maty, rzeźbiących, łowiących ryby, przyrządzających jedzenie na wzniesionych platformach i pilnujących dzieci. Patrzył na tratwy, a było ich przynajmniej siedemdziesiąt – rozproszone na wodzie w wielkie, może o milowej średnicy, koło.

To było miasto. Dym unosił się wstęgami z odległych domów, wiatr niósł wysokie głosy dzieci. To było miasto, a pod nim otchłań.

– Czy nigdy nie przybijacie do lądu? – zapytał cicho chłopiec.

– Raz w roku, jesienią. Przybywamy na Długą Wydnię. Wycinamy tam drzewo na naprawę tratw. Potem płyniemy za szarymi wielorybami na północ. Zimą rozdzielamy się, każda tratwa osobno. Wiosną ściągamy na Balatran, by się spotkać. Wtedy się odwiedzamy, żenimy i świętujemy Długi Taniec. Takie są drogi Balatranu.

Latem, niesieni wielkim prądem, płyniemy na południe, dopóki nie zobaczymy Wielkich zawracających na północ. Wtedy płyniemy za nimi, by w końcu, na krótko, powrócić na plażę Emah na Długiej Wydnie.

– To niezwykle, mój panie – powiedział Arren. – Nigdy nie słyszałem o ludziach takich jak wy.

Mój dom leży daleko stąd. Jednak również tam, na wyspie Enlad, tańczymy Długi Taniec w przededniu pełni lata.

– Wy zdeptujecie ziemię i czynicie to bezpiecznie – stwierdził sucho wódz. – My tańczymy na głębokim morzu.

Po chwili zapytał:

– Jakie imię nosi twój pan?

– Krogulec – odpowiedział Arren. Mężczyzna prze-sylabizował jeszcze raz, lecz najwyraźniej słowo to nic dla niego nie znaczyło. I to – bardziej niż cokolwiek innego – utwierdziło Arrena w przekonaniu, że opowieść była prawdziwa. Ci ludzie rzeczywiście żyją na morzu jak rok długi, na otwartym morzu poza jakimkolwiek lądem, poza zasięgiem lądowych ptaków. Ci ludzie nie istnieją dla innych.

– Śmierć była w nim – powiedział Balatranin. – Musi spać. Wracaj na tratwę Gwiazdy. Przyślę po ciebie. Mężczyzna nie będąc pewien, kim jest Arren, nie wiedział czy ma go traktować jak równego sobie, czy też jak zwykłego chłopca. Arren wołał to drugie i przyjął do wiadomości jego odprawę. Ale wtedy wyłoniła się przed nim nowa trudność. Niesione prądem tratwy znowu się rozdzieliły i teraz między nimi marszczyło się trzysta stóp aksamitnej wody.

Wódz Dzieci Otwartego Morza odezwał się do niego jeszcze raz, krótko:

– Płyn – polecił.

Arren ostrożnie zanurzył się w wodzie. Przyjemnie chłodziła jego spaloną słońcem skórę. Podpłynął do drugiej tratwy i wdrapał się na nią. Zastał tam grupę pięciorga czy sześciorga dzieci i młodych ludzi, obserwujących go z nieukrywaniem zainteresowaniem. Małeńka dziewczynka uśmiechnęła się do niego:

– Pływasz jak ryba na haczyku.

– A jak powinienem? – zapytał Arren grzecznie choć z lekka upokorzony. Prawdę powiedziawszy, to by nie umiał być szorstki wobec tej małeńkiej istoty. Wyglądała jak figurka z polerowanego mahoni, śliczna i krucha.

– Właśnie tak! – krzyknęła i jak foka zanurzyła się w przezroczystych odmętach. Dopiero po długiej chwili, w nieprawdopodobnej odległości, usłyszał jej pisk i zobaczył czarną, gładką głowę wynurzającą się z wody.

– Chodź – powiedział chłopiec, najprawdopodobniej w wieku Arrena, chociaż nie wyglądał na więcej niż dwanaście lat. Miał poważną twarz i błękitnego kraba wytatuowanego na całej szerokości pleców. Zanurkował, a za nim wszyscy pozostali, nawet trzyletni malec. Arrenowi nie pozostało nic innego, jak uczynić to samo. Skoczył do wody, starając się nie rozbryzgiwać jej na wszystkie strony.

– Jak węgorz – rzekł chłopiec, wynurzając się przy jego ramieniu.

– Jak delfin – odpowiedziała śliczna dziewczyna z czarownym uśmiechem i zniknęła w głębinach.

– Jak ja – zapiszczał trzylatek, podskakując na wodzie jak butelka. Tak więc tego wieczora aż do zmierzchu, a potem cały kolejny, długi złoty dzień a i w ciągu następnych dni Arren kąpał się, rozmawiał i pracował z młodymi ludźmi z tratwy Gwiazda. Z tego wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu podróży, od poranka równonocy – kiedy razem z Krogulcem opuścił Roke – właśnie to wydawało mu się najdziwniejsze. To, co działo się tu nie miało nic wspólnego z tym, co wydarzyło się przedtem, a tym bardziej z tym, co mogło się jeszcze zdarzyć. Nocą, układając się wraz z innymi do snu pod gwiazdami, myślał: To tak jakbym zmarł i teraz żył po śmierci – w świetle słońca, poza

granicami świata, wśród synów i cór morza... Zanim zasnął, spoglądał na najdalsze południe, wypatrując żółtej gwiazdy i znaku Runu Końca. Zawsze widział Gobardon i mniejszy bądź większy trójkąt, gwiazdy wschodziły teraz później toteż nigdy nie mógł dotrzeć do chwili, aż cała konstelacja wyłoni się znad horyzontu. W ciągu dni i nocy tratwy dryfowały na południe. Morze nie zmieniało się nigdy – bo właśnie jego przemiana sprawiała wrażenie stałości. Ulewne sztormy majowe skończyły się i nocą świeciły gwiazdy, a w dzień słońce.

Wiedział, że ich życie nie może bez przerwy toczyć się z taką beztróską przypominającą sen. Pytał o zimę, a tubylcy opowiadali mu o długotrwałych deszczach i ogromnych falach, o samotnych tratwach oddzielonych od reszty, płynących i zanurzających się w szarość i ciemność na długie tygodnie. Ostatniej zimy, podczas trwającego miesiąc sztormu, widzieli wielkie fale, które porównywali do burzowych chmur, bo przecież nigdy jeszcze nie widzieli wzgórz. Z grzbietu jednej można było zobaczyć następne, ogromne, długie na mile, pędzące na nich. Czy tratwy mogą pokonać takie fale – pytał, a oni odpowiadali: tak, choć nie zawsze. Wiosną, kiedy gromadzili się na Drogach Balatranu, nie zastawali dwóch, trzech lub sześciu tratw...

Żenili się bardzo młodo. Błękitny Krab, z wytatuowanym na grzbiecie swoim imiennikiem i ładna dziewczyna o imieniu Albatros, byli mężem i żoną, chociaż on miał zaledwie siedemnaście lat, a ona o dwa lata mniej. Wiele takich małżeństw zawierano tutaj. Mnóstwo dzieci raczkowało i chodziło niepewnym jeszcze krokiem po tratwach. Przywiązane długimi linkami do czterech żerdzi centralnego szalasu, roily się w nim skwarnym dniem, a nocą spały spiętrzone w wierzące się stosy. Starsze dzieci opiekowały się młodszymi, a kobiety i mężczyźni dzielili się wszelką pracą. Wszyscy brali udział w zbieraniu wodorostów – o brązowych liściach z postrzępionymi jak u paproci brzegami – długich na osiemdziesiąt lub sto stóp. Nazywano je: nilgu z Dróg. Wszyscy pracowali razem przy ubijaniu nilgu na materiał i przy splataniu grubych włókien na liny i sieci. Dzielono się też pracą przy łowieniu i suszeniu ryb, wytwarzaniu narzędzi z kości wielorybów i przy wszystkich innych zajęciach wykonywanych na tratwach. Lecz zawsze był czas na kąpiel i rozmowy. Nigdy też nie określano terminu w jakim praca musiała zostać zakończona. Nie było tam innej miary czasu, jak tylko całe dni i całe noce. Po kilku takich dniach Arrenowi zdawało się, że żyje na tratwie od długiego czasu, nie dającego się zmierzyć. Obehol zdawała się być tylko snem, a wcześniej były jeszcze inne, bledsze sny, i w jednym z nich żył na łodzi i był księciem Enlad.

Kiedy w końcu wezwano go na tratwę wodza, Krogulec spoglądał na niego przez chwilę, a potem powiedział:

– Wyglądasz jak ten Arren, którego ujrzałem na Dziedzińcu Fontanny: lśniący jak złota foka. Życie tutaj służy ci, chłopcze.

– Tak, panie.

– Lecz gdzie jest to miejsce, w którym się znajdujemy?

Pozostawiliśmy za sobą nasze siedziby. Odpłynęliśmy z dróg oznaczonych na mapach...

Dawno temu słyszałem opowieść o Ludzie Tratw, lecz sądziłem, że jest to tylko jeszcze jedna opowieść z Rubieży Południowych – fantazja, nie mająca pokrycia w rzeczywistości. Jednak ta fantazja ocaliła nas; mit uratował nasze życie.

Mag mówił z uśmiechem, jakby i jemu udzieliła się wieczna beztróška tego życia w letnim słońcu. Jego twarz była jednak posepna, a w oczach zaległa mroczna ciemność. Arren dostrzegł to i stawiał temu czoła.

– Zdradziłem.. – powiedział i przerwał. – Zawiodłem zaufanie, jakie pokładałeś we mnie.

– W jaki sposób, Arrenie?

– Tam na Obehol. Kiedy ten jedyny raz potrzebowałeś mnie. Zostałeś ranny i liczyłeś na moją pomoc. A ja nie uczyniłem nic. Łódź dryfowała, a ja pozwoliłem jej płynąć z falami. Cierpiałeś, a ja nic dla ciebie nie uczyniłem. Widziałem ład... widziałem ład i nawet nie próbowałem skierować tam łodzi.

– Skończ z tym, chłopcze – powiedział mag tak stanowczo, że Arren usłuchał. I zaraz potem dodał – Powiedz mi, co wówczas myślałeś?

– Nic, mój panie – nic! Sądziłem, że nie ma sensu czynić cokolwiek. Myślałem, że twoja sztuka magiczna przepadła – nie, że nigdy jej nie było. Że oszukiwałeś mnie. – Łzy popłynęły mu po twarzy, lecz Arren zdołał zapanować nad głosem i ciągnął dalej. Bałem się ciebie. Bałem się śmierci. Tak bardzo jej się bałem, że nie chciałem patrzeć na ciebie, bo mogłeś umrzeć. Nie mogłem myśleć o niczym, oprócz tego, że była tam droga... droga dla mnie, dzięki której mógłbym uniknąć śmierci, jeśli zdołałbym ją odnaleźć. Lecz cały czas wydawało mi się, że życie dobiega końca, jakby to była wielka rana, z której wycieka krew – tak jak z ciebie. Lecz to było we wszystkim. A ja nie uczyniłem nic, nic, tylko usiłowałem ukryć się przed grozą umierania.

Przerwał, gdyż mówienie prawdy o tym, przekraczało ludzką wytrzymałość. To nie wstyd powstrzymał go, lecz strach, ten sam strach. Zrozumiał teraz, dlaczego to spokojne życie na tratwach unoszących się na morzu w świetle słońca wydawało mu się tak nierealne, podobne do życia po śmierci, lub snu. W głębi serca wiedział, że ta rzeczywistość jest pusta; bez ciepła, życia, koloru czy dźwięku. Pozbawiona treści. Nie było tam szczytów ani głębin. Cała ta rozkoszna gra kształtu, koloru i światła, zarówno na morzu, jak i w ludzkich oczach nie była niczym innym, jak grą złudzeń w płytkiej pustce.

Oni przeminą i pozostanie bezkształtny chaos i chłód. Nic więcej.

Krogulec spoglądał na Arrena, a on opuścił oczy, aby uniknąć tego spojrzenia. Lecz wówczas, niespodziewanie, odezwał się w nim cichy głos odwagi, a być może kpiny. Głos był wyniosły, bezlitosny, szepczący: Tchórz! Tchórz! Nawet przed tym chcesz uciec?

Ogromnym wysiłkiem woli chłopiec uniósł wzrok i napotkał oczy swego towarzysza.

Krogulec wyciągnął rękę i zamknął jego dłoń w silnym uścisku. Ich spojrzenia i ciała połączyły się.

– Lebannen – powiedział mag. Nigdy przedtem nie użył prawdziwego imienia Arrena, ani ten mu go nie wyznał. – Lebannen, to istnieje naprawdę. I ty istniejesz. Nie ma absolutnego bezpieczeństwa. Nic nie kończy się ostatecznie. Tylko w ciszy można usłyszeć słowo. Aby ujrzeć gwiazdy, musi zapasć ciemność. Zawsze tańczymy na skraju pustki, nad straszliwą otchłanią.

Arren chciał odsunąć się od niego, lecz mag go nie puścił.

– Zawiodłem cię – stwierdził chłopiec. – Zawiodę cię znowu. Jestem zbyt słaby!

– Jesteś wystarczająco silny. – Głos Krogulca zdawał się być łagodny, lecz dźwięczała w nim ta sama twardość, która szydząc, pozwoliła Arrenowi skruszyć grube mury otaczającego go wstydu. – To co pokochałeś, będziesz zawsze kochał. Doprowadzisz do końca to, czego się podjąłeś. Można na tobie polegać. Nic dziwnego, że jeszcze tego nie pojąłeś. Miałeś zaledwie siedemnaście lat, aby się tego nauczyć. Lecz bądź uważny, Arrenie, Odrzucić śmierć, to znaczy odrzucić życie.

– Ale ja szukałem śmierci! – uniósł głowę i wbił oczy w Krogulca. – Jak Sopli...

– Sopli nie szukał śmierci. Szukał drogi ucieczki od strachu przed śmiercią.

– Lecz taka droga istnieje. Droga, której szukał Sopli. I Zając, i pozostali. Droga, którą można powrócić do życia, życia bez śmierci. Ty, ty, który przewyższasz wszystkich – musisz znać tę drogę...

– Nie znam jej.

– Lecz inni, czarodzieje...

– Wiem tylko, jak sobie wyobrażają to, czego szukają. Lecz wiem też, że umrę, tak jak Sopli. Ja umrę. I ty umrzesz.

Arcymag wciąż trzymał Arrena w silnym uścisku.

– I bardzo sobie cenię tę wiedzę. To wielki dar. To dar osobowości. Tylko to jest nasze, co możemy stracić: Nasza osobowość, cierpienie, nasza chwała i nasze człowieczeństwo. Wszystko to nie jest wieczne. Zmienia się i przemija, jak fala na morzu. Czy chciałbyś uspokoić morze i powstrzymać przyływ, aby uratować jedną falę, aby uratować siebie? Czy oddałbyś zręczność swych rąk, żar swego serca i zachłanność swego umysłu, aby okupić tym bezpieczeństwo?

– Bezpieczeństwo – powtórzył Arren.

– Tak – potwierdził mag. Bezpieczeństwo.

Puścił Arrena, uwolnił jego rękę i odwrócił od niego wzrok, pozostawiając go samego – chociaż wciąż siedzieli twarzą w twarz.

– Nie wiem – przyznał w końcu chłopiec. – Nie wiem, czego szukam, dokąd zmierzam, ani kim jestem.

– Ja wiem, kim jesteś – powiedział Krogulec tym samym cichym, twardym głosem. – Jesteś moim przewodnikiem. W swej niewinności i odwadze, w swej niewiedzy i lojalności jesteś moim przewodnikiem – dzieckiem, które posłałem przed sobą w ciemność. Podążam za twoim strachem. Uważałeś, że jestem szorstki dla ciebie. Nie wiesz nawet, jak bardzo byłem szorstki. Użyłem twej miłości, jak zapalanej świecy, która spala się, aby oświetlić drogę. Bo musimy iść dalej. Dalej. Musimy dotrzeć do miejsca, gdzie wyschły strumienie – miejsca, do którego przyciąga cię twój śmiertelny strach.

– Gdzie to jest, mój panie?

– Nie wiem.

– Nie będę umiał cię tam zaprowadzić, ale pójdę z tobą.

Mag patrzył na niego posepnym niezgłębionym wzrokiem.

– Lecz jeśli znowu cię zawiodę i zdradzę cię...

– Zaufam tobie, synu Morreda.

Obaj pogrążyli się w milczeniu.

Ponad nimi, na tle błękitnego południowego nieba, nieznacznie kołysały się wysokie, rzeźbione bożki z ciałami delfinów, ze złożonymi skrzydłami mew i ludzkimi twarzami o wytrzeszczonych oczach z muszli.

Krogulec podniósł się sztywno, gdyż rana dawała mu się jeszcze we znaki i daleko mu było do całkowitego wyzdrowienia. – Zmęczyło mnie to nieustanne siedzenie. Utyję przez tę beczyność. – Zaczął chodzić wzdłuż tratwy; Arren przyłączył się do niego. Rozmawiali trochę podczas tej przechadzki. Arren opowiadał jak spędza dni i z kim z mieszkańców tratw się zaprzyjaźnił. Siły Krogulca nie szły jednak w parze z niecierpliwością i wkrótce się wyczerpały. Zatrzymał się przy dziewczynie, która tkła nilgu na swoim warsztacie za Domem Wielkich. Poprosił ją, aby przywołała do niego wodza, po czym wrócił do swojego szałas. Wódz ludu tratw przybył i przywitał się z nim

uprzejmie, a Krogulec odwzajemnił mu się tym samym. Wszyscy trzej usiedli razem w szałasie, na cętkowanych pledach z foczych skór.

– Przemyslałem – powoli i z uprzejmą powagą zaczął wódz – to, co mi mówiłeś. To, jak ludzie pragną powstać z martwych i powrócić do swoich ciał. Jak szukając tego, zapominają o czci dla bogów, zaniebują własne ciała, popadają w obłąd. Wielkie to szaleństwo i godne pożałowania. Zastanawiałem się też, co to ma wspólnego z nami. Nic nas nie łączy z innymi ludźmi, z ich wyspami i zwyczajami, z ich osiągnięciami i ich klęskami. Żyjemy na morzu i ono jest naszym życiem. Nie możemy im pomóc, nie chcemy zaszkodzić. Szaleństwo nie dotrze tutaj. Nie przybijamy do lądu, a mieszkańcy wysp nie przyplływają do nas. Kiedy byłem młody, czasami rozmawialiśmy z ludźmi, którzy przyplywali łodziami na Długą Wyspę, podczas gdy my wycinaliśmy tam pnie na tratwy i zimowe szałas. Często widywaliśmy statki z Ohl i Welwai (tak nazywał Obehol i Wellogy) płynące jesienią za szarymi wielorybami. Często płynęły w oddali za naszymi tratwami, ponieważ my znamy morskie szlaki i miejsca spotkań Wielkich. To były jedyne moje kontakty z mieszkańcami lądu. Teraz ich już nie widzimy. Może wszystkich ogarnęło szaleństwo J., pomordowali się nawzajem? Dwa lata temu na Długiej Wydmy, gdy patrzyliśmy na północ w stronę Welon – przez trzy dni widzieliśmy dymy wielkiego pożaru. I jeśli naprawdę tak się stało, co to ma wspólnego z nami. Jesteśmy Dziećmi Otwartego Morza. Nasze drogi są drogami morza.

– Jednak ujrawszy łódź z lądu, unoszoną przez fale popłynąłeś do niej – stwierdził mag.

– Niektórzy z nas mówili, że lepiej tego nie czynić, to nie jest mądre, i nawet chcieli pozostawić łódź na łasce fal – odpowiedział mężczyzna beznamiętnym głosem.

– Lecz ty nie byłeś jednym z nich.

– Nie. Powiedziałem, że chociaż są to mieszkańcy ziemi, to jednak im pomożemy, i tak się stało. Jeśli wśród tych, którzy osiedlili się na stałym lądzie panuje szaleństwo, sami muszą sobie poradzić. My udajemy się szlakiem Wielkich. Nie możemy ci pomóc w poszukiwaniach. Ale tak długo, jak zechcesz zostać z nami, będziesz mile widziany. Już niewiele dni pozostało do Długiego Tańca, potem zwracamy na północ. Podążymy ze wschodnim prądem, który pod koniec lata zanieś nas znowu na morza w pobliżu Długiej Wydmy. Jeśli chcesz pozostać z nami i wyleczyć się z zadanej ci rany, to dobrze. A jeśli zechcesz wziąć swoją łódź i ruszyć swoją drogą, to również będzie dobrze.

Mag podziękował, a wódz podniósł się i pozostawił ich samych.

– Niewinność nie ma mocy przeciwstawienia się złu

– powiedział Krogulec, krzywiąc się nieznacznie. – Lecz ma ją dobro... Sądzę, że pozostaniemy z nimi, dopóki nie wyzdrowieję.

– To bardzo rozsądne – rzekł Arren.

Cielesna słabość Krogulca wstrząsnęła nim i wzruszyła. Był zdecydowany chronić tego człowieka przed jego własną energią i potrzebą działania. Postanowił upierać się przed wyruszeniem w dalszą drogę, przynajmniej dopóty, dopóki mag całkowicie nie pozbedzie się bólu.

Krogulec spoglądał na niego, nieco zaskoczony, że Arren przyznał mu rację.

– Ci ludzie tutaj są dobrzy – ciągnął chłopiec, niczego nie spostrzegając. – Zdają się być wolni od tej choroby duszy, jaką nosili w sobie mieszkańcy miasta Hort i innych wysp. Może nie ma już wyspy, na której by nam pomogli i przyjęli życzliwie, jak uczynili to ci straceni dla świata ludzie.

– Być może masz rację.

– I mają przyjemne życie, przynajmniej latem...

– Tak. A jednak jeść przez całe życie zimną rybę, nigdy nie ujrzeć gruszy obsypanej kwieciem, nie skosztować wody z rwącego źródła, to byłoby w końcu nie do Jesienia.

I tak Arren powrócił na tratwę Gwiazdy. Kąpał się i wygrzewał w słońcu wraz z innymi młodymi ludźmi. Często rozmawiał z Krogulcem w chłodzie zmierzchu, i zasypiał pod gwiazdami. Dni płynęły. Zbliżała się najkrótsza noc roku, podczas której świętuje się Długi Taniec. A Wielkie Tratwy dryfowały powoli na południe, niesione prądami otwartego morza.

9. ORM EMBAR

Przez całą noc, najkrótszą noc roku, pochodnie płonęły na tratwach uformowanych w wielkie koło tak, że zdawało się, iż to pierścień ogni migocze na morzu. Mieszkańcy tratw tańczyli – bez bębnow, fletów, czy jakiegokolwiek innej muzyki, oprócz rytmu bosych stóp na wielkich, rozkołysanych tratwach. Cienkie głosy śpiewaków dźwięczały płacząco w bezmiarze ich morskich siedzib. Noc była bezksiężycowa, i ciała tancerzy majaczyły niewyraźnie w świetle gwiazd i pochodni. Raz po raz, któryś z nich błyskał jak skacząca ryba – młodzik przeskakujący z jednej tratwy na drugą; długie, wysokie susy. Jeden rywalizujący z drugim – aby okrążyć cały pierścień tratw, tańcząc na każdej z nich i powtarzać bez przerwy aż do brzasku.

Arren tańczył razem z nimi, gdyż Długi Taniec odbywa się na każdej wyspie Archipelagu, chociaż kroki i pieśni mogą się różnić. Noc zbliżała się ku końcowi. Głosy śpiewaków ochryły a i wielu tancerzy wycofało się z kręgu tańczących i spoczęło na boku, by czuwać lub się zdrzemnąć. Arren wraz z grupą współzawodniczących w skokach chłopców wszedł na tratwę wodza i zatrzymał się tam, podczas gdy inni ruszyli dalej.

Krogulec przebywał razem z wodzem i jego trzema żonami w pobliżu świątyni. Pomędzy rzeźbionymi wielorybami, tworzącymi wejście siedział śpiewak, którego wysoki głos nie milkł przez całą noc. Śpiewał niezmiernie, uderzając dłońmi w drewniany pokład, aby utrzymać rytm.

– O czym on śpiewa? – zapytał maga Arren, gdyż nie mógł zrozumieć słów zmienionych trykami i melodyjnym zaśpiewem.

– O szarych wielorybach, o albatrosach i burzy... Nie znają pieśni o bohaterach i królach. Nie znają imienia Erretha-Akbe. Wcześniej śpiewał o Segoy'u, o tym jak wzniósł on łądy wśród morza. Tyle pamiętają z wiedzy ludzi. Cała reszta jest o morzu.

Arren wsłuchał się w melodię. Usłyszał jak śpiewak naśladuje świszczący krzyk delfina, tkając wokół niego swoją pieśń. Przyglądał się profilowi Krogulca, czarnemu i twardemu jak skała w świetle pochodni. Widział płynne migotanie światła w oczach żon wodza, gdy gawędziły leniwie. Stopniowo wpadł w objęcia snu.

Nagle coś go zbudziło. Śpiewak umilkł. Nie tylko ten, który siedział obok nich, lecz również wszyscy pozostali na sąsiednich i dalszych tratwach. Cienkie głosy zamierały, jak niezmiernie odległy świergot morskich ptaków. Wokół zaległa cisza.

Arren spojrzał przez ramię na wschód, spodziewając się ujrzeć świt. Lecz tylko stary księżyc zegłował nisko na nieboskłonie, właśnie wschodząc – złocisty pośród letnich gwiazd. Potem, spojrzawszy na południe, zobaczył wysoko na niebie żółtą Gobardon, a poniżej jej osiem towarzyszek, wszystkie co do jednej: Run Końca, jasny i gorejący ponad morzem. Odwracając się do Krogulca, ujrzał ciemną twarz zwróconą w kierunku tych samych gwiazd.

– Dlaczego przestałeś? – zapytał wódz śpiewaka. – Jeszcze nie świta, nie ma nawet zorzy. Mężczyzna zająknął się i odpowiedział.

– Nie wiem.

– Śpiewaj dalej! Długi Taniec nie skończył się.

– Nie znam słów – poskarżył się śpiewak, a jego głos załamał się w przerażeniu. – Nie mogę śpiewać. Zapomniałem pieśni.

– Zatem śpiewaj inną!

– Nie ma już pieśni. Skończyły się – krzyknął śpiewak i pochylił się do przodu, kuląc się na pokładzie. Wódz spojrział na niego w osłupieniu.

Tratwy kołysały się wraz z trzaskającymi pochodniami; wszystkie pogrążone w ciszy. Milczenie oceanu otoczyło tę odrobinę ruchu, życia i światła ponad nim i pochłonęło ją. Żaden z tancerzy nie poruszył się.

Arrenowi wydało się, że wspaniały blask gwiazd przygasł już, a jednak na wschodzie nie ujrzał jeszcze światła wstającego dnia. Ogarnęła go groza. Pomyślał: Słońce nie wzejdzie. Nie będzie dnia.

Mag powstał. Gdy to uczynił, blade światło – białe i szybkie – przemknęło po jego lasce, zapalając się jasno na runie, inkrustowanym srebrem.

– Taniec nie skończył się – oznajmił – ani noc. Arrenie, śpiewaj.

Chciał rzec: "Nie mogę, panie", lecz zamiast tego spojrział na dziewięć gwiazd na południowym nieboskłonie, głęboko zaczerpnął tchu i zaśpiewał. Jego głos z początku cichy i ochryply, w miarę śpiewu nabierał mocy. Była to prastara pieśń, pieśń o stworzeniu Ea i równowadze między ciemnością a światłem, pieśń o stworzeniu zielonych wysp przez tego, który wypowiedział pierwsze słowo – Najstarszego Pana, Segoy'a.

Zanim skończył, niebo pobladło, stało się szaroniebieskie i tylko księżyc i Gobardon płonęły na nim niewyraźnie. Pochodnie syczały na wietrze świtu.

Chłopiec nie odezwał się już, a tancerze zgromadzeni, by słuchać śpiewu, powrócili w ciszy na swoje tratwy. Na wschodzie coraz jaśniej rozpalalo się światło wstającego dnia.

– To dobra pieśń – powiedział wódz. Jego głos brzmiał niepewnie, chociaż starał się mówić beznamiętnie. Przerwać Długi Taniec nim dopełni się go do końca, byłoby złą wróżbą. Każę wychłostać leniwych śpiewaków pasami z nilgu.

– Pociesz ich raczej – rzekł Krogulec. Wciąż stał wyprostowany, a jego głos był surowy. – Żaden śpiewak nie zamilkł z własnej woli. Chodź ze mną, Arrenie.

Odwrócił się, aby wejść do szałasów i Arren ruszył za nim. Lecz osobliwości tego świtu nie skończyły się jeszcze. Gdy wschodni skraj morza jaśniał coraz bardziej, z północy nadleciał wielki ptak. Leciał tak wysoko, że jego skrzydła łapały światło słońca, które jeszcze nie wzeszło nad światem. Każde uderzenie skrzydeł w powietrzu błyskało złotem. Arren, zobaczywszy to, krzyknął. Mag, zaskoczony, uniósł wzrok. Potem jego twarz gwałtownie ożywiła się i pojaśniała z radości. Zakrzyknął głośno:

– Nam hietha arw Ged arkvaissa! – co w języku Tworzenia znaczy: Jeśli szukałeś Geda, znalazłeś go tutaj.

Jak spadający z góry złoty pocisk – z rozpostartymi na całą szerokość ogromnymi i wywołującymi grzmot skrzydłami, ze szponami mogącymi objąć wołu tak, jakby to była mysz, ze spiralami płomieni buchającymi z długich nozdrzy – smok zawisł jak sokół nad kołyszącą się na falach tratwą.

Prerażający wrzask. Ludzie kulili się ze strachu, niektórzy skakali do morza, inni stali nieruchomo, wytrzeszczając oczy w zdumieniu, które przewyciężyło strach.

Smok unosił się nad nimi. Jakies dziewięćdziesiąt stóp dzieliło końce jego ogromnych, błoniastych skrzydeł, jaśniejących w porannym świetle niby mieniący się złotem dym. Jego ciało nie było wcale krótsze od skrzydeł – chude, wygięte w łuk jak u charta, uzbrojone w pazury jak u jaszczurki i pokryte węzową łuską. Wzdłuż wąskiego grzbietu biegł wystrzępiony rząd kolców z kształtu podobnych do cierni róży. Na garbie grzbietu kolce były wysokie na trzy stopy i zmniejszały się stopniowo tak, że ostatni z nich na końcu ogona nie był dłuższy od ostrza małego noża. Kolce były szare, zaś łuska

miała kolor stalowoszary, mieniący się złotem. Zielone oczy smoka przecinała wąska źrenica.

Poruszony strachem swych ludzi tak, że zapomniał o własnym, wódz wypadł z szałasu z harpunem, jakiego używali do polowań na wieloryby. Broń była dłuższa od niego samego, miała wielkie haczykowate ostrze z kości. Wążąc harpun w swej drobnej muskularnej ręce podbiegł do przodu, aby nabrać impetu, cisnąć go i wbić w wąski, obleczony świetlistą kolczugą łusek, brzuch smoka, który zawisł nad tratwą. Wyrwany z osłupienia Arren zobaczył wodza i, rzuciwszy się przed siebie, uchwycił jego rękę. Chwilę potem razem z nim i harpunem runął bezwładnie.

– Czy chcesz rozgniewać go swoją śmieszoną szpilką? – wysapał. – Niech najpierw przemówi Władca Smoków!

Wódz – na wpół przytomny od upadku – wytrzeszczył osłupiałe oczy na Arrena, potem na maga i na smoka. Jednak nie odezwał się ani słowem. I wtedy przemówił smok.

Nikt oprócz Geda, do którego mówił, nie rozumiał go, jako że smoki mówią tylko w Starej Mowie, która jest ich własnym językiem. Głos był cichy i syczący, niemal jak głos koda, lecz potężny; brzmiała w nim straszliwa muzyka. Ktokolwiek usłyszał ten głos, nieruchomiał i słuchał.

Mag odpowiedział krótko. Potem znowu przemówił smok, unosząc się nad Krogulcem lekkimi uderzeniami skrzydeł – właśnie tak, pomyślał Arren – jak ważka zawisająca w powietrzu.

Potem mag powiedział tylko jedno słowo: Memeas – przybędę i uniósł swoją laskę z cisowego drewna. Szczęki smoka rozwarły się i wydobył się z nich długą arabeską kłęb dymu. Złote skrzydła uderzyły jak grzmot, wzbijając porywisty wiatr niosący zapach spalenizny. Zatoczył koło i bijąc potężnymi skrzydłami odleciał na północ.

Tratwy pogrążone były w ciszy, słyhać było tylko cienkie, ciche popiskiwanie dzieci i głosy pocieszających je kobiet. Zawstydzeni mężczyźni wdrapywali się z powrotem na tratwy. Zapomniane pochodnie dopalały się w pierwszych promieniach słońca.

Mag odwrócił się do Arrena. Jego twarz ożywiona była czymś, co mogło być radością bądź czystym gniewem, lecz rzekł spokojnie:

– Teraz musimy już odejść, chłopcze. Pożegnaj się i chodź.

Odwrócił się, aby podziękować za wszystko wodzowi ludu tratw. Potem opuścił wielką tratwę i przeszedł przez trzy inne, które wciąż jeszcze, w związku z tańcami, leżały ciasno stłoczone jedna obok drugiej. Tak doszedł do tej, do której przywiązana była Dalekopatrząca. Tym sposobem łódź podążała za miastem tratw, dryfującym wolno na południe. Dzieci Otwartego Morza napełniły pustą beczułkę Dalekopatrzącej zebraną wodą deszczową i uzupełniły zapasy żywności, pragnąc w ten sposób oddać cześć swoim gościom. Wielu bowiem wierzyło, że Krogulec jest jednym z Wielkich, który – zamiast postaci wieloryba – przybrał postać człowieka. Gdy Arren przyłączył się do niego, mag podniósł żagiel. Chłopiec odwiązał linę i wskoczył do łodzi. W tej samej chwili łódź oddaliła się od tratwy i – chociaż od wschodu wiała tylko lekka bryza – jej żagiel napiął się, jak pod silnym wiatrem. Przechyliła się zawracając i pomknęła na północ lekko, niby niesiony wiatrem liść.

Kiedy Arren obejrzał się, z całego miasta tratw zobaczył tylko szałasy i żerdzie pochodni unoszone przez fale, jak garstka patyków i drzazg. Wkrótce wszystko to zniknęło w oślepiających błyskach porannego słońca, odbijających się w wodzie. Dalekopatrząca mknęła naprzód. Uderzając dziobem w fale wzbijała delikatny, kryształowy pył wody, zmuszający Arrena do mrużenia oczu.

Pod żadnym z ziemskich wiatrów ta mała łódź nie płynęłaby tak szybko – bo nie ziemski wiatr, lecz słowa i moc maga pchały ją naprzód.

Krogulec stał dłuższy czas przy maszcie, rozglądając się wokół bacznie. Wreszcie usiadł na swoim

starym miejscu przy rumplu, położył na nim rękę i spojrział na Arrena.

– To był Orm Embar – powiedział. – Smok z Selidoru, potomek wielkiego Orma, który zabił Erretha-Akbe i sam poległ z jego ręki.

– Czy szukał czegoś, panie? – zapytał chłopiec. Nie był bowiem pewien, czy mag rozmawiał ze smokiem w przyjaźni, czy też groził mu.

Szukał mnie. A smoki zawsze znajdują to, czego szukają. Przybył, aby prosić mnie o pomoc. – Roześmiał się krótko. – A to jest coś, w co nigdy bym nie uwierzył. Smok zwrócił się do człowieka o pomoc! I z nich wszystkich, ten właśnie! Nie jest najstarszy, chociaż bardzo stary, lecz jest najpotężniejszy ze swego plemienia. Nie ukrywa nawet swojego imienia, jak muszą to czynić inne smoki i ludzie. Nie obawia się, że czyjakolwiek moc, może przewyższyć jego własną. Nie działa też podstępnie, jak zwykle czynią to jego współplemieńcy. Dawno temu na Selidorze pozwolił mi żyć i wyznał mi wielką prawdę. Powiedział, jak można przywrócić Run Królów. To on pomógł mi zdobyć Pierścień Erretha-Akbe. Lecz nigdy nie myślałem, że kiedyś będę musiał spłacić dług wdzięczności.

– Czego chciał?

– Pokazać mi drogę, której szukam – stwierdził mag ponuro. Po chwili ciągnął dalej. – Powiedział: Na zachodzie jest jeszcze jeden Władca Smoków, którego czyny niosą nam zgubę. Jego moc jest większa od naszej. Wtedy ja zapytałem: Nawet od twojej, Ormie Embar? A on odrzekł: Nawet od mojej. Potrzebuję cię. Spiesz się.

Mogłem tylko posłuchać tego zaproszenia.

– I nie wiesz nic więcej ponad to?

– Będę wiedział więcej.

Arren zwinął linę cumowniczą, schował ją i zajął się innymi drobnymi zajęciami. Przez cały czas podniecenie drgało w nim, jak napięta struna łuku i zadzwieczało w jego głosie, gdy w końcu odezwał się:

– To lepszy przewodnik, niż ktokolwiek inny! Krogulec spojrział na niego i roześmiał się.

– Tak – przyznał. – Myślę, że teraz nie będziemy już błądzić.

W ten sposób rozpoczęli swoją wielką żeglugę przez ocean. Z górą tysiąc mil dzieliło nieznane morze ludu tratw od wyspy Selidor, która leży poza wszystkimi lądami Ziemiomorza, na najdalszym zachodzie. Każdy kolejny dzień wstawał, jaśniejac nad horyzontem i tonął w czerwieni zachodu, a łódź, samotna w bezmiarze morza, mknęła na północ pod złotym łukiem słońca i srebrnym kołem gwiazd.

Czasami burzowe chmury pełni lata gromadziły się w oddali rzucając purpurowe cienie na horyzont. Wówczas Arren mógł widzieć maga jak wstawał, głosem i gestem rozkazując chmurom, aby płynęły w ich stronę i zrzucały deszcze na łódź. Błyskawica przeskakiwała między chmurami, rozlegał się dźwięk grzmotu, a mag wciąż stał z uniesioną ręką, dopóki deszcz nie lunął na niego, na Arrena, łódź i morze, tłumiąc furię fał i póki nie napełnił wystawionych naczyń. Mag i Arren uśmiechali się wtedy z zadowoleniem, gdyż woda była teraz jedyną rzeczą jakiej potrzebowali. Radował ich wściekły przepych sztormu, tak posłuszny słowom maga.

Arren zastanawiał się nad tą mocą, której jego towarzysz używał teraz tak swobodnie i często, i pewnego razu powiedział:

– Kiedy zaczynaliśmy naszą podróż, niechętnie używałeś czarów.

– Pierwsza i ostatnia lekcja na Roke brzmi: Czyn tylko to, co konieczne. I nic więcej!

– Zatem wszystkie pozostałe lekcje muszą polegać na uczeniu tego, co jest konieczne.

– Tak. Przede wszystkim trzeba mieć na uwadze Równowagę. Kiedy Równowaga zostaje naruszona, wtedy trzeba wziąć pod uwagę inne rzeczy, a przede wszystkim pośpiech.

– Ale dlaczego wszyscy czarodzieje na Południu, a teraz być może i gdzie indziej – nawet śpiewacy na tratwach – utracili swoją sztukę, a ty jeden ją zachowałeś?

– Ponieważ nie pragnę niczego poza nią – odrzekł Krogulec.

A po jakimś czasie, już pogodniej dodał: – A jeśli mam ją wkrótce stracić – najlepiej zrobię, wykorzystując ją do końca.

I rzeczywiście, była w nim teraz jakaś beztroska, czyste zadowolenie ze swych umiejętności, dotychczas tak głęboko ukryte pod maską rozwagi, że Arren wcale się go nie domyślał. Umysł czarodzieja czerpie bowiem rozkosz z prostych sztuczek magicznych i każdy mag jest po trochu kuglarzem. Przebranie pod jakim Krogulec ukrył się w Mieście Hort, i które tak bardzo zmieszało Arrena, było tylko zabawą, grą zbyt prostą dla kogoś, kto może do woli zmieniać nie tylko swoją twarz i głos, lecz także swoje ciało i samą istotę – stając się wedle wyboru rybą, delfinem lub jastrzębiem. Pewnego razu powiedział:

– Spójrz, Arrenie. Pokażę ci Gont – i kazał mu patrzeć na powierzchnię wody w beczulce, którą otworzył – była pełna aż po brzegi. Wielu czarodziei umie spowodować ukazanie się obrazu w lustrze wody. I tak właśnie uczynił Krogulec. Wielki szczyt spowity chmurami unosił się z szarego morza. Potem obraz zmienił się i Arren wyraźnie zobaczył urwisty brzeg skalistej wyspy. Zdawało mu się, że jest ptakiem płynącym na wietrze niedaleko brzegu i spoglądającym przez wiatr na to urwisko, wznoszące się na dwa tysiące stóp ponad wzburzonymi falami. Wysoko, na skalnej półce, stał mały dom.

– To jest Re Albi – powiedział Krogulec – i tam żyje mój mistrz Ogion, który dawno temu powstrzymał trzęsienie ziemi. Pasię swoje kozy, zbiera zioła i trwa w milczeniu. Ciekaw jestem, czy wciąż wędruje po górach. Jest już bardzo stary. Lecz wiedziałbym, z pewnością wiedziałbym, nawet teraz gdyby Ogion zmarł... – W jego głosie nie było jednak pewności. Przez chwilę obraz chwiał się jak gdyby runęło samo zbrocze, a potem wyostrzył się. Głos maga nabrał pewności.

– Wyruszył w swą wędrowkę po lasach, jak zwykł to czynić późnym latem i jesienią. Wtedy właśnie, po raz pierwszy przyszedł do mnie i dał mi moje imię. A wraz z nim moje życie. – Obraz w lustrze wody zdawał się być teraz widziany oczyma ptaka siedzącego pomiędzy gałęziami drzew. Patrzący widział przed sobą spadziste skąpane w słońcu łąki, rozciągające się pod skałami i śniegiem szczytu, a z tyłu stromą leśną drogę niknącą w dole w zielonym, mieniącym się złotem mroku.

– Nie ma na świecie ciszy podobnej do ciszy tych lasów – westchnął Krogulec.

Obraz zniknął i tylko oślepiający błysk słońca odbijał się w wodzie beczulki.

– Tam – powiedział Krogulec, spoglądając na Arrena dziwnym, kpiącym wzrokiem – jeśli kiedykolwiek tam powrócę, nawet ty nie będziesz mógł pójść ze mną.

Przed nimi leżała wyspa, niebieska w popołudniowym słońcu, podobna do wału mgły.

– Czy to Selidor? – zapytał Arren i serce zabiło mu szybciej, lecz mag odpowiedział:

– Myślę, że to Obb lub Jessage. Nie przebyliśmy nawet połowy drogi, chłopcze.

Tej nocy płynęli cieśniną pomiędzy tymi dwoma wyspami. Nie widzieli światła, lecz w powietrzu unosił się ciężki zapach dymu, tak gęsty, że drażnił płuca przy oddychaniu. Kiedy nastał dzień i

obejrżeli się za siebie, zobaczyli, że wschodnia wyspa, Jessage, jest czarna i spalona tak daleko, jak tylko mogli sięgnąć wzrokiem w głąb ładu. Ponad nią zwisała błękitna, pochłaniająca promienie słońca mgła.

– Spalili pola – powiedział Arren.

– Tak. I wioski. Już wcześniej – czułem dym.

– Czy tu, na zachodzie, żyją barbarzyńcy? – Krogulec potrząsnął głową. – Farmerzy, mieszczenie.

Chłopiec ze zdumieniem wytrzeszczał oczy na czarny, spalony łąd, na sterczące na tle nieba kikuty sadu. Jego twarz twardniała.

– Cóż złego uczyniły im te drzewa? – Zapytał. – Czy muszą karać trawę za własne winy? Ludzie, którzy pustoszą ziemię ogniem, z powodu waśni z innymi są przecież barbarzyńcami.

– Pozostawiono ich samym sobie – odparł Krogulec. – Nie ma króla, a słudzy królewscy i ludzie czarów pograżyli się we własnych umysłach, szukając drzwi mających przeprowadzić ich przez śmierć. Tak było na Południu i sądzę, że to samo stało się tutaj.

– I to uczynił jeden człowiek – ten o którym mówił smok? To chyba niemożliwe.

– Dlaczego nie? Gdyby, jak niegdyś, panował Król Wszystkich Wysp, byłaby to jedna osoba i rządziłby sam. Jeden człowiek może tak samo łatwo rządzić, jak niszczyć, być królem, bądź jego przeciwnikiem.

W głosie Krogulca znów zabrzmiał ton kpiny lub wyzwania, budzący w Arrenie złość.

– Król ma służbę, żołnierzy, gońców, namiestników. Słudzy wykonują jego rozkazy. Gdzie są słudzy tego Wroga – Króla?

– W nas samych, chłopcze. W naszych umysłach. Jażń, owa zdrajczyni, która krzyczy: chcę żyć, niech cały świat przepadnie, bylebym tylko ja żył! Ta mała zdradziecka dusza zamknięta w ciemnościach każdego z nas jak pająk w pudełku. On sam przemawia do nas wszystkich. Lecz tylko niektórzy go rozumieją. Czarodzieje, śpiewacy, artyści. I bohaterowie, ci którzy starają się być sobą. Być sobą to niezwykle ważna rzecz. Lecz być sobą wiecznie – czyż nie jest to jeszcze ważniejsze?

Arren spojrzał Krogulcowi prosto w oczy.

– Lecz ty uważasz, że to nie jest najważniejsze. Wyłumacz mi dlaczego. Byłem dzieckiem, kiedy zaczynałem tę podróż. Nie wierzyłem w śmierć. W tej podróży nauczyłem się czegoś, być może niewiele, lecz jednak czegoś, nauczyłem się wierzyć w śmierć. Ale nie umiałbym jeszcze cieszyć się z niej i powitać z radością moją własną śmierć – lub twoją. Jeśli kocham życie, czyż nie powinienem nienawidzić jego straty?

W Berili nauczycielem szermierki Arrena był mężczyzna blisko sześćdziesięcioletni, niski, łysy i oschły. Przez wiele lat Arren nie lubił go, choć wiedział, że jest wspaniałym szermierzem. Pewnego dnia podczas treningu zaskoczył swego nauczyciela i wytrącił mu broń z ręki. Nigdy nie zapomniał niedowierzającego zdającego się być zupełnie nie na miejscu szczęścia, które niespodziewanie zapłonęło na zimnej twarzy mistrza. Nie zapomniał tej nadziei i radości – dorównał mu, nareszcie mu dorównał. Od tego dnia nauczyciel szermierki był dla Arrena w czasie treningu bezlitosny. Ilekroć walczyli, na twarzy starego mężczyzny pojawiał się ten sam nieustępliwy uśmiech, jaśniejac tym bardziej, im gwałtowniej Arren nacierał. Twarz Krogulca wyrażała teraz to samo.

– Życie bez końca – powiedział mag. – Życie bez śmierci. Nieśmiertelność. Każda dusza pragnie tego, i jej zdrowie zależy od siły tych pragnień. Lecz uważaj, Arrenie. Ty sam jedynie możesz spełniać swoje pragnienia.

– A potem?

– Potem? To nieszczęście zawisło nad lądami. Sztuka i rzemiosło idące w zapomnienie. Niemi śpiewacy. Oślepiłe oczy. A potem? Panowanie fałszywego króla. Wieczne panowanie. I wiecznie nad tymi samymi poddanymi. Żadnych narodzin, żadnego nowego życia. Żadnych dzieci.

Tylko to co jest śmiertelne, niesie w sobie życie, Arrenie. Tylko w śmierci znajdziesz odrodzenie. Równowaga nie jest bezruchem. Jest zmianą – nieustannym stawaniem się.

– Lecz w jaki sposób Równowaga całości może zostać naruszona czynami i życiem jednego człowieka? Z pewnością nie jest to możliwe, nie pozwolono by na to... – przerwał.

– Kto nie pozwoli? Kto zakáže?

– Nie wiem.

– Ani ja.

Ponuro, uparcie Arren zapytał – więc skąd bierze się twoja pewność?

– Wiem, jak wiele zła może wyrządzić jeden człowiek – odparł Krogulec i jego pobliznioną twarz wykrzywił grymas bólu.

– Wiem, ponieważ uczyniłem to. Uczyniłem takie samo zło, kierowany taką samą pychą. Otworzyłem drzwi pomiędzy światami. Uchyliłem je jedynie, odrobinę uchyliłem – i tylko po to, aby udowodnić, że jestem silniejszy od samej śmierci. Byłem młody i nie spotkałem się jeszcze ze śmiercią – tak jak ty... Aby zamknąć te drzwi Arcymag Nemmerle poświęcił całą swą moc, swój kunszt i życie. Możesz zobaczyć ślad, jaki pozostawiło to na mnie, na mojej twarzy. Lecz Nemmerle umarł. O tak Arrenie, można otworzyć drzwi między światłem a ciemnością. Potrzeba na to wielkiej mocy, jednak można to uczynić. Lecz zamknąć je z powrotem, to zupełnie inna sprawa.

– Lecz to co uczyniłeś z pewnością nie było podobne...

– Dlaczego? Gdyż jestem dobrym człowiekiem? – Oczy Krogulca znowu zabłyśły zimno jak ostrze miecza.

– Cóż to takiego dobry człowiek, Arrenie? Czy dobrym człowiekiem jest ten, kto nie czyni zła, nie otwiera drzwi wiodących do ciemności, ten w kim nie ma ciemności? Rozważ to jeszcze raz, chłopcze. Spójrz odrobinę dalej. Musisz pamiętać o tym, czego się nauczyłeś i pójść tam, dokąd pójść musisz. Spójrz w głąb siebie! Czyż nie słyszałeś głosu mówiącego: chodź! Czyż nie poszedłeś za nim?

– Tak. Lecz... lecz myślałem, że to jego głos.

– To był jego głos. I twój również. Jakże inaczej mógłby przemawiać do ciebie i do tych wszystkich, którzy wiedzą jak go słuchać – jeśli nie twoim, ich własnym głosem?

– Więc dlaczego ty go nie słyszysz?

– Ponieważ nie chcę go słyszeć – odparł żywo Krogulec. – Urodziłem się aby władać – tak jak i ty. Ale ty jesteś młody, stoisz u granic możliwości, które są przed tobą. W krainie cieni, królestwie snu. Słyszysz głos mówiący: chodź! Tak jak ja kiedyś go słyszałem. A ja jestem już stary. Dokonałem wyborów, uczyniłem to, co musiałem uczynić. Stoję w świetle dnia, oko w oko z własną śmiercią. I wiem, że jest tylko jedna władza warta posiadania. I ta władza polega nie na braniu, lecz na godzeniu się. Nie na tym by mieć, lecz by dawać.

Jessage była teraz błękitną plamą na morzu, daleko za nimi.

– Zatem jestem jego sługą – powiedział Arren.

– Tak. A ja jestem twoim.

– Lecz kim on w takim razie jest? Czym jest?

– Człowiekiem, tak sędzę.

– Tym, o którym kiedyś mówiłeś – czarodziejem z Havnor – który przywoływał duchy zmarłych?

Czy to on?

– To możliwe...

– Mówiłeś, że był stary, już wówczas kiedy go spotkałeś wiele lat temu... Czy nie zmarł od tego czasu?

– Może – odparł mag.

Żaden z nich nie odezwał się więcej. Tej nocy morze było pełne ognia. Krótkie fale odrzucane w tył dziobem Dalekopatrzącej i każde poruszenie ryby na powierzchni wody, wszystko to było obwiedzione liniami żywego ognia. Arren siedział wsparłszy głowę na ręce opartej o burtę. Obserwował krzywe spiralne linie kreślone na wodzie srebrnym blaskiem. Zanurzył dłoń w wodzie i wyciągnął ją, a światło spłynęło powoli z jego palców.

– Spójrz – powiedział. – Też jestem czarodziejem.

– Tego daru nie posiadasz – odparł jego towarzysz.

– Nie na wiele ci się przydam bez niego – rzekł gorzko Arren wpatrując się w nieustanne lśnienie fal – kiedy spotkamy naszego wroga.

Miał bowiem nadzieję, od samego początku miał nadzieję, że powodem, dla którego Arcymag wybrał go na towarzysza tej podróży, było to, iż posiada jakąś wrodzoną moc odziedziczoną po swoim przodku Morredzie. Moc, która ujawniła by się w najczarniejszej godzinie w ostatecznej potrzebie. Mógłby uratować wtedy siebie, swego pana i cały świat przed wrogiem. Jeszcze raz pozwolił tej nadziei sobą zawładnąć i wówczas wydało mu się, że widzi ją, choć z ogromnej dali, tak jak wspomnienie czasu, kiedy będąc małym chłopcem, gorąco pragnął przymierzyć ojcowską koronę. I jak bardzo płakał, kiedy mu tego zakazano. To była nadzieja zupełnie nie w porę, jak dziecinna mrzonka. Nie było w nim mocy magicznej. I nigdy nie będzie.

Wprawdzie może nadejść czas, kiedy będzie mógł – kiedy będzie musiał – nałożyć koronę swego ojca i panować jako księżę Enlad. Lecz teraz nie wydawało się to już takie ważne, a jego dom zdawał się zmniejszać i oddalać. Nie oznaczało to jednak niewierności. Tylko to, że jego wierność zmieniła się na większą, obejmującą lepszy wzorzec i głębszą nadzieję. Poznał własne słabości, lecz przez to nauczył się również mierzyć swoją moc – wiedział, że jest silny. Ale cóż za pożytek z siły, jeśli nie posiadał daru, niczego do zaoferowania swemu panu, oprócz posłuszeństwa i niezachwianej miłości?

Krogulec powiedział tylko: – Aby zobaczyć światło świecy, trzeba ją zanieść w ciemność. Tym starał się Arren pocieszyć, lecz nie przyniosło mu to prawdziwej otuchy.

Następnego poranka kiedy się obudzili, powietrze i woda były szare, niebo ponad masztem rozjaśniało się mlecznym błękitem nisko zalegającej mgły. Arren i Krogulec, których rodzinne wyspy, Enlad i Gont, leżały na północy, powitali mgłę z radością, jak starego przyjaciela, miękka jej ściana otoczyła łódź, ograniczając pole widzenia – i wówczas poczuli się jak w rodzinnym pokoju po wielu tygodniach blasku pustej przestrzeni i wiejącego wiatru. Powrócili do własnego klimatu. Być może byli teraz na szerokości Roke.

Jakieś siedemset mil na wschód od tych okrytych mgłą wód, po których żeglowała Dalekopatrząca, jasne promienie słońca padały na liście drzew Lasu Immanentnego, na zielone zwieńczenia Pagórka Roke i na wysokie, pokryte łupkiem dachy Wielkiego Domu.

W komnacie południowej wieży znajdowała się pracownia czarodziei. Pełno w niej było retort, alembików, brzuchatych butli z zagiętymi szyjkami, pieców o grubych ścianach i małych palników, szczypiec, miechów, statywów, kleszczy, pilników, rurek i pudełek, fiolek, zamykanych kolb oznaczonych tajnymi haryckimi runami i wszelkich innych przyborów alchemicznych z dmuchanego szkła i polerowanego metalu, mikstur leczniczych. W tym pokoju, pomiędzy zastawionymi stołami i ławami stali Mistrz Zmian i Mistrz Herold z Roke.

Siwowłosy Mistrz zmian trzymał w dłoni duży kamień podobny do nieoszlifowanego diamentu. Był to skalny kryształ zabarwiony w głębi delikatnym różem, mieniający się odcieniem ametystu, lecz przezroczysty jak woda. Gdy jednak bliżej mu się przyjrzeć, jego krystaliczna struktura mętniała. Żadnych odbić ani obrazów tego co wokół było rzeczywiste, tylko płaszczyzny i głębie, coraz głębsze, aż spojrzenie zostawało zupełnie wciągnięte w sen bez możliwości powrotu. Był to kamień z Sheliethu. Przez długi czas znajdował się on w posiadaniu książąt z Way. Niekiedy traktowano go jako ciekawostkę skarbcza, czasami jako amulet snu, a czasami używano do bardziej zgubnych zamierzeń: ci, którzy spoglądali zbyt długo i bez przygotowania w nieskończoną głębię kryształu, mogli popaść w obłąd. Arcymag Gensher z Way, przybywając na Roke przywiózł ze sobą ów kamień, bowiem właśnie w ręku maga objawiał on wielką prawdę. Prawda jednak zmienia się wraz z ludźmi.

Dlatego to Mistrz Zmian trzymając klejnot i spoglądając przez jego pryzmat w blado zabarwioną, milczącą głębię, mówił głośno, opowiadając to co widzi: -

Widzę ziemię, tak, jak bym stał na Górze Onn pośrodku świata i widział wszystko leżące pod moimi stopami, aż po najdalsze wyspy najdalszych Rubieży – i jeszcze dalej. I wszystko jest wyraźne. Widzę statki w cieśninach Hien i paleniska Torheven, i dach tej wieży, w której teraz stoimy. Lecz dalej, za Roke, nie ma nic. Na południu – żadnych wysp. Na zachodzie – żadnych wysp. Nie mogę dostrzec Wathort tam, gdzie powinna być, ani żadnej wyspy z Zachodnich Rubieży, nawet tak bliskiej, jak Pendor. A Osskil i Ebosskil, gdzie one są? Enlad pokrywa mgła i szarość podobna do pajęczyny. Za każdym razem kiedy spoglądam, znikają nowe wyspy, a tam gdzie były, morze jest puste i dziewicze, takie jakie było przez Stworzeniem... – Zająknął się przy ostatnim słowie, które z trudem przeszło mu przez usta.

Odłożył kamień na podstawę z kości słoniowej i odsunął się od niego. Jego dobrotliwa twarz była ściągnięta.

– Powiedz mi co ty widzisz – poprosił.

Mistrz Herold ujął kryształ w dłonie i obracał go powoli, jakby szukał na jego nierównej szklistej powierzchni dostępu do wizji. Długo obracał go w palcach wpatrując się uważnie. Wreszcie odłożył go i rzekł: – Mistrzu Zmian, widziałem niewiele, fragmenty, urwane obrazy, nic co tworzyłoby całość.

Siwowłosy Mistrz splótł dłonie.

– Czy to samo w sobie nie jest dziwne?

– Jak to?

– Czy twoje oczy często ślepną? – Wykrzyknął Mistrz zmian w gniewie. – Czy nie widzisz, że tam jest – i zająknął się kilka razy, zanim znów mógł dobrać głos – że jest tam ręka, która zasłania twoje oczy, ta sama ręka, która zakrywała moje usta?

– Jesteś przemęczony, mój panie – powiedział Mistrz Herold.

– Przywołaj Istotę Kamienia – rzekł Mistrz Zmian stłumionym głosem, starając się zapanować nad

sobą.

– Dlaczego?

– Dlatego, że cię o to proszę.

– Opamiętaj się, Mistrzu Zmian, czy chcesz mnie sprowokować, jak chłopcy jeden drugiego, przed legowiskiem niedźwiedzia? Czy jesteśmy dziećmi?

– Tak! Po tym co ujrzałem w Kamieniu, jestem dzieckiem – i to przestraszonym dzieckiem. Przywołaj Istotę Kamienia. Czy muszę cię o to błagać?

– Nie – odparł wysoki Mistrz, lecz skrzywił się i odwrócił od starszego mężczyzny. Potem rozwarł szeroko ramiona w pełnym mocy geście rozpoczynającym czary. Uniósł głowę i wypowiedział sylaby wezwania. Gdy mówił, światło zaczęło wzbierać wewnątrz kamienia z Sheliethu. Pokój pogrążył się w ciemności. Wokół kamienia gromadziły się cienie. Kiedy cienie zgęstniały, a kamień stał się bardzo jasny, Mistrz złączył dłonie, uniósł kryształ i zatopił oczy w jego blasku.

Milczał przez chwilę, a potem odezwał się: – Widzę fontanny Sheliethu – mówił cicho. – Sadzawki, baseny i wodospady, ociekające srebrną zasłoną wody pieczary, gdzie rosną paprocie w dywanach mchu. Widzę pomarszczony piasek, strzelające w górę i rozlewające się źródła. Głębokie światło tryskające z ziemi, tajemnicę i świeżość prapoczątku, źródło... Zamilkł znowu i stał tak przez chwilę z twarzą jaśniejącą jak srebro w świetle kamienia. Potem krzyknął głośno i niezrozumiale. Wypuścił kryształ, który upadł z trzaskiem, a sam osunął się na kolana, kryjąc w dłoniach twarz.

Cienie zniknęły. Promienie letniego słońca sączyły się do zagraconej komnaty. Wielki kamień leżał pod stołem w kurzu i śmieciach lecz nie uszkodzony.

Mistrz Herold sięgnął na oślep, chwytając jak dziecko rękę towarzysza. Głęboko odetchnął. W końcu wstał, opierając się na Mistrzu Zmian i niepewnie z cieniem uśmiechu na twarzy powiedział:

– Nie podejmę już więcej twego wyzwania, panie.

– Co zobaczyłeś, Thorionie?

– Zobaczyłem fontanny pogrążone w ciszy, wysychające potoki i cofające się brzegi źródeł. A pod spodem wszystko było czarne i suche. Ty widziałeś morze przed stworzeniem, a ja to... co nastąpi potem... widziałem

Rozkład. – Zwilżył wargi. – Chciałbym, aby Arcymag był tutaj.

– A ja chciałbym, abyśmy byli tam razem z nim.

– Gdzie? Nikt nie jest w stanie go teraz odnaleźć – Mistrz Herold spojrział w okna, przez które widać było błękitne, niezmacone niebo. – Żadne posłanie nie dotrze do niego, żadne wezwanie go nie dosięgnie. Jest tam, gdzie widziałeś puste morze. Zdaża do miejsca, w którym wysychają strumienie. Jest tam, gdzie nasze umiejętności są zbyteczne... Ale są czary, które mogłyby go dosięgnąć. To magia wiedzy Paln.

– Lecz są to czary, za pomocą których zmarli przywoływani są między żywych.

– Niektóre przywołują żywych pomiędzy zmarłych.

– Czy sądzisz, że nie żyje?

– Myślę, że idzie w stronę śmierci, że jest ku niej przyciągany. I tak dzieje się z nami wszystkimi. Nasza moc, nasza siła, nadzieja i szczęście opuszczają nas. Źródła wysychają.

Mistrz Zmian przyglądał mu się przez chwilę ze zmartwioną twarzą.

– Nie próbuj posyłać po niego, Thorionie – powiedział wreszcie, – wiedział czego szukać na

długo przedtem zanim my się dowiedzieliśmy. Dla niego świat jest taki, jak ten Kamień z Sheliethu: patrzy i widzi, co jest co być musi... Nie możemy mu pomóc. Wielkie czary zawsze niosą w sobie niebezpieczeństwo. A największe niebezpieczeństwo tkwi w tych, o których mówiłeś. Musimy utrzymać naszą moc i tak jak nam przykazał, strzec granic Roke i nauki zapamiętywania Imion.

– Tak – rzekł Mistrz Herold. – Lecz teraz muszę sam o tym pomyśleć. – I wyszedł z pokoju, krocząc nieco sztywno i wysoko unosząc swoją szlachetną ciemną głowę.

Następnego dnia rano Mistrz Zmian zapukał do jego pokoju, i wszedł tam, mimo tego, iż nie usłyszał odpowiedzi. Herold leżał na kamiennej podłodze tak jakby został odrzucony do tyłu potężnym uderzeniem. Jego ramiona były szeroko rozwarte, jak w geście inwokacji, lecz dłonie miał zimne, a otwarte oczy już nie widziały. Chociaż Mistrz Zmian ukląkł przy nim i zawołał go, wkładając w to całą moc rozkazywania jaką posiada mag, Mistrz Herold wciąż leżał nieruchomo. Nie był martwy, lecz było w nim tyle tylko życia aby utrzymać serce w powolnym rytmie i pozwolić płucom nabrać odrobiny powietrza. Mistrz Zmian ujął dłonie leżącego i ściskając je wyszeptał: – O, Thorionie, zmusiłem cię, abys spojrział w Kamień. To przeze mnie!

Potem pospiesznie wyszedł z pokoju i do tych, których spotkał, Mistrzów i uczniów, wołał: – Wróg dosięgnął nas tu, na Roke, tak dobrze strzeżonej i zadał naszej mocy cios prosto w serce!

Chociaż był łagodnym człowiekiem wyglądał teraz jakby postradał zmysły, a jego głos brzmiał tak zimno, że we wszystkich wzbudzał strach.

– Spójrzcie na Mistrza Herolda – powiedział. – Czy teraz ktokolwiek zdoła przywołać z powrotem jego duszę, jeśli on, mistrz w swojej sztuce, odszedł?

Ruszył do swojego pokoju, a wszyscy rozstępowali się, aby go przepuścić.

Posłano po Mistrza Zielarza. Ten kazał ułożyć Thoriona w łóżku i ciepło go okryć. Lecz nie naparzył ziół leczniczych, ani też nie zaśpiewał żadnej pieśni, pomagających choremu ciału i cierpiącemu umysłowi. Towarzyszył mu jeden z jego uczniów. Był to młody chłopiec, jeszcze nie promowany na czarodzieja, lecz wykazujący wielkie zdolności w sztukach leczniczych. Uczeń zapytał: – Mistrzu, czy nic nie można dla niego zrobić?

– Nie po tej stronie muru – odparł Mistrz Zielarz. Potem przypominając sobie, do kogo mówi, dodał: – On nie jest chory chłopcze, lecz jeśli nawet byłaby to gorączka cielesnej choroby, to nie wiem, czy nasze umiejętności na wiele by się zdały. Wydaje mi się, że moje zioła straciły ostatnio aromat. Chociaż wypowiadam słowa naszych zaklęć, nie ma w nich mocy.

– To samo powiedział wczoraj Mistrz Kantor. Przerwał w połowie pieśń, której nas uczył i powiedział: – Nie wiem, co ta pieśń znaczy. I wyszedł z sali. Niektórzy z chłopców śmiali się, lecz ja czułem się tak, jakby podłoga usunęła mi się spod stóp.

Mistrz Zielarz spojrział na otwartą bystrą twarz chłopca, a potem na twarz Herolda, zeszywniała i zimną.

– Wróci do nas – zapewnił. – Pieśni nie będą zapomniane.

Tej nocy Mistrz Zmian opuścił Roke. Nikt nie wiedział w jaki sposób odszedł. Rano okno było otwarte, a mistrz zniknął. Sądzili, że za pomocą sztuki zmiany postaci, przekształcił się w ptaka lub w zwierzę, w mgłę, czy nawet wiatr. Żaden bowiem kształt ani substancja nie były obce jego sztuce. W ten sposób opuścił Roke, być może, aby szukać Arcymaga.

Niektórzy, wiedząc jak łatwo zmieniający postać może być uwięziony we własnych czarach, bali się o niego, lecz nic nie mówili o swoich obawach.

I tak Rada Roke straciła trzech ze swych Mistrzów. Dni mijały, nie było słyhać żadnych wieści o

Arcymagu. Herold leżał jak martwy, a Mistrz Zmian nie wracał. Chłód i mrok zaczęły ogarniać Wielki Dom Roke. Chłopcy szeptali między sobą, niektórzy z nich mówili wprost o opuszczeniu Roke, ponieważ nie naucza się ich tutaj tego, czego przybyli się nauczyć.

– Może – powiedział jeden – wszystkie te tajemne sztuki i moce od początku były kłamstwem? Ze wszystkich Mistrzów tylko Mistrz Złota Ręka wciąż czyni swoje sztuczki, zaś te są, jak wiemy, zwykłą iluzją. Inni pochowali się, lub wzbraniają się przed robieniem czegokolwiek, ponieważ ich niemoc stała się faktem.

Inny słuchając tego powiedział: – Właśnie, czym są czary? Czymże jest ta sztuka magiczna, poza stwarzaniem iluzji? Czy kiedykolwiek uratowała człowieka przed śmiercią, czy dała mu choćby długie życie? Gdyby magowie rzeczywiście posiadali tę moc, którą sobie przypisują, z pewnością żyli by wiecznie. – I zaraz on i inni chłopcy zaczęli opowiadać o śmierci wielkich magów, takich jak Morred, który zginął w bitwie Nereger, który poległ z ręki Szarego Maga, Erreth-Akbe, któremu zgubę przyniósł smok, czy Gensher, którego powaliła zwykła choroba i skonał w łóżku, jak każdy zwykły człowiek. Niektórzy chłopcy, czując zawiść w sercach, słuchali tego z zadowoleniem, zaś inni słuchali i czuli się nieszczęśliwi.

Przez cały ten czas Mistrz Tkacz pozostawał samotny w swoim Lesie i nie pozwalał nikomu tam wejść.

Tylko Mistrz Odźwierny, chociaż rzadko widywany, nie zmienił się. W jego oczach nie było cienia. Uśmiechał się i strzegł drzwi Wielkiego Domu, oczekując powrotu swego pana.

10. SMOCZY SZLAK

Zimnym jasnym porankiem, na najdalszych wodach Zachodnich Rubieży, Pan Wyspy Mądrości obudził się zdrętwiały i zeszywniały w małej łodzi. Po chwili, wskazując na północ, powiedział do swojego ziewającego towarzysza: – Tam! Dwie wyspy, czy widzisz je? Najdalej na południe wysunięte wyspy Smoczego Szlaku.

– Masz sokole oczy, panie – stwierdził Arren, spoglądając przez resztki snu na morze i nic nie widząc.

– Dlatego właśnie jestem Krogulcem – odparł Mag. Wciąż był pogodny, zdając się zbywać wzruszeniem ramion przezorność i złe przeczucia. – Nie widzisz ich?

– Widzę mewy – powiedział chłopiec, gdy przetarł oczy i przyjrzał się dokładnie błękitnoszaremu widnokręgowi, roztaczającemu się przed łodzią.

Mag roześmiał się. – Nawet sokół nie dojrzy mew z odległości dwudziestu mil.

Gdy słońce zajaśniało, wynurzając się zza wschodnich mgieł, maleńkie plamki krążące w powietrzu – które Arren śledził wzrokiem – zaczęły skrzyć się jak złoty piasek w wodzie czy drobiny pyłu w promieniach słońca. I wtedy Arren zrozumiał, że to były smoki.

Kiedy Dalekopatrząca zbliżyła się do wysp, Arren zobaczył smoki szybujące i krążące w porannym świetle. Serce na ich widok zabiło mu z radości – radości spełnienia, która była jak ból. Ten zachwycający lot wyrażał całą chwałę nieśmiertelności. Piękno smoków tkwiło w straszliwej sile, pierwotnej dzikości i rozumnym wdzięku. Były to myślące stworzenia, obdarzone mową i prastarą wiedzą.

Wzory, które kreśliły latające smoki wyrażały niepohamowaną gwałtowność, ujętą jednak w karby harmonii.

Arren nie mógł dobyć z siebie głosu, lecz myślał: – widziałem smoki na wietrze poranka i nieważne już, co będzie potem.

Niekiedy w podniebne wzory wkradała się dysharmonia i koła się załamywały. To jeden to drugi potwór wypuszczał z nozdrzy długą smugę ognia, która zakrzywiała się i zawisała w powietrzu, odtwarzając przez chwilę kontury i blask długiego, wygiętego w łuk ciała smoka. Widząc to, mag powiedział:

– Są złe, tańczą swój gniew na wietrze. I zaraz dodał:

– To my ściągnęliśmy na siebie ich gniew. Smoki dostrzegły na falach maleńki żagiel i kolejno wyrwały się z powietrznego wiru tańca. Uderzając wielkimi skrzydłami nadciągały długim równym szykiem prosto ku łodzi.

Mag spojrzął na Arrena, który siedział przy rumplu, płynęli bowiem na wzburzonej i przeciwnej fali. Chłopiec trzymał rumpel mocną, pewną ręką, chociaż jego oczy utkwione były w powolnym ruchu ogromnych skrzydeł. Zadowolony Krogulec odwrócił się od niego i stając przy maszcie, pozwolił, by magiczny wiatr opadł z żagla. Uniósł swoją laskę i głośno przemówił.

Na dźwięk jego głosu i słów Starej Mowy, niektóre ze smoków zawróciły w pół drogi, rozpraszając się i kierując z powrotem ku wyspom. Inne zatrzymały się, zawisając w powietrzu, jak gdyby ich wyciągnięte, podobne do mieczów szpony napotkały niewidzialną barierę. Jeden z nich, opuszczając się nisko nad wodę, leciał powoli w ich kierunku – wystarczyły dwa uderzenia skrzydeł, aby znalazł się nad łodzią. Pokryty kolczugą łusek brzuch o mało nie zawadził o maszt. Arren

zobaczył pomarszczone, nieopancerzone ciało pomiędzy wewnętrzną nasadą ramienia a piersią. Miejsce to – oprócz oczu – jest jedynym podatnym na ciosy miejscem na ciele smoka, chyba że ciśnięta włócznia kierowana jest potężnym czarem. Dym, który wydobywał się kłębammi z długiej, uźębionej paszczy, dławił, a dochodzący wraz z nim zgniły odór wykrzywiał twarz chłopca i przyprawiał go o mdłości.

Cień przesunął się. Smok zawrócił, lecąc tak nisko jak przedtem. W tym momencie Arren poczuł zza kłębow dymu, gorący żar jego oddechu. Usłyszał głos Krogulca, czysty i żywy. Smok odleciał. Potem odleciały wszystkie pozostałe, ciągnąc z powrotem ku wyspom, jak porwane wiatrem rozżarzone węgle.

Arren z trudem złapał oddech i otarł pokryte zimnym potem czoło. Spoglądając na swego towarzysza spostrzegł, że jego głowa pobieliała – oddech smoka spalił końce włosów tak, że stały się białe i kruche. A gruby materiał żagla był z jednej strony spalony na brąz.

– Twoja głowa jest nieco osmalona, chłopcze.

– Tak i jak twoja, panie.

Krogulec, zaskoczony, przesunął ręką po włosach.

– Rzeczywiście! To było zuchwalstwo, lecz nie chciałem się sprzeczać z tymi stworzeniami. Wydają się być oszalałe bądź oszołomione. Nie odezwały się. Nigdy nie spotkałem smoka, który by nie przemówił przed atakiem choćby tylko po to, aby udręczyć swoją zdobycz... Musimy płynąć dalej. Nie patrz im w oczy, Arrenie. Jeśli będziesz musiał, odwróć głowę. Popłyniemy z ziemskim wiatrem, wieje teraz pomyślnie z południa, a ja może będę potrzebował mej sztuki do czego innego. Trzymaj taki kurs jak teraz.

Dalekopatrząca płynęła przed siebie i wkrótce z jej lewej strony pojawiła się odległa wyspa, a z prawej dwie inne, bliźniacze, które ujrzeli najpierw. Wznosiły się niskimi urwiskami, a ich nagie skały pobielwały od oddechów smoków i czarnogłowych mew, które gnieździły się między smokami, nie zwracając na nie uwagi.

Smoki wzleciały wyżej i krążyły teraz wysoko w powietrzu, jak stado wypatrujących zdobyczy sępów. Żaden nie zniżył się ponownie do łodzi. Czasem krzyczały do siebie cienko i ochryple przez wiry powietrza. Lecz jeśli w ich krzyku były słowa, to Arren nie umiał ich odróżnić.

Łódź okrążyła krótki przylądek i Arren zobaczył na brzegu coś, co przez chwilę wziął za zburzoną twierdzę.

Był to smok. Jedno czarne skrzydło było podwinięte i przygniecione cielskiem. Drugie rozciągało się ogromną płaszczyzną na piasku i zanurzało w wodzie tak, że przyływy i odpływy fal poruszały je nieznacznie tam i z powrotem, jak gdyby w parodii lotu. Długie węzowe cielsko leżało na piasku i skale. Brakowało mu jednej z przednich łap. Łuski i ciało były zdarte z wielkiego łuku żeber, a brzuch został tak rozpruty, że na wiele stóp wokół piasek poczerniał od trującej, smoczej krwi... Jednak stworzenie wciąż żyło. Wielka jest siła witalna smoków. Tak wielka, że tylko równie potężna moc czarów potrafi szybko je zabić. Zielonozłote oczy były otwarte, a gdy łódź przepływała obok, wielka głowa poruszyła się z trudem, i para zmieszana z fontanną krwi wystrzeliła rżącym sykiem z jego nozdrzy. Plaża pomiędzy umierającym smokiem, a brzegiem morza pokryta była śladami stóp i ciężkich ciał jego współplemieńców. Piasek zmieszał się z wdeptanymi weń szczątkami wnętrzości.

Żaden z żeglarzy nie odezwał się, dopóki nie zostawili za sobą tej wyspy. Przez niespokojny i wzburzony kanał Smoczego Szlaku, pełen raf i podwodnych skał ze sterczącymi na powierzchni szczytami płynęli ku północnym wyspom podwójnego, rozciągniętego jak łańcuch archipelagu.

Dopiero teraz Krogulec powiedział:

– To był straszny widok – a jego głos brzmiał posępnie i zimno.

– Czy... czy one pożerają się nawzajem?

– Nie. Nie bardziej, niż my to czynimy. Sprowadzono na nie szaleństwo. Pozbawiono je mowy. I to nimi, które mówiły zanim przemówił człowiek, nimi, które są starsze od jakiejkolwiek żyjącej istoty – Dziećmi Segoy'a – właśnie nimi owładnęło nieme przerażenie. Och! Kalessin! Gdzie zaniósł cię twoje skrzydła? Czy dożyłeś tego, aby zobaczyć jak twoja rasa uczy się wstydu?

Głos maga dźwięczał, jak uderzenie w żelazo. Spoglądał w górę, przeszukując wzrokiem niebo, lecz smoki pozostały z tyłu. Krążyły teraz niżej nad skalistą wyspą i splamioną krwią plażą. Ponad ich głowami nie było nic, oprócz błękitnego nieba i południowego słońca.

Nikt z żyjących wówczas ludzi nie przepłynął Smoczego Szlaku, ani nawet nie widział go – z wyjątkiem Arcymaga. Z górą dwadzieścia lat temu przepłynął go wzdłuż, ze wschodu na zachód i z powrotem. Dla żeglarza był to koszmar, a zarazem coś zdumiewającego. Woda okazywała się labiryntem błękitnych kanałów i zielonych mielizn. Wśród nich, wspomagając się nawzajem, z napiętą do granic uwagą, Krogulec i Arren przemykali łodzią pomiędzy skałami i rafami. Niektóre z nich były niskie, zanurzone pod grzywami fal, pokryte anemonami, pąklami i wstęgami morskich paproci, podobne do morskich potworów, falujących i obrośniętych muszlami. Inne strzelały z morza pionowymi urwiskami i pinaklami ujętymi w arkady i sklepienia, z rzeźbionymi wieżami, fantastycznymi kształtami zwierząt, grzbietami dzików i węzowymi głowami. Wszystkie były ogromne i zdeformowane. Jak gdyby samo życie, w na pół świadomym spazmie zamarło w skale. Fale uderzały w nie z odgłosem podobnym do westchnień i wkrótce byli zupełnie przemoczeni jasnym, gorzkim pyłem wodnym.

W jednej z tych skał, od strony południowej, widać było wyraźnie zgarbione ramiona i posępną szlachetną twarz mężczyzny, pochyloną w zadumie nad morzem. Gdy łódź przepłynęła, postać znikła. Gdyby spojrzeć w tył, masywne skały odsłoniłyby pieczarę, w której morze wznosiło się i opadało z głuchym, mlaszczącym grzmotem, w którym dosłuchać można by się było jakiegoś słowa czy sylaby. Kiedy odpłynęli dalej, echa zniekształcające dźwięk ucichły i odgłos stał się wyraźniejszy.

Arren zapytał:

– Czy słyszałeś coś w tej pieczarze?

– Tak, głos morza.

– Lecz słyszeć w nim słowo.

Krogulec nadśluchiwał przez chwilę, spoglądając to na Arrena, to znów na pieczarę.

– Co słyszysz?

– Wydaje mi się, że brzmi to jak ahm.

– W Starej Mowie oznacza to "początek" lub "Dawno temu". Lecz ja słyszę to jako ohb, to oznacza koniec...

Patrz przed siebie! – zakończył ostro, właśnie gdy Arren ostrzegł go: – Mielizna! – I chociaż Dalekopatrząca płynęła ostrożnie, jak skradający się kot, przez jakiś czas zajęci byli sterowaniem. Z wolna pozostawili za sobą grzmiącą tajemniczym słowem pieczarę.

Opuszczając fantasmagoryczne skały, wpłynęli na głębszą wodę. Przed nimi wyłoniła się wyspa podobna do wieży. Jej urwiska były czarne, utworzone z wielu walców czy też wielkich filarów – ustawionych ciasno obok siebie, o prostych krawędziach i równych powierzchniach – wznoszących

się pionowo trzysta stóp ponad wodę.

– To Wieża Kalessina – powiedział mag – Tak nazwały ją smoki, kiedy byłem tu dawno temu.

– Któż to jest Kalessin?

– Najstarszy...

– Czy on to zbudował?

– Nie wiem. Nie wiem, czy to w ogóle zostało zbudowane. Ani jak stary jest Kalessin. Mówię "on", lecz nie wiem nawet tego... W porównaniu z Kalessinem, Orm Embar jest jak jednoroczne dziecko. A ty i ja jak jętki.

Bacznie śledził wzrokiem straszliwą palisadę. Chłopiec również przyglądał się jej z niepokojem, myśląc o tym, że smok mógłby zeskoczyć z tej dalekiej, czarnej krawędzi i znaleźć się niemal nad nimi, ukryty w jej cieniu. Lecz żaden smok nie pojawił się. Płynęli powoli przez spokojną wodę po zawietrznej stronie skały. Nie słyszeli niczego o-prócz szeptu i plusku fal pokrytych cieniem bazaltowych kolumn. Woda była głęboka, bez skał i raf. Arren sterował łodzią, a Krogulec stał na dziobie, badając urwiska i jasne niebo przed dziobem łodzi.

Dalekopatrząca wypłynęła w końcu z cienia Wieży Kalessina w słoneczny blask późnego popołudnia. Znaleźli się po drugiej stronie Smoczego Szlaku. Mag uniósł głowę jak ktoś, kto ujrział to, co spodziewał się zobaczyć. Przez ów ogromny, złoty przestwór, rozciągający się przed nimi, leciał na złotych skrzydłach smok Orm Embar.

Arren usłyszał Krogulca jak krzyczy do niego: Aro Kalessin? Arren domyślał się, co to znaczy, lecz nie odgadł, co oznaczała odpowiedź smoka. A jednak słysząc Starą Mowę, wciąż czuł, że jest bliski zrozumienia, jak gdyby to nie był język obcy, lecz tylko zapomniany. Gdy mag się nim posługiwał, jego głos stawał się znacznie wyraźniejszy niż wówczas, gdy mówił językiem Hardu. Zdawało się, że otacza go wtedy cisza, jak przy najdelikatniejszym dotknięciu wielkiego dzwonu. Lecz głos smoka był jak gong, głęboki i przenikliwy a zarazem syczący jak brzęk czyneli.

Arren obserwował swego towarzysza, stojącego na wąskim dziobie i rozmawiającego z potwornym stworzeniem, które zawisło nad nimi zakrywając pół nieba. Coś w rodzaju radosnej dumy wezbrało w sercu chłopca, gdy ujrział jak małą, słabą, lecz zarazem straszliwą istotą jest człowiek. Smok mógł zerwać ludzką głowę z ramion jednym uderzeniem uzbrojonej w pazury łapy. Mógł zmiażdżyć i zatopić łódź – tak jak kamień zatapia unoszący się na wodzie liść – gdy samą tylko siłę brać pod uwagę. Lecz Krogulec był tak niebezpieczny, jak Orm Embar – i smok wiedział o tym.

Mag odwrócił głowę.

– Lebannen – rzekł cicho. Chłopiec wstał i podszedł do niego, choć z całego serca pragnął pozostać na swoim miejscu. Nie miał ochoty zbliżyć się nie tylko o całą długość łodzi, lecz bodaj o krok do tych piętnastostopowych szczęk i przenikliwych, przeciętych wąską źrenicą, żółtozielonych oczu, płonących nad nimi.

Krogulec nie odezwał się do Arrena, tylko położył rękę na jego ramieniu i znowu krótko przemówił do smoka.

– Lebannen – odezwał się przepastny głos. – Agni Lebannen!

Chłopiec uniósł oczy. Uścisk ręki maga przypomniał mu o czymś i... umknął wzrokiem przed spojrzeniem zielonozłotych źrenic.

Nie umiał mówić w Starej Mowie, lecz przecież nie stracił głosu.

– Witam cię, Ormie Embar, Panie Smoku – wymówił wyraźnie, jak księżę pozdrawiający innego

księcia.

Zapadła cisza. Serce Arrena biło ciężko i z obawą. Ale Krogulec stojący obok niego uśmiechał się.

Po chwili odezwał się smok, a Krogulec mu odpowiedział. Arrenowi zdawało się, że trwa to całą wieczność. Wreszcie niespodziewanie, wszystko się skończyło. Smok skoczył w górę tylko raz uderzywszy skrzydłami

– podmuch przechylił łódź – i zniknął w oddali. Młody książę spojrział na słońce i znalazł je niewiele niżej niż przedtem. W rzeczywistości spotkanie ze smokiem nie mogło trwać długo. Lecz twarz maga miała kolor mokrego popiołu, a jego oczy błyszczały, gdy odwrócił się do Arrena.

– Wspaniale, chłopcze – powiedział ochryple. – To nie jest łatwe – rozmawiać ze smokami.

Arren przygotował im posiłek, gdyż cały dzień nic nie jedli. Mag nie odezwał się słowem, dopóki nie najadł się i nie napił. Do tego czasu słońce opadło nisko nad horyzont, chociaż na tych północnych szerokościach – krótko po pełni lata – noc nadciągała powoli i późno.

– No cóż – odezwał się w końcu Krogulec – Orm Embar, jak na niego, powiedział mi niemało. Mówił, iż ten, którego szukamy, i jest, i nie ma go, na Selidorze... Smokowi z trudnością przychodzi mówić jasno. Nie mają prostych umysłów. A jeśli nawet któryś z nich chciałby człowiekowi powiedzieć prawdę, co zdarza się rzadko

– nie wie jak człowiek ją zrozumie.

Zapytałem go: Czy jest na Selidorze w ten sam sposób, w jaki był twój przodek Orm? Jak wiesz, tam właśnie Orm i Erreth-Akbe polegli w walce. Smok odpowiedział: Tak i nie. Znajdziesz go na Selidorze, lecz nie tam. – Krogulec przerwał i zastanowił się przez chwilę, żując kromkę suchego chleba. – Może miał na myśli to, że chociaż tego człowieka nie ma na Selidorze, to jednak muszę się tam dostać, aby dotrzeć do niego. Może... Zapytałem go wówczas o inne smoki. Powiedział, że ten człowiek przebywa wśród nich nie czując strachu, gdyż, chociaż zabity, powstaje z martwych; żywy, we własnym ciele. Dlatego boją się go, jako istoty przeciwnej naturze i ten strach pozwala jego czarom zdobyć nad nimi przewagę. Odebrał im Język Tworzenia, pozostawiając je na łup ich własnej dzikiej natury. Pożerają się więc nawzajem lub odbierają sobie

życie rzucając się do morza – a to jest okropna śmierć dla ognistych potworów, stworzeń wiatru i ognia. Wtedy zapytałem, gdzie jest ich władca, Kalessin. Wszystko co zechciał powiedzieć brzmiało: Na Zachodzie. Może to znaczyć, że Kalessin odleciał do innych lądów, o których smoki mówią, iż leżą tak daleko, że żaden statek nigdy tam nie dopłynął. A może wcale nie należy tego tak rozumieć? Wówczas skończyłem z pytaniami. I wtedy on przemówił: Leciałem nad Kaltuel i nad Rafami Torin. Na Kaltuel widziałem wieśniaków zabijających dziecko na kamiennym ołtarzyku. Na Ingat widziałem czarodzieja zabitego przez mieszczan, rzucających w niego kamieniami. Czy oni zjedzą to dziecko, jak myślisz, Ged? Czy czarodziej powstanie z martwych i odrzuci kamienie na swych katów?

Myślałem, że szydzi ze mnie i już chciałem wybuchnąć gniewem, gdy znów się odezwał: Wszystko traci sens. W świecie jest dziura i morze wycieka przez nią. Wycieka światło. Pozostaniemy w suchej krainie. Skończą się słowa i śmierć. I tak w końcu zrozumiałem, co chciał mi powiedzieć.

Lecz Arren nie rozumiał tego, a ponadto był bardzo zmieszany, ponieważ Krogulec, powtarzając słowa smoka, nazwał siebie niewątpliwie swoim własnym, prawdziwym imieniem. To przywołało w pamięci Arrena – choć wcale tego nie pragnął – obraz udręczonej kobiety z Lorbanery wykrzykującej: "Mam na imię Akaren!". Jeśli siła czarów, muzyki, mowy i wiary słabnie i zamiera wśród ludzi, jeśli szaleństwo strachu ogarnia ich do tego stopnia, by – jak smoki pozbawione rozumu

– niszczyć się nawzajem, to czy jego pan tego uniknie? Czy jest na tyle silny?

Krogulec wcale nie wyglądał na silnego, gdy tak siedział pochylony nad swą kolacją, złożoną z chleba i wędzonej ryby. Ot, zwykły mężczyzna z posiwiałymi, osmalonymi ogniem włosami, z drobnymi rękami i ze zmęczoną twarzą.

Jednak smok bał się go.

– Czy stało się coś złego, chłopcze?

Jedyna droga, którą można dotrzeć do niego, to droga prawdy – pomyślał Arren.

– Mój panie, powiedziałaś swoje imię.

– Och, tak. Zaniechałem uczynić tego wcześniej. Będziesz musiał znać moje prawdziwe imię, jeśli dotrzemy tam, dokąd musimy pójść. – Żując, spojrzał na Arrena. – Czy naprawdę myślałeś, że już zupełnie zgrzybiałem i powtarzam moje imię, jak stary otepiały człowiek, pozbawiony rozsądku i wstydu? Jeszcze nie, chłopcze!

– Nie – odparł Arren tak zmieszany, że nie umiał powiedzieć nic więcej. Był bardzo znużony. Dzień był długi i pełen smoków, a droga przed nimi pograżała się w ciemności.

– Arren – powiedział mag. – Nie: Lebannen. Tam, dokąd idziemy, niczego nie można ukryć. Tam wszyscy noszą swoje prawdziwe imiona.

– Zmarłym nie można zaszkodzić – rzekł posępnie Arren.

– Lecz nie tylko tam, nie tylko po śmierci ludzie noszą swe prawdziwe imiona. Ci, którym można najbardziej zaszkodzić, ci najbardziej narażeni na ciosy, to ludzie dający innym miłość i nie oczekujący niczego w zamian. Ludzie o gorących sercach dający życie. Obdarzający się nawzajem swymi imionami... Jesteś zmęczony, chłopcze. Połóż się i prześpij! Przez całą noc nie ma nic do roboty, trzeba tylko trzymać kurs. A rano powinniśmy zobaczyć ostatnią wyspę świata.

W jego głosie brzmiała łagodność, której nie można było nie ulec. Arren ułożył się na dziobie i natychmiast zaczął ogarniać go sen. Słyszał, jak mag cicho, prawie szeptem śpiewał, lecz nie w języku Hardu. Gdy zaczął w końcu rozumieć, czy przypominać sobie, co znaczą te słowa Tworzenia – właśnie, gdy był bliski zrozumienia – zapadł głęboko w sen.

W milczeniu mag schował chleb i rybę, zajął się linami, uporządkował całą łódź, ujął w rękę szot i, usiadłszy na tylnej ławce, przywołał w żagiel silny, magiczny wiatr. Niestrudzona Dalekopatrząca, jak strzała prująca morze pomknęła na północ.

Krogulec spojrzał na Arrena. Twarz śpiącego chłopca oświetlona była czerwonozłotymi, poziomymi promieniami zachodzącego słońca. Potargane włosy muskał wiatr. Delikatny, dobrze ułożony, beztroski chłopiec, który siedział przy fontannie Wielkiego Domu kilka miesięcy temu, zniknął bez śladu. Teraz twarz Arrena była szczuplejsza, twardsza i o wiele silniejsza, choć nie mniej piękna.

– Nie znalazłem nikogo, kto by towarzyszył mi w tej drodze – rzekł głośno Arcymag Ged do śpiącego chłopca... a może do wiejącego znikąd wiatru. – Nikogo, prócz ciebie. A ty musisz pójść swoją drogą, nie moją. Jednak twoje królestwo będzie, po części i moim. To ja rozpoznałem cię pierwszy. Ja pierwszy cię poznałem! I, być może, w przyszłości sławić za to bardziej mnie będą, niż za cokolwiek innego, co uczyniłem dla magii... Jeśli będzie przyszłość. Najpierw my dwaj musimy stanąć w miejscu, gdzie waży się równowaga całego świata. Jeśli ja zginę, ty zginiesz również, i cała reszta... Nie na długo, nie na długo. Żadna ciemność nie trwa wiecznie. Nawet tam, nawet tam są gwiazdy... Och, jakże chciałbym zobaczyć ciebie koronowanego w Havnor. Jakże chciałbym zobaczyć blask słońca na Wieży Miecza i na Pierścieniu, który sprowadziliśmy dla ciebie – Tenar i

ja – z Atuanu, z ciemnych grobowców, zanim się narodziłeś.

Roześmiał się i zwracając twarz ku północy, powiedział do siebie w zwykłym języku: – Pastuch kóz osadzający spadkobiercę Morreda na jego tronie! Czyż nigdy nie nauczę się pokory?

Wkrótce po tym, gdy usiadł z szotem w dłoni, obserwując napięty żagiel czerwieniejący w ostatnim blasku zachodu, cicho odezwał się znowu: – Nie pozostanę w Havnor, ani na Roke. Już czas skończyć z władzą. Skończyć z głupstwami i odejść. Już czas, żeby wrócić do domu. Chcę zobaczyć Tenar. Chcę zobaczyć Ogiona i porozmawiać z nim zanim umrze. W domu na urwiskach Re Albi. Pragnę wędrować po lasach góry Gont, jesienią, kiedy liście okrywają się złotem. Żadnego królestwa nie można porównać do tych lasów. Już czas, abym odszedł tam – sam, w ciszy. Może tam w końcu nauczę się tego, czego ani czyn, ani moc nie mogły mnie nauczyć.

Cały zachód płonął w blasku i czerwieni, aż morze stało się purpurowe, a sunący po nim żagiel jaśniał jak krew. Potem w ciszy nadciągnęła noc. Przez cały ten czas chłopiec spał, a mężczyzna czuwał, wpatrując się nieustannie w ciemność. Nie było tam gwiazd.

11. SELIDOR

Budząc się o poranku, Arren ujrzał ciągnące się przed łodzią wzdłuż zachodniego widnokręgu niskie i zamglone wybrzeża Selidoru.

W pałacu na Enlad znajdowały się stare mapy sporządzone jeszcze za czasów Królów, kiedy to badacze i kupcy często wypuszczali się poza Łądy Wewnętrzne. Rubieże zostały wtedy lepiej poznane, a Wielka Mapa Północy i Zachodu ułożona była w mozaikę na dwóch ściankach książęcej sali tronowej, a wyspa Enlad jaśniała złotem i zielenią nad tronem. Arren ujrzał teraz tę mapę oczyma duszy, tak jak oglądał ją tysiące razy w dzieciństwie. Na północ od Enlad leżała Osskil, na zachód Ebosskil, na południe zaś Semel i Paln. Tam kończyły się Łądy Wewnętrzne i nie było nic oprócz jasnej, błękitnozielonej mozaiki otwartego morza, ozdobionej tu i ówdzie maleńkim delfinem, czy wielorybem. Za rogiem, gdzie ściana północna łączyła się z zachodnią leżała Narveduen, a za nią trzy pomniejsze wyspy. Potem – wciąż i wciąż puste morze, aż do samej krawędzi ściany, aż do końca mapy – tam właśnie był Selidor, a dalej już nic.

Arren wyraźnie przypominał sobie jego zakrzywione kontury, z wielką zatoką, która otwierała się wąskim ujściem na wschód. Nie dopłynęli teraz tak daleko na północ, lecz skierowali się prosto na głęboką zatokę wcinającą się w południowy cypel wyspy. Tam przed świtem przybili do lądu.

Ged wspiał się na niską wydmnę porośniętą trawą. Jej grzbiet wychylał się nad stromym zboczem, wsparty splecionymi w gzymsy mocnymi korzeniami trawy. Gdy dotarł do szczytu, stanął nieruchomo, spoglądając na zachód i północ. Arren zatrzymał się przy łodzi żeby założyć buty, których nie miał na nogach już od wielu dni. Wyjął miecz ze skrzyni i przypasał go, tym razem nie mając wątpliwości co do tego, czy ma to uczynić, czy też nie. Później wspiał się na wydmnę i stanął obok Geda, aby przyjrzeć się wyspie.

Niskie i porośnięte trawą wydmy ciągnęły się na jakieś pół mili w głąb lądu. Dalej były laguny zarośnięte turzycą i trzcinami, a za nimi – tak daleko, jak sięgał wzrok – leżały żółto-brunatne puste wzgórza. Piękny i dziki był Selidor. Nigdzie nie znać śladu człowieka, jego pracy czy siedzib. Nie widać było żadnych zwierząt; po zarośniętych trzciną jeziorach nie pływały stada mew, gęsi czy jakichkolwiek ptaków.

Zeszli po wewnętrznym stoku wydmy. Piaszczyste zbocze odcięło ich od grzmotu fal i świstu wiatru – nastąpiła cisza.

Pomiędzy wydmną zewnętrzną a następną znajdowała się kotlinka czystego piasku, osłonięta ze wszystkich stron. Poranne słońce lśniło ciepło na jej zachodnim zboczu – Lebannen – powiedział mag. Teraz używał już prawdziwego imienia Arrena. – Nie mogłem spać ostatniej nocy i teraz muszę się przespać. Pozostań ze mną i czuwaj.

Ułożył się w słońcu – gdyż w cieniu był chłód – położył rękę na oczach, westchnął i zasnął. Arren usiadł obok niego. Nie widział nic, oprócz białych zboczy kotliny, prócz trawy kołyszającej się na tle zamglonego błękitu nieba. Do jego uszu dochodził tylko stłumiony pomruk przybrzeżnych fal i delikatny szelest drobin piasku porywanego co gwałtowniejszym podmuchem wiatru.

Nagle Arren zauważył ptaka, który mógł być lecącym bardzo wysoko orłem. Lecz nie był to orzeł. Ptaszysko zatoczyło koło, zniżyło lot i runęło w dół z łopotem i przeraźliwym świstem rozpostartych, złotych skrzydeł. Przysiadło na szczycie wydmy. Jego wielka czarna głowa mieniła się w słońcu ognistymi błyskami.

Smok spętał w dół zbocza.

– Agni, Lebannen – przemówił do chłopca stając między nim a Gedom. Arren odpowiedział:

– Ormie Embar. – I ujął w rękę nagi miecz, który nie wydawał się teraz ciężki. Gładka, wysłużona rękojeść leżała wygodnie w dłoni. Pasowała do niej. Ostrze wysunęło się z pochwy lekko i ochoczo. Jego moc i wiek były przy nim, gdyż wiedział już jak go używać, aby osiągnąć cel, do którego został powołany. To był jego miecz.

Smok znowu przemówił, lecz Arren nie mógł go zrozumieć. Obejrzał się na śpiącego towarzysza, którego nie obudził cały ten zgiełk i grzmot, i rzekł do smoka:

– Mój pan jest zmęczony, śpi.

Wówczas Orni Embar spełził na dół i zwinął się na dnie kotliny. Na ziemi zdawał się być ociężały, nie tak gibki i swobodny jak wtedy, kiedy unosił się w powietrzu. W powolnym ruchu szponiastych łap i w wygięciu pokrytego kolcami ogona był jednak jakiś złowróżbny wdzięk. Stwór podciągnął pod siebie łapy, uniósł głowę i zamarł w bezruchu. Wyglądał teraz jak rzeźba na hełmie wojownika.

Arren czuł na sobie spojrzenie jego żółtych oczu, potwór znajdował się nie dalej niż dziesięć stóp od niego. Wokół unosił się lekki swąd spalenizny. To nie był zgniły fetor. Suchy i metaliczny zapach harmonizował z delikatną wonią morza i słonego piasku – czystą i dziką.

Promienie wschodzącego słońca załamały się na bokach Orma Embar i smok cały zapłonął jakby był odlany z żelaza i złota.

Ged wciąż spał, odprężony, świadom obecności smoka nie bardziej, niż śpiący farmer jest świadom obecności swego pana. – -

Tak minęła godzina i Arren drgnął zaskoczony, gdy mag usiadł obok niego.

– Czy już tak przyzwyczyłeś się do smoków, że zasypiasz między ich łapami? – powiedział Ged, roześmiał się i ziewnął. Potem, powstawszy, przemówił do Orma Embar w języku smoków. Orni Embar również ziewnął zanim odpowiedział – może z senności, a może by nie pozostawać dłużnym. Był to widok dany tylko nielicznym, którzy przeżyli, aby móc go zapamiętać: rzędy żółtobiałych zębów tak długich i ostrych jak miecze, ognisty rozwidlony język dwukrotnej długości ludzkiego ciała i bezdena jama gardzieli.

Orm Embar przemówił i Ged chciał mu właśnie odpowiedzieć, gdy obaj odwrócili się, aby spojrzeć na Arrena. Usłyszeli bowiem, wyraźny w ciszy, głuchy szept stali w pochwie. Arren spoglądał na krawędź wydmy za głową maga i trzymał w ręku gotowy do użycia miecz.

Stał tam mężczyzna, jasno oświetlony słońcem, w szatach trzepoczących na lekkim wietrze. Stał nieruchomo jak posąg. Kaptur i skraj lekkiego płaszcza nieznacznie powiewał. Długie i czarne włosy opadały masą lśniących loków. Był szeroki w ramionach i wysoki; silny, urodziwy mężczyzna. Jego oczy zdawały się patrzeć przez nich na morze. Uśmiechał się.

– Ciebie znam, Ormie Embar – powiedział. I ciebie też znam chociaż postarzałeś się bardzo od czasu, kiedy widziałem cię po raz ostatni, Krogulcze. Powiedzieli mi, że jesteś teraz Arcymagiem. Wraz z wiekiem urosłeś w siłę. Towarzyszy ci młody sługa – niewątpliwie uczeń w magicznym rzemiośle, jeden z tych, którzy chłoną mądrość na Wyspie Wtajemniczonych. Cóż wy dwaj robicie tutaj, tak daleko od Roke i jej niepokonanych murów, chroniących mistrzów przed wszelkim niebezpieczeństwem?

– Powstał wyłom w murach potężniejszych, niż tamte – odparł cicho Ged, zaciskając obie dłonie na swej lasce i spoglądając w górę na mężczyznę. – Lecz czy nie przybędziesz w ciele tak, abyśmy mogli powitać tego, którego tak długo czekaliśmy?

– W ciele? – powtórzył mężczyzna i znowu się uśmiechnął. – Czy zwykłe ciało, powłoka cielesna,

różne mięso, ma jakieś znaczenie pomiędzy dwoma magami? Nie, niech spotkają się nasze umysły, Arcymagu.

– Tego, jak sądzę, nie możemy uczynić. – Chłopcze, schowaj swój miecz. To tylko przesłany obraz, zjawą, a nie prawdziwy człowiek. Równie dobrze można ciąć ostrzem wiatr. W Havnor, gdy twoje włosy były białe, nazywano się Cob. Lecz to było tylko imię powszednie. Jak mamy cię nazywać, kiedy cię spotkamy?

– Będziecie nazywać mnie Panem – powiedziała wysoka postać na krawędzi wydmy.

– Dobrze, i jak jeszcze?

– Królem i Mistrzem.

Słyszając to Orm Embar wydał z siebie głośny, odrażający syk, a jego wielkie oczy zabłyśły. Odwrócił głowę od mężczyzny i kuląc się przysiadł na własnych śladach, jakby nie mógł się poruszyć.

– A gdzie się spotkamy i kiedy?

– W moim królestwie, kiedy tego zechcę.

– Dobrze – powiedział Ged i unosząc swoją łaskę, przechylił ją nieznacznie w stronę wysokiego mężczyzny – obcy zniknął, jak zdmuchnięty płomień świecy.

Arren wytrzeszczył oczy. Ze szczękiem łusek smok uniósł się na swych czterech mocarnych zakrzywionych łapach i wywinął wargi, ukazując zęby. Lecz mag oparł się znowu na swej łasce.

– To było tylko przesłanie. Obraz czy też wizerunek człowieka. Może mówić i słyszeć, lecz nie ma w nim mocy, prócz tej, którą nadaje mu nasz strach. Wizerunek nie musi odpowiadać prawdzie, jeśli ten, kto go wysłał, tego sobie życzy. Przypuszczam, że wcale nie wygląda tak, jak go widzieliśmy.

– Jak myślisz, czy jest daleko od nas?

– Wizerunki nie mogą być przekazywane przez wodę. Z pewnością jest na Selidorze. Lecz Selidor to wielka wyspa szersza niż Roke czy Gont i prawie tak długa jak Enlad. Możemy szukać go długo.

Wówczas odezwał się smok. Wysłuchawszy go, Ged odwrócił się do Arrena.

– Oto, co powiedział Władca Selidoru: "Powróciłem do mej krainy i nie opuszczę jej. Znajdę Niszczyciela i zaprowadzę cię do niego, abyśmy mogli z nim skończyć". A czyż nie mówiłem, że smok zawsze znajduje to, czego szuka?

Po czym Ged ukląkł na jedno kolano przed ogromnym stworzeniem, jak wasał przed królem, i podziękował mu w jego własnym języku. Oddech smoka owiał żarem jego pochyloną głowę.

Orm Embar wciągnął z powrotem swoje ciężkie, pokryte łuskami cielsko na szczyt wydmy, uderzył skrzydłami i skoczył w powietrze.

Ged strzepnął piasek z ubrania i zwrócił się do chłopca: – Teraz widziałeś mnie klęczącego. Być może jeszcze raz zobaczysz jak klęczę, zanim to wszystko się skończy.

Arren nie zapytał, co mag chciał przez to powiedzieć. Przebywając z nim tak długo, nauczył się, że był on powściągliwy nie bez powodu. A jednak potraktował te słowa jako złą wróżbę.

Jeszcze raz wydmami wrócili na plażę, aby upewnić się, czy łodzi nie dosięgnie przyływ. Zabrali z niej płaszcze dla ochrony przed zimnem i tę resztę żywności, jaka im jeszcze pozostała. Ged zatrzymał się na chwilę przy smukłym dziobie, który niósł go przez obce morza tak daleko. Położył na nim rękę, lecz nie rzucił czarą i nie odezwał się słowem. Potem ponownie ruszyli w głąb łądu, na północ w stronę wzgórz.

Maszerowali cały dzień, a wieczorem rozbili obóz przy strumieniu wijącym się w dół ku zarośniętym trzcinami jeziorom i moczarom. Chociaż była pełnia lata, wiał zimny wiatr, ciągnący od zachodu, od nieskończonych połaci otwartego morza, gdzie nie było już żadnego lądu. Niebo zasnuł woal mgły i ani jedna gwiazda nie lśniła nad wzgórzami, na których nigdy dotąd nie zamigotało oświetlone okno ani ognisko.

Arren przebudził się w ciemności. Ich maleńkie ognisko zgasło, lecz księżyc zawieszony na zachodzie zalewał wyspę szarym, zamglonym światłem. W dolinie, którą płynął strumień, i na sąsiadującym z nią zboczu wzgórza stał wielki tłum ludzi. Wszyscy byli nieruchomi, pogrążeni w milczeniu, z twarzami zwróconymi w stronę Geda i Arrena. Ich oczy nie odbijały światła księżyca.

Arren nie śmiał się odezwać, lecz położył rękę na ramieniu Geda. Mag poruszył się i usiadł, pytając:

– Co się stało? – podążył wzrokiem za spojrzeniem Arrena i zobaczył milczących ludzi – mężczyzn i kobiety, odzianych w ciemne szaty.

W mdłym świetle trudno było dostrzec rysy twarzy, lecz chłopcu wydawało się, że pomiędzy tymi, którzy stali najbliżej nich, w dolinie po drugiej stronie wąskiego strumyka, byli i tacy, których znał, których imion nie mógł sobie przypomnieć.

Ged powstał, płaszcz zsunął mu się z ramion. Twarz, włosy i koszula lśniły bladym srebrnym blaskiem jakby światło księżyca skupiło się na magu. Wyciągnął ręce w szerokim geście i powiedział głośno:

– O wy, którzy żyliście, odejdźcie wolni! Zrywam więzy, które was pętają: Anvassa mane harw pennodathe!

Tłum milczących ludzi przez chwilę stał nieruchomo. Potem wszyscy odwrócili się powoli – zdawało się, że odchodzą w szarą ciemność. Zniknęli.

Ged usiadł. Odetchnął głęboko. Spojrzał na Arrena i położył rękę na jego ramieniu, ciepłe dotknięcie dodawało otuchy.

– Nie ma się czego bać, Lebannen – powiedział łagodnie lecz z lekką kpina. – To byli tylko umarli. Arren skinął głową, chociaż zęby mu szczękały i czuł chłód przenikający do szpiku kości.

– Jak... – zaczął, lecz szczęki i wargi nie były mu posłuszne.

Jednak Ged go zrozumiał.

– Przybyli na jego wezwanie. To jest właśnie to, co im obiecał: wieczne życie. Na jego wezwanie muszą wejść na wzgórze bytu, chociaż nie mogą poruszyć nawet źdźbła trawy.

– Czy on... czy zatem on też nie żyje?

Ged potrząsnął głową w zamyśleniu. – Zmarły nie może z powrotem przywołać zmarłych do świata żywych. Nie, on posiada moc żywego człowieka, a nawet jeszcze większą... Ale oszukał tych, którzy podążyli za nim. Swą moc zachowuje tylko dla siebie. Bawi się w Króla Zmarłych. Nie tylko zmarłych... Ale tu były tylko cienie.

– Nie wiem, dlaczego się ich bałem – wyznał Arren ze wstydem.

– Bałeś się ich, ponieważ boisz się śmierci. To normalne. Śmierć jest straszna i trzeba się jej bać – powiedział mag. Dołożył drewna do ogniska i dmuchnął na węgielki żarzące się pod popiołem. Maleńki płomyk zakwitł na gałązkach krzewów i Arren przyjął to światło z wdzięcznością.

– Życie też jest straszne – podjął Ged – i trzeba się go bać i sławić zarazem.

Siedzieli wyprostowani, szczelnie otuleni płaszczami. Milczeli chwilę. Potem Arcymag z

niezwykłą powagą w głosie, powiedział:

– Lebannen, nie wiem jak długo możemy być tutaj zwodzeni przez wizerunki i cienie. Lecz domyślasz się, dokąd on w końcu uniknie.

– Do ciemnej krainy.

– Tak, pomiędzy nich.

– Widziałem ich. Pójdę z tobą.

– Aż tak wierzysz we mnie? Możesz zaufać mej miłości, lecz nie mocy. Sądzę, że trafiłem na równego sobie.

– Pójdę z tobą.

– Lecz jeśli zostanę pokonany i stracę moc lub życie, nie będę mógł wyprowadzić ciebie z powrotem, a ty sam nie będziesz umiał wrócić.

– Wrócę z tobą.

Wówczas Ged powiedział:

– Wchodzisz w wiek męski wrotami śmierci. – A potem bardzo cicho powtórzył słowo lub imię, którym smok dwukrotnie nazwał Arrena – Agni Agni Lebannen.

Nie rozmawiali już więcej. Wkrótce ogarnął ich znowu sen i ułożyli się przy małym dopalającym się ogniu.

Rano ruszyli dalej, kierując się na północny zachód. Była to decyzja Arrena a nie Geda, który powiedział: – Prowadź chłopcze, dla mnie wszystkie drogi są jednakowe.

Nie spieszyli się, gdyż nie znali celu wędrówki. Czekali na jakiś znak od Orma Embar. Szli wzdłuż, wciąż mając ocean w zasięgu wzroku. Trawa miotana nieustannymi podmuchami wiatru była sucha i niska. Z prawej wznosiły się samotne złote wzgórza, z lewej leżały słone moczary i bezmiar zachodniego oceanu. Tylko raz widzieli łabędzie, lecące bardzo daleko na południu. Przez cały dzień nie widzieli żadnego innego żywego stworzenia. W duszy Arrena narastał nękający lęk; oczekiwał najgorszego.

Ogarniało go zniecierpliwienie i tępy gniew. W końcu, po długim milczeniu, wyrzucił z siebie: – Ta wyspa jest tak samo martwa, jak kraina śmierci!

– Nie mów tak – rzekł ostro mag. Po kilku krokach, zmienionym głosem, powiedział: – Spójrz na tę ziemię, rozejrzyj się wokół siebie. To twoje królestwo, królestwo życia. W tym zawiera się twoja nieśmiertelność. Spójrz na te wzgórza, śmiertelne wzgórza. Nie będą trwałe wiecznie. Wzgórza, które porasta żywa trawa, przecinają strumienie szemrzącej wody... Na całym świecie, na wszystkich światach, w bezmiarze czasu nie ma czegoś takiego jak strumienie tryskające chłodną wodą z wnętrza ziemi, gdzie nie dojrzy ich żadne oko. Strumienie płynące w słońcu i ciemności do morza. Głębokie są źródła istnienia, głębsze niż życie, głębsze niż śmierć... Przerwał. Kiedy spoglądał na Arrena i na zalane słońcem wzgórza, z jego oczu wyzierała niema, bolesna miłość. Arren dojrzał ją, i wtedy po raz pierwszy zobaczył maga takim, jakim był naprawdę.

– Nie umiem wyrazić tego, co myślę – powiedział Ged z nieszczęśliwą miną. Lecz Arren pomyślał o chwili na Dziedzińcu Fontanny i o mężczyźnie, który klęczał przy szemrzącym pióropuszu wody. Wypełniła go radość tak czysta, jak ta przywołana w pamięci woda. Spojrzał na swego towarzysza i powiedział:

– Pokochałem to, co jest godne miłości. To właśnie jest tym królestwem i nieśmiertelnym źródłem, czyż nie?

– Tak, chłopcze – odparł Ged łagodnie i z bólem.

Szli dalej w milczeniu. Jednakże Arren patrzył teraz na świat oczyma swego towarzysza i widział przepych, jaki roztaczała wokół nich ta milcząca, samotna kraina – kraina, która siłą czaru przewyższała wszystkie inne – każdym źdźbłem pochylonej przez wiatr trawy, każdym cieniem, każdym kamieniem. Arren był jak ktoś, kto przed podróżą bez powrotu zatrzymuje się po raz ostatni w ukochanym miejscu i widzi wszystko w całej pełni – rzeczywiście i drogie swemu sercu – nie widział tego nigdy przedtem, i nigdy później już nie zobaczy.

Kiedy nadszedł wieczór, zwarte szeregi chmur nadciągały od zachodu, gnane silnym wiatrem od morza. Zapłonęły ogniście w słońcu.

Arren w dolinie między wzgórzami zbierał gałązki krzewów na ognisko. Gdy w pewnym momencie uniósł wzrok, zobaczył w czerwonym świetle mężczyznę, stojącego nie dalej niż dziesięć stóp od niego. Twarz była niewyraźna – jednak Arren poznał nieżyjącego już Farbiarza Lorbanery, Sopli.

Za nim stali inni, wszyscy ze smutnymi, zwróconymi ku chłopcu twarzami. Zdawali się coś mówić, lecz Arren nie mógł uchwycić słów, tylko coś w rodzaju szeptu zduszonego podmuchami zachodniego wiatru. Kilku zaczęło się z wolna zbliżać do niego.

Młodzieniec stał i spoglądał na nich, a potem przeniósł wzrok na Sopli'ego. Po chwili odwrócił się plecami i chociaż ręce mu się trzęsły podniósł z ziemi jeszcze jedną suchą gałązkę. Dorzucił ją do już zebranych, podniósł inną i jeszcze jedną. Potem wyprostował się i spojrział do tyłu. W dolinie nie było nikogo, tylko trawa płonęła w czerwonym świetle. Powrócił do Geda, złożył ładunek chrustu, lecz nie wspomniał ani słowem o tym, co widział.

Przez całą noc, w mglistej ciemności tej krainy, której nie zamieszkiwały żadne żywe dusze, chłopiec budził się z niespokojnego snu i słyszał wokół siebie szept dusz zmarłych. Lecz jego wola była silna. Zamykał uszy przed tymi głosami i znowu zasypiał.

Obudzili się późno, kiedy słońce na wysokości ręki, wzniosło się nad wzgórzami i rozjaśniło zimną krainę, wydobywszy się wreszcie z mgły. Gdy jedli swoje skąpe śniadanie, nadleciał smok, zataczając nad nimi koło. Ogień wydobywał się ze smoczej paszczy, a czerwone nozdrza buchały dymem i iskrami. W niesamowitym blasku jego zęby jaśniały jak ostrza z kości słoniowej. Milczał, chociaż Ged zawołał w jego języku: – Czy znalazłeś go, Ormie Embar?

Smok odrzucił głowę do tyłu i wygiął dziwnie swe ciało, zagarniając wiatr ostrymi jak brzytwa pazurami. Potem odleciał szybko na zachód, wciąż odwracając się ku nim.

Ged ścisnął laskę i uderzył nią o ziemię.

– Nie może mówić – powiedział. – Nie może mówić! Pozbawiono go słów Tworzenia! Jest teraz niczym więcej jak żmija, niemym robakiem, jego mądrość oniemiała. Jednak może jeszcze prowadzić, a my możemy iść jego śladami!

Zarzuciwszy lekkie tobołki na plecy, ruszyli przez wzgórza na zachód – tam gdzie odleciał Orm Embar.

Przeszli z górą osiem mil, nie zwalniając tempa pierwszych równych i szybkich kroków. Mając morze z obu stron, szli długim wzniesieniem, opadającym przez suche trzciny i kretę koryta strumyków ku piaszczystej plaży koloru kości słoniowej. Na żadnej wyspie nie istniał bardziej na zachód wysunięty przylądek. Był to ostatni brzeg stałego lądu.

Z nisko opuszczoną głową, Orm Embar kulił się na białym piasku, jak gotujący się do skoku kot. Jego oddech co chwila buchał ogniem.

Kilkanaście stóp przed smokiem, pomiędzy jego cielskiem a długimi niskimi falami przyboju, stało coś białego. Przypominało chatę lub szałas, zbudowany ze zbielałego drewna wyrzuconego przez morze. Ale na tym brzegu, oddalonym od wszystkich innych, nie mogło być takiego drewna. Gdy podeszli bliżej, Arren zobaczył, że walące się ściany zostały sklecone z wielkich kości. Początkowo sądził, że to kości wieloryba, a potem spostrzegłszy białe trójkąty o ostrych jak noże krawędziach, zrozumiał, że pochodziły one od smoka.

Podeszli do tej dziwnej chaty. W szczelinach między kośćmi migotało, odbijające się w morzu, słońce. Belkę nad wejściem stanowiła kość udowa dłuższa od człowieka. Na niej stała ludzka czaszka, patrząca pustymi oczodołami na wzgórze Selidoru.

Zatrzymali się, a gdy przyglądali się czaszce, z wejścia pod nią wyszedł mężczyzna. Miał na sobie starożytną zbroję z połączanego brązu, podziurawioną jak od uderzeń topora. Zdobiona klejnotami pochwa jego miecza była pusta. Twarz miał surową, z czarnymi hakami brwi i wąskim nosem, oczy ciemne, przenikliwe i pełne smutku. Rany na jego gardle, ramionach i boku nie krwawiły już, lecz wyglądały na śmiertelne. Nieruchomy i wyprostowany spoglądał na nich.

Ged postąpił krok ku mężczyźnie. Byli do siebie nieco podobni, gdy tak stali twarzą w twarz.

– Tyś jest Erreth-Akbe – powiedział Ged. Mężczyzna przyglądał mu się nieruchomym wzrokiem. Skinął głową, lecz nie odezwał się.

– Nawet ty, nawet ty musisz słuchać jego rozkazów! – gniew dźwięczał w głosie Geda. – O, mój panie, najlepszy i najodważniejszy z nas wszystkich, spoczywaj w czci i śmierci! – Uniósłszy ręce, Ged opuścił je gwałtownie w dół, powtarzając te słowa, które mówił do tłumu zmarłych. Jego dłonie pozostawiły za sobą w powietrzu szeroki, świetlisty ślad. Gdy ten się rozwiął, przybrany w zbroję mężczyzna zniknął i tylko słońce błyszczało oślepiająco na piasku, gdzie przedtem stał.

Ged uderzył laską w chatę z kości, a ona zapadła się i szezła. Nie pozostało po niej nic prócz wielkiego żebra, wystającego z piasku.

Odwrócił się do Orma Embar. – Czy to tutaj, Ormie Embar? Czy tu jest to miejsce?

Smok otworzył paszczę, z której wydobył się przenikliwy przerywany syk.

– Tu, na ostatniej plaży świata. Zatem niech się stanie! Trzymając czarną cisową laskę w lewej ręce, Ged rozwarł ramiona w geście wezwania i przemówił. Chociaż mówił w Języku Tworzenia, Arren wreszcie zrozumiał go tak jak wszyscy, którzy słysząc inwokację muszą ją zrozumieć, bowiem zawarta w niej moc przewyższa wszystko.

– Teraz i tutaj wzywam ciebie, mój wrogu, przed moje oczy. Przybądź obleczony w ciało. Rozkazuję tobie słowem, które nie będzie wypowiedziane aż do kresu czasu, przybądź!

W miejscu, w którym powinien wypowiedzieć imię tego, kogo wzywa, Ged powiedział tylko: Mój wrogu.

Wokół zalegała cisza, jakby szum morza gdzieś przepadł. Arren miał wrażenie, że słońce zamgliło się i przygasło, chociaż wciąż stało wysoko na czystym niebie. Ciemność ogarnęła plażę. Patrzyło się na nią jak przez zadymione szkło. Naprzeciw Geda mrok zgęstniał tak bardzo, że trudno było dostrzec co się tam znajduje. Zdawało się, że nie pada tam żaden promyk światła, że nie ma niczego oprócz bezkształtnej nicości.

To stamtąd właśnie niespodziewanie, ktoś wyszedł. Był to ten sam mężczyzna, którego widzieli na wydmie -czarnowłosa, o długich ramionach, gibki i wysoki. Trzymał teraz w ręku długi stalowy pręt lub brzeszczot, pokryty na całej długości runami. Pochylił go w stronę Geda, gdy tylko przed nim stanął. Oczy mężczyzny były dziwne – jak gdyby nie widziały, oślepione przez słońce.

– Przybyłem – powiedział – z własnej woli, moją drogą. Nie możesz mnie wezwać, Arcymagu. Nie jestem cieniem. Żyję. I tylko ja żyję! Sądziś, że i ty żyjesz? Ty umierasz, umierasz! Czy wiesz, co trzymam w ręku? To laska Szarego Maga, Mistrza mej sztuki, tego, który na zawsze uciszył Neregera. Lecz teraz ja jestem Mistrzem. I dość już mam zabawy z tobą! – Mówiąc to, niespodziewanie wyciągnął przed siebie stalowy brzeszczot, aby dotknąć nim Geda, stojącego tak, jak gdyby nie mógł ani drgnąć, ani się odezwać. Krok za nim Arren ze wszystkich sił chciał się poruszyć, lecz nie mógł, nie mógł nawet położyć ręki na rękojeści miecza, a głos uwiązał mu w gardle.

Nagle ponad głowami Geda i Arrena przeleciało ogromne ciało smoka gorejąc ogniem, jednym niewiarygodnym skokiem z całym impetem spadło na obcego, tak, że zaczarowane stalowe ostrze weszło na całą długość w opancerzoną pierś smoka. Mężczyzna legł przywalony jego ciężarem, zmiażdżony i spalony.

Unosząc się znad piasku, wyginając grzbiet i uderzając łopoczącymi skrzydłami, Orm Embar rzygnał kłębami ognia i zawył. Próbował wzlecieć, lecz już nie mógł. Zimny i śmiertelny metal tkwił w jego sercu. Skulił się, a z paszczy chlusnęła dymiąc, czarna i trująca krew. Ognie zamarły w nozdrzach, aż stały się one podobne do jam wypełnionych popiołem.

Tak zginął Orm Embar, w miejscu, gdzie niegdyś poległ jego przodek – zginął na kościach Orma pogrzebanych w piasku.

Lecz tam, gdzie stwór przygniótł swego wroga do ziemi, leżało coś ohydneho i pomarszczonego, niby ciało wielkiego pająka zaszuszonego w swej sieci. Było to spalone oddechem smoka i zmiażdżone pazurami jego łapy. Jednak, gdy Arren na nie spojrział, poruszyło się. Odpełzło kawałek od umierającego smoka.

I oto z ziemi uniosła się ku nim twarz. Nie pozostał na niej żaden ślad urody, tylko spustoszenie starości, która przeżyła zwykłą ludzką starość. Usta były wyschnięte, oczodoły puste – puste już od dawna. Tak Ged i Arren ujrzeli w końcu żywą twarz swego wroga.

Odwrócił się. Spalone, szerniałe ramiona rozwarły się i pomiędzy nimi zaczęła gromadzić się ciemność – ta sama bezkształtna ciemność, która wzdymała się i gasiła światło słońca. Pomiedzy ramionami Niszczyciela utworzył się jakby łuk bramy lub wrót, lecz zamazany i pozbawiony wyraźnych konturów. Nie było widać przez nie ani jasnego piasku, ani oceanu, tylko długie mroczne zbocze opadające w ciemność. Tam to skierowała się zmiażdżona postać. Gdy wpełzła w mrok, wydawało się, że się nagle podniosła, ruszyła szybciej i zniknęła.

– Chodź, Lebannen – powiedział Ged, kładąc prawą rękę na ramieniu chłopca. I obaj wkroczyli do Suchoj Krainy.

12. SUCHA KRAINA

Cisowa laska w ręku maga lśniła srebrzystym blaskiem w coraz głębszej, posępnej ciemności. Oczy Arrena przykuło jednak coś innego – migotanie światła na ostrzu obnażonego miecza, który dzierżył w dłoni. Gdy atak i śmierć smoka złamały związujący czar – tam, na plaży Selidoru – Arren dobył broni. Tutaj – choć był tylko cieniem, jednakże żywym – mocno dzierżył cień swego miecza.

Nigdzie dookoła nie było widać innego blasku. Zdawało się, że to późny zmierzch pod listopadowym niebem, zasnutym chmurami. Wszędzie unosiły się ponure, zimne i mętne opary – wzrok przenikał, lecz ani wyraźnie, ani daleko, Arren znał owo miejsce. To były wrzosowiska i pustkowia z jego snów. Wydawał się być dalej, niepomiernie dalej, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się być we śnie. Niczego nie mógł dostrzec wyraźnie z wyjątkiem tego, że wraz ze swym towarzyszem stoją na zboczu wzgórza, a przed nimi ciągnie się niski kamienny mur, ciągnący się nie wyżej niż do kolan.

Ged wciąż trzymał prawą rękę na ramieniu Arrena. Teraz ruszył naprzód, a chłopiec wraz z nim; razem przekroczyli kamienny mur.

Bezkształtne długie zbocze rozciągało się przed nimi, opadając w ciemność.

Tam, w górze, gdzie Arren spodziewał się zobaczyć ciężką powłokę chmur, widać było czarne niebo usiane gwiazdami. Spojrzał na nie i poczuł jak serce kurczy się i ziębnie. Takich gwiazd nigdy nie widział. Świeciły martwo, bez ruchu, bez gry blasków i migotań. To były gwiazdy, które nigdy nie wschodziły ani nie zachodziły, których nigdy nie przesłoniły chmury ani nie przyćmił blask wschodzącego słońca. Nieruchome i małe błyszcząły nad Suchą Krainą.

Ged zaczął schodzić długim zboczem Wzgórza Bytu, a Arren postępował za nim krok w krok. Był przerażony, a jednak tak zdecydowane było jego serce i tak zawzięta wola, że strach nie zawładnął nim, nawet nie był go całkiem świadom. Czuł tylko jakby głęboko coś w nim rozpaczało, niczym zwierzę uwięzione i skute łańcuchami.

Chłopcu wydawało się, że już bardzo długo schodzą zboczem. Być może jednak szli krótko – bo w tej krainie czas nie płynął, nie wiał wiatr, a gwiazdy się nie poruszały. W końcu wkroczyli w ulice jednego z miast. Arren zobaczył domy o oknach zawsze ciemnych, ujrzał zmarłych o spokojnych twarzach i pustych dłoniach, stojących na progach domów.

Wszystkie rynki były puste. Nikt nie kupował i nikt nie sprzedawał, nikt nie zyskiwał i nikt nie tracił. Niczego nie używano, niczego nie robiono.

Przybysze szli wąskimi ulicami, samotni – choć kilka razy dostrzegli jakieś postacie na zakrętach innych ulic – odległe i niewyraźne w mroku. Na widok pierwszej z nich Arren drgnął i uniósł miecz, lecz Ged potrząsnął tylko głową i poszedł dalej. Chłopiec rozpoznał w niewyraźnej postaci kobietę, która szła powoli, nie próbując nawet przed nimi uciec.

Wszyscy ci, których widzieli – a było ich niewielu, bo choć zmarłych jest dużo, to kraina rozległa – stali nieruchomo lub poruszali się powoli, bez celu. Żaden z nich nie miał ran takich, jak zjawa Erretha-Akbe przywołana w światło dnia, w miejscu jego śmierci. Nie nosili śladów choroby. Byli cali i uleczeni. Uleczeni z cierpienia i życia. Nie byli tak odrażający, jak obawiał się tego Arren, ani tak przerażający, jak sądził. Ich twarze były spokojne, wolne od gniewu i żądy, a w pozbawionych blasku oczach nie było nadziei.

Czuł jak, zamiast strachu rośnie w nim wielkie współczucie dla zmarłych. A jeśli nawet tajemnym źródłem tego uczucia był lęk – to nie o siebie samego, lecz o nich wszystkich. Widział matkę i

dziecko, którzy razem zmarli, i teraz razem przebywali w ciemnej krainie. Ale dziecko nie biegało, ani nie płakało, a matka nie tuliła jego, ani nawet nie spoglądała na nie. Wszyscy ci, którzy stracili życie z miłości, na ulicach mijali się obojętnie. Koło garncarza było nieruchome, warsztat tkacki stał pusty, a piec zimny. Nikt tu nigdy nie śpiewał.

Ciemne ulice pomiędzy czarnymi domami, ciągnęły się i ciągnęły, a oni przemierzali je niestrudzenie. Słysząc było tylko odgłos ich kroków. Było zimno, czego Arren początkowo nie odczuwał, lecz ono wpełzło w jego duszę, będącą tutaj również jego ciałem. Czuł wielkie zmęczenie. Musieli przebyć już długą drogę. Dlaczego idą dalej? – Pomyślał i zwolnił nieco kroku.

Ged zatrzymał się nagle zwracając twarz ku mężczyźnie, który stał na skrzyżowaniu ulic. Był smukły i wysoki. Arren pomyślał, że gdzieś już widział tę twarz, lecz nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Ged przemówił do mężczyzny w zupełnej ciszy, przekroczyli już bowiem kamienny mur.

– O Thorionie, mój przyjacielu, skąd się tutaj wzięłeś? – i wyciągnął ręce do Herolda z Roke.

Thorion nie odpowiedział żadnym gestem. Stał bez ruchu z twarzą jak maska – jednak srebrzyste światło płynące z laski Geda wnikało głęboko w przesłonięte cieniem oczy Thoriona, zapalając w nich ledwo widoczny płomyk, a może na powrót wzniecając ich nie wygasłe jeszcze lśnienie.

Arcymag ujął dłoń przyjaciela, choć ten nie wyciągnął jej na powitanie i powtórzył:

Co tu robisz Thorionie? Ty jeszcze nie należysz do te a o królestwa. Wracaj!

– Szedłem za nieśmiertelnym. Zgubiłem drogę. – Głos Herolda był cichy i głuchy, jak głos człowieka mówiącego przez sen.

– Idź w górę, do muru – odparł Ged wskazując długą ciemną ulicę, którą przybyli z Arrenem. Przez twarz

Thoriona przebiegło drżenie, jakby przeszła go nadzieja, tak samo nie do zniesienia jak goły miecz.

Nie mogę znaleźć drogi – poskarżył się. – Mój panie, nie mogę znaleźć drogi.

– Być może znajdziesz – odparł Ged, objął Arrena i ruszył dalej. Thorion pozostał za nimi, stojąc bez ruchu na skrzyżowaniu.

Gdy tak szli, Arren odniósł wrażenie, że w tym bez-czasowym zmięczeniu nie ma kierunku "naprzód" ani "w tył", nie ma wschodu ani zachodu; nie ma dokąd iść. Czy istnieje jakaś droga, którą można stąd wyjść? Myślał tak, kiedy schodzili ze wzgórza, zawsze w dół, bez względu na to, w którą stronę chcieli iść. W tym ciemnym mieście drogi prowadziły tylko w dół, aby więc wrócić do kamiennego muru na szczycie wzgórza wystarczyło tylko wspiąć się na nie z powrotem. Lecz nie zawracali. Ramię w ramię szli dalej. Czy to Arren podąża za Gedem? Czy też go prowadzi?

Wyszli z miasta. Kraina zmarłych była pusta. Żadne drzewo, źdźbło trawy, czy choćby ciernisty krzew nie rósł na jej kamienistym gruncie pod nieruchomymi gwiazdami. Nie było tu horyzontu, gdyż wzrok nie przenikał głębin mroku. Dopiero później otworzył się przed nimi wielki szmat nieba pozbawiony małych nieruchomych gwiazd – i ta bezgwiazdna przestrzeń podobna była do wystrzępionego, stromego łańcucha górskiego. W miarę jak szli, kontury stawały się coraz wyraźniejsze. Widzieli wysokie szczyty, których nigdy nie tknął podmuch wiatru, ani nie zmoczył deszcz. Nie pokrywał ich także śnieg, w którym mogłoby odbijać się światło gwiazd. Były czarne. Ich widok porażał serce Arrena. Starał się odwracać od nich oczy. Ale je znał, rozpoznawał je, wciąż wracał do nich wzrokiem. Za każdym razem, kiedy spoglądał na te szczyty, czuł zimny ucisk w piersi i odwaga opuszczała go. Wciąż jednak szedł dalej, wciąż w dół, gdyż grunt opadał ku podnóżu górskiego łańcucha. W końcu odezwał się:

– Mój panie, co to... – I wskazał na góry, gdyż nie mógł mówić dalej, tak zaschło mu w gardle.

– To granica krainy światła – odparł Ged. – Tak jak kamienny mur. Nie mają innej nazwy, jak po prostu ból. Prowadzi przez nie droga. Droga zamknięta dla zmarłych. Nie jest długa, lecz okrutna.

– Chce mi się pić – poskarżył się chłopiec, a jego towarzysz odparł – Oni piją tu pył.

Szli dalej.

Arrenowi wydawało się, że Ged zwolnił nieco kroku, że czasami się waha. Sam jednak miał już pewność, choć zmęczenie wcale nie przestało w nim narastać. Muszą iść w dół, muszą iść dalej. I szli dalej.

Czasami przechodzili przez inne miasta zmarłych, gdzie ciemne dachy, kanciastymi kształtami odcinały światło gwiazd, tkwiących nad nimi zawsze w tych samych miejscach. Za miastami znów rozciągała się pusta ziemia, na której nic nie rośło. Opuszczane przez nich miasta natychmiast ginęły w mroku. Wokół nie było nic widać – tylko wznoszące się przed nimi góry stawały się coraz wyższe. Po ich prawej ręce bezkształtne zbocze wciąż opadało w dół – od jak dawna – czy od chwili kiedy przekroczyli kamienny mur?

– Dokąd prowadzi tamta droga? – zapytał szeptem Arren, spragniony brzmienia ludzkiego głosu, lecz mag potrząsnął głową – Nie wiem. To może być droga bez końca.

Tam, gdzie szli zbocze zdawało się być coraz mniej pochyłe. Ziemia skrzypiała pod stopami jak pył wulkaniczny. Wciąż zdążali dalej i teraz Arren nawet nie myślał o powrocie, ani o tym w jaki sposób wrócić. Nie przyszło mu do głowy, aby się zatrzymać, choć był bardzo zmęczony. W pewnej chwili próbował myślnie o domu rozproszyc odrętwiającą ciemność, zmęczenie i przepełniającą go grozę. Nie mógł jednak przypomnieć sobie, jak wygląda światło słońca czy twarz matki. Nie pozostawało nic innego, jak tylko iść dalej. I szedł dalej.

Naraz pod stopami poczuł równy grunt. Idący obok niego Ged zawahał się. Wówczas Arren też stanął. Długie pochyłe zbocze właśnie się skończyło. Nie było dalszej drogi. Nie było potrzeby iść dalej.

Znajdowali się w dolinie, dokładnie u podnóży Gór

Bólu. Pod nogami mieli skały, a wokół leżały krągłe głazy. Były szorstkie niczym żużel, jak gdyby ta wąska dolina była wyschłym łóżyskiem płynącej tu niegdyś rzeki, lub strumieniem dawno wystygłej lawy, spływającej z wulkanów, które wyniosły w górę swe czarne bezlitosne szczyty.

W tej wąskiej czarnej dolinie Arren i Ged stali nieruchomo jak pozbawieni celu zmarli, wpatrujący się w nicość. Z lekkim strachem Arren pomyślał: czyżbyśmy zaszli za daleko. Zdawało się to nie mieć wielkiego znaczenia.

Wyrażając głośno myśli chłopca Ged powiedział:

– Zaszliśmy za daleko, aby wrócić. Mówił cicho, ale otaczająca ich bezmierna ponura pustka nie zdołała całkowicie stłumić brzmienia głosu, które trochę ożywiło Arrena. Czyż nie przyszli tutaj, aby spotkać się z tym kogo szukali?

Jakiś głos w ciemności powiedział:

– Zaszliście za daleko.

– Tylko za daleko może być wystarczająco daleko – odpowiedział mu Arren.

– Doszliście do Suchej Rzeki – odezwał się znowu głos. – Nie możecie wrócić do kamiennego muru. Nie możecie wrócić do życia.

– Nie tą drogą – powiedział Ged w ciemności. Arren z ledwością mógł go dojrzeć, choć stali obok

siebie. Góry, u stóp których się znajdowali, zasłaniały połowę światła gwiazd, tak, że zdawało się, iż koryto Suchej Rzeki jest samą esencją ciemności. – Lecz poznamy twoją drogę.

Nie było odpowiedzi.

– Spotykamy się tutaj jak równy z równym, Cob. Jeśli jesteś ślepy, to zważ, że my również znajdujemy się w ciemności.

Znowu żadnej odpowiedzi.

Nie możemy cię tutaj skrzywdzić. Nie możemy cię zabić. Czego się boisz?

– Nie boję się – odezwał się głos z ciemności. Potem powoli, połyskując blado światłem, pełzającym po lasce Geda, pojawił się mężczyzna. Stał w górze rzeki, w pewnej odległości od nich pomiędzy wielkimi, niewyraźnymi masywami okrągłych głazów. Wysoki, szeroki w ramionach i długoręki. Podobny był do tej postaci, która ukazała się im na plaży i na wydmie Selidoru, lecz dużo starszy. Jego włosy były białe i zmierzwiłone nad wysokim czołem. I tak w królestwie śmierci, ukazał się duch Coba, nie spalony ogniem smoka, nieokaleczony – a przecież ułomny: jego oczodoły były puste.

– Nie boję się – powtórzył. – Czegóż może bać się zmarły? – Roześmiał się. Jego śmiech zabrzmiał tak fałszywie i niesamowicie w tej wąskiej kamiennej dolinie u stóp gór, że Arrenowi przez chwilę zaparło dech w piersiach, lecz tylko mocniej ujął miecz, i słuchał dalej.

– Nie wiem, czego może bać się zmarły. Z pewnością nie śmierci. A jednak myślę, że ty się jej boisz, znalazłeś przecież sposób, aby od niej uciec.

– Znalazłem. Żyję. Moje ciało żyje. – Stwierdził mężczyzna.

– Nie najlepiej – odparł sucho mag. – Czar iluzji może ukryć wiek, lecz Orm Embar niezbyt dobrze obszedł się z twoim ciałem.

– Mogę je uzdrowić. Znam sekrety uzdrawiania i młodości, nie tylko zwykłe zaklęcia iluzyjne. Za kogo mnie bierzesz? Tylko dlatego, że nazwano się Arcymagiem, uważasz mnie za zwykłego wioskowego czarodzieja? Mnie, jedynego ze wszystkich magów, który znalazł Drogę Nieśmiertelności, drogę, której nikt inny nigdy nie odnalazł?

– Może my jej nie szukaliśmy – odparł Ged.

– Szukaliście. Każdy z was. Szukaliście jej i nie mogliście znaleźć. Dlatego mówiliście mądre słowa o pogodzeniu się i o równowadze między życiem i śmiercią. Lecz to były tylko słowa – kłamstwa służące ukryciu waszej porażki i waszego strachu przed śmiercią. Jaki człowiek nie chciałby żyć wiecznie, gdyby mógł? A ja mogę. Jestem nieśmiertelny. Uczyniłem to, czego ty nie zdołałeś uczynić i dlatego jestem twoim mistrzem. Wiesz o tym. Czy chciałbyś wiedzieć, jak tego dokonałem Arcymagu?

– Chciałbym.

Cob zbliżył się o krok. Arren zauważył, że chociaż mężczyzna nie ma oczu, to jednak zachowuje się nie tak, jak prawdziwy ślepiec. Cob bowiem zdawał się dokładnie wiedzieć, gdzie stoi Ged i Arren. Był świadom obecności ich obu, chociaż ani razu nie odwrócił głowy w stronę Arrena. Musiał posiadać jakiś czarodziejski drugi wzrok, zdolność słyszenia i widzenia jaką miewają przesłane obrazy ludzi i wywołane zjawy. Coś co dawało mu świadomość obecności Geda i Arrena, choć nie mógł to być wzrok.

– Byłem na Paln – powiedział do Geda – po tym jak ty w swej dumie myślałeś, że upokorzyłeś mnie i dałeś mi nauczkę. Och rzeczywiście dałeś mi nauczkę, tylko nie taką o jakiej myślałeś!

Powiedziałem sobie wtedy: Widziałem śmierć i nigdy się z nią nie pogodzę. Niech cała głupia natura idzie dalej swoją głupią drogą, lecz ja jestem człowiekiem – lepszym od natury, ponad naturą. Nie pójdę tą drogą, nie przestanę być sobą! Tak postanowiwszy sięgnąłem znów do Wiedzy Pelnish lecz znalazłem tam tylko ślady i cienie tego, czego potrzebowałem. Przekułem to i przetworzyłem – uczyniłem czar – największy czar, jakiego kiedykolwiek dokonano. Największy i ostatni!

– I czyniąc ten czar umarłeś?

– Tak, umarłem. Miałem odwagę umrzeć, odnaleźć to, czego wy, tchórze, nigdy nie mogliście odnaleźć – powrotną drogę ze śmierci do życia. Otwarłem drzwi, drzwi które były zamknięte od początku czasu. Teraz swobodnie przychodzę do tego miejsca i kiedy chcę, wracam do świata żywych. Ja, jedyny spośród wszystkich ludzi wszystkich czasów, jestem Panem Dwóch Krain. Te drzwi, które otworzyłem są otwarte nie tylko tutaj, lecz również w świadomości żywych ludzi. W najgłębszych nienazwanych miejscach ich jestestwa, gdzie wszyscy jesteśmy jednym w ciemności. I ci, którzy żyją, wiedzą o tym i przychodzą do mnie. Zmarli też muszą przychodzić – wszyscy bez wyjątku, gdyż nie utraciłem magii żywych. Kiedy im każę, muszą przekraczać kamienny mur – wszystkie te dusze: panowie, magowie, dumne kobiety. Tam i z powrotem, od życia do śmierci, na mój rozkaz. Wszyscy muszą przychodzić do mnie, żywi i zmarli, do mnie, który umarłem i żyję!

– Gdzie oni do ciebie przychodzą, Cob? Gdzie ty jesteś?

– Pomiędzy światami.

– Lecz to nie jest ani życie, ani śmierć. Co to jest życie, Cob?

– Władza.

– Co to jest miłość?

– Władza – powtórzył z bólem ślepiec, pochylając ramiona.

– Co to jest światło?

– Ciemność!

– Jak masz na imię?

– Nie mam imienia.

– Wszyscy w tej krainie noszą swe prawdziwe imiona.

– Więc powiedz mi swoje!

– Ja mam na imię Ged. A ty?

– Cob – odparł ślepiec po chwili wahania.

– To jest twoje powszednie imię, a nie prawdziwe. Gdzie jest twoje prawdziwe imię? Gdzie jest twoja prawda? Czy pozostawiłeś ją w Paln, tam gdzie zmarłeś? Wiele zapomniałeś, Panie Dwóch Krain. Zapomniałeś światła, miłości i swego własnego imienia.

– Za to mam twoje imię, a wraz z nim władzę nad tobą Gedzie Arcymagu. Gedzie, który byłeś Arcymagiem za życia.

– Moje imię nie przyda ci się na nic – odparł Ged. – Nie masz nade mną żadnej władzy. Ja jestem żywym człowiekiem. Moje ciało leży na plaży Selidoru, pod słońcem, na ziemi która się obraca. Kiedy to ciało umrze, znajdę się tutaj – lecz tylko jako imię – samo imię, jako cień. Czy tego nie rozumiesz? Czy nigdy tego nie rozumiałeś, ty, który przywoływałeś tak wiele cieni zmarłych. Nawet mojego pana, Erretha-Akbe, najmądrszego z nas wszystkich? Czy nie rozumiesz, że on, nawet on, jest tylko cieniem i imieniem? Jego śmierć nie pomniejszyła życia. Nie pomniejszyła też jego samego. On jest tam – tam, nie tutaj. Tu nie ma nic, jedynie pył i cienie. Tam on jest ziemią i słonecznym

światłem, liśćmi na drzewie i lotem orła. Jest żywy. Wszyscy, którzy kiedykolwiek zmarli, żyją. Żyją odrodzeni, bez końca, bo żadnego końca nie będzie. Wszyscy z wyjątkiem ciebie. Bo ty nie przyjąłeś śmierci.

Tracąc śmierć straciłeś życie i po to, aby ratować siebie. Siebie! Swoją nieśmiertelną jaźń. Czym ona jest? Kim ty jesteś?

– Jestem sobą. Moje ciało nie ulegnie rozkładowi, nie umrze...

– Ciało odczuwa ból, Cob. Żywe ciało starzeje się, umiera. Śmierć jest ceną, jaką płacimy za życie, za wszelkie życie.

– Ja jej nie płacę! Mogę umrzeć i w tej samej chwili żyć znowu. Nie mogę zostać zabity. Jestem Nieśmiertelny, ja jeden jestem nieśmiertelny na zawsze!

– Zatem kim jesteś?

– Nieśmiertelnym.

– Powiedz mi swoje imię.

– Król.

– Powiedz swoje imię. Wyjawiłem ci je przed chwilą. Powiedz moje imię!

– Ty nie jesteś rzeczywisty. Nie masz imienia. Tylko ja istnieję.

– Istniejesz, lecz, bez imienia, bez postaci. Nie możesz zobaczyć światła dnia, nie możesz zobaczyć ciemności. Zaprzedałeś zieleni ziemi, słońce i gwiazdy, aby ratować siebie. Ale nie masz jaźni. Wszystko, co zaprzedałeś jest tobą. Oddałeś wszystko za nic. A teraz szukasz sposobu, aby wciągnąć w siebie cały świat, całe to światło i życie, które straciłeś, aby wypełnić nimi swą nicość. Wiedz jednak, że nie można jej wypełnić. Wszystkie pieśni ziemi, wszystkie gwiazdy niebios nie zdołają wypełnić twej pustki.

W lodowatej dolinie u podnóża gór głos Geda dźwięczał jak żelazo, a ślepiec ugiął się pod jego brzmieniem. Po chwili uniósł twarz, na którą padło przyćmione światło gwiazd. Wyglądał tak jakby płakał, lecz nie mógł dobyć łez, nie mając oczu. Jego usta pełne ciemności, otwierały się i zamykały, ale wydobył się z nich tylko jęk. W końcu wypowiedział jedno słowo, z ledwością formułując je wykrzywionymi ustami. Słowo to brzmiało: Życie.

– Dałbym ci życie, gdybym mógł, Cob. Lecz nie mogę. Jesteś martwy. Mogę dać ci jedynie śmierć.

– Nie – krzyknął ślepiec, a potem powtórzył – nie, nie – i skulił się łkając, chociaż jego policzki pozostały suche, jak nurt kamiennej rzeki, w której zamiast wody płynęła sama noc.

– Nie możesz. Nikt nie może mnie uwolnić. Nigdy. Otwarłem drzwi pomiędzy światami i nie mogę ich zamknąć. Nikt nie może. Nigdy nie zostaną zamknięte. One mnie wciągają. Muszę do nich wracać. Muszę je przekraczać i wracać tutaj, do pyłu, zimna i ciszy. One mnie wysysają, lecz nie mogę ich zostawić, nie mogę ich zamknąć. W końcu wyssały całe światło ze świata. Wszystkie wody staną się takie, jak Sucha Rzeka. Żadna moc nie jest w stanie zamknąć drzwi, które ja otworzyłem.

Dziwna była ta mieszanina rozpacz i mściwości, przerażenia i pychy, w jego słowach i głosie.

Ged zapytał tylko – Gdzie one są?

– Tam. Niedaleko. Możesz tam pójść. Ale nic nie będziesz mógł zrobić. Nie uda ci się ich zamknąć. Nawet gdybyś poświęcił na to całą swą moc, to i tak jej nie wystarczy. Nic nie wystarczy.

– Może – odparł Ged. – Ty wybrałeś rozpacz, pamiętaj jednak, że my tego nie uczyniliśmy. Zaprowadź nas tam.

Ślepiec uniósł twarz, na której strach walczył z nienawiścią. Nienawiść zwyciężyła.

– Nie zaprowadzę – powiedział. Wówczas wystąpił naprzód Arren i rzekł:

– Zaprowadzisz.

Ślepiec stał nieruchomo. Słowa zastygły w lodowatej ciszy i gęstych ciemnościach królestwa zmarłych.

– Kim jesteś?

– Mam na imię Lebannen.

– Ty, który nazywasz siebie Królem, nie wiesz kim on jest?! – Zapytał Ged.

Cob znowu znieruchomiał. W końcu odezwał się, z trudem łapiąc oddech: – Przecież nie żyje, obaj nie żyjecie. Nie możecie wrócić. Nie ma stąd wyjścia. Jesteście tu uwięzieni! – Gdy to mówił, migoczące nad nim światło zgasło. I usłyszeli jak odwraca się i z pośpiechem uchodzi przed nimi w ciemność.

– Światła, panie! – krzyknął Arren. Ged uniósł laskę nad głowę, a białe światło rozproszyło odwieczną ciemność, ukazując skały i cienie, a pomiędzy nimi wysoką, pochyloną postać ślepcy idącego w górę rzeki dziwnie pewnym krokiem niewidomego. Za nim podążał Arren z mieczem w rękę, a dalej Ged.

Arren pozostawił w tyle swego towarzysza. Światło stało się niemal niewidoczne, przesłaniane przez głązy i zakręty rzecznej koryta. Odgłos kroków Coby i świadomość jego obecności przed sobą była dla Arrena wystarczającym przewodnikiem. Droga stała się bardziej stroma. Powoli zaczął się do niego zbliżać. Wspinali się teraz stromym wąwozem zawalonym kamieniami. Sucha Rzeka, im bliżej swego źródła tym węższa, wiła się pomiędzy pionowymi ścianami. Skały grzechotały pod stopami i dłońmi, wspinali się bowiem na czworakach. Arren wyczuł końcowe zwężenie ścian i rzucił się gwałtownie do przodu, łapiąc Coby za ramię.

Znajdowali się w skalnym basenie, szerokim na pięć czy sześć stóp, który mógłby być sadzawką, gdyby kiedykolwiek płynęła tam woda. Przed nimi i ponad nimi wznosiło się urwisko ze skał i żużlu, w którym ziała czarna dziura – źródło Suchej Rzeki.

Cob nie próbował się wyrwać z uchwytu Arrena. Stał zupełnie nieruchomo, podczas gdy światło niesione przez Geda zbliżało się, rozjaśniając jego bezoką twarz.

– To jest to miejsce – powiedział wreszcie i coś w rodzaju uśmiechu wykrzywiło jego usta. – To tego szukacie. Widzicie je? Tam możecie się odrodzić. Wszystko co musicie zrobić, to pójść ze mną. Będziecie żyć wiecznie. Razem będziemy królować.

Arren spojrzał na suche, czarne źródło – gardziel wypełnioną pyłem* Miejsce, gdzie martwa dusza wpełzając w ziemię i ciemność odradzała się znowu martwa. Wzbudziło w nim ono taki wstręt, że ochryplym głosem, walcząc z potwornymi mdłościami, powiedział:

– Niech będzie zamknięte.

– Będzie zamknięte – rzekł Ged, stając obok niego.

Twarz i ręce maga zapłonęły białym światłem. Zdawał się być gwiazdą spadłą na ziemię, pogrążoną w bezkresnej nocy. Przed nim suche źródło – owe drzwi otwarte pomiędzy światłami, ziały nicością. Były szerokie i puste, lecz czy głębokie, czy płytkie – tego nikt nie wiedział. Nie było tam nic, na co – mogło paść światło, nic na czym mógłby spocząć wzrok. Były pustką. Nie przedostawało się przez nie światło ani ciemność, życie ani śmierć. Były niczym. Jedyne drogą prowadzącą do nikąd.

Ged uniósł ręce i przemówił.

Arren wciąż trzymał Coba za ramię. Ślepiec położył wolną rękę na skałach urwistej ściany. Obaj stali bez ruchu, spętani mocą czaru.

Całym kunsztem nabytym w ciągu życia, całą siłą swego nieugiętego serca Ged starał się zamknąć te drzwi – aby ponownie ocalić świat. Pod wpływem jego głosu i na rozkaz jego rąk nadających kształty, skały zaczęły się zbliżać do siebie z trudem. Wreszcie spotkały się. Lecz w tej samej chwili światło zaczęło słabnąć. Słabo coraz szybciej, zamierało na dłoniach twarzy i na cisowej lasce Geda – aż w końcu już tylko słabo migotało. W tym nikłym świetle Arren zobaczył, że drzwi są niemal całkowicie zamknięte.

Ślepiec czuł, jak pod jego ręką skały przesuwają się, aby się złączyć, czuł jak cała jego sztuka i moc poddają się i wyczerpują. Nagle krzyknął: Nie! – Wyrwał się z uchwytu Arrena. Skoczył przed siebie, złapał Geda w ślepy potężny uścisk, przewrócił na ziemię swym ciężarem i zaczął dusić, zacisnąwszy ręce na gardle.

Arren uniósł miecz Serriadha i ciął z całej siły prosto w pochylony kark pod zmierzwionymi włosami.

Żywy duch posiada swą wagę w krainie zmarłych, a cień jego miecza – ostrze. Klinga przecięła Cobowi kręgosłup. Trysnęła czarna krew, oświetlona błyskiem ostrza.

Lecz nie na wiele zda się zabijanie zmarłych, a Cob był przecież martwy. Martwy od lat. Ogromna rana zamknęła się wchłaniając krew. Ślepiec wyprostował się na całą wysokość. Jego twarz wykrzywił gniew i nienawiść. Wyciągnął swe długie ręce w stronę Arrena, jakby dopiero teraz uświadamiając sobie, kto jest jego prawdziwym wrogiem i rywalem.

Tak potworny był ów widok powstania z martwych po śmiertelnym ciosie, że gniew obrzydzenia wezbrał w Arrenie. Z szaleńczą furią wzięwszy zamach, ponownie uderzył mieczem, wkładając w ten straszliwy cios całą swą nienawiść. Cob upadł rozplataną czaszką i twarzą zalaną krwią, Arren już był nad nim, aby uderzyć jeszcze raz zanim rana zdoła się zamknąć i jeszcze raz, i jeszcze, dopóki go nie zabije...

Obok niego Ged, dźwigając się na kolana, wymówił tylko jedno słowo.

Na jego dźwięk Arren wstrzymał cios, tak jakby rękę trzymającą miecz, uchwyciła jakaś inna ręka. Ślepiec, który właśnie się podnosił, również znieruchomiał. Ged powstał, zataczając się z lekka. Gdy tylko stanął pewnie na nogach, zwrócił się twarzą do urwiska.

– Stań się całością! – rozkazał czystym głosem i na skalnych wrotach nakreślił laską ognistymi liniami znak: run Agnen, run Końca, który zamyka drogi i znaczy wieka trumien. Pomiędzy głazami nie było szczeliny ani pustego miejsca. Drzwi zostały zamknięte.

Ziemia Suchej Krainy zadrżała pod ich stopami, a po niezmiennym, pustym niebie przetoczył się długi grzmot i zamarł w oddali.

– Słowem, które nie zostanie wypowiedziane do końca czasu, wezwałem cię. Słowem, które zostało wypowiedziane przy tworzeniu rzeczy, zwalniam cię teraz. Idź! – I pochylając się nad ślepcem, który klęczał skulony, wyszeptał to tajemne słowo do ucha, zakrytego białymi zmierzwionymi włosami.

Cob wstał. Rozejrzał się powoli wokół siebie widzącymi już oczyma. Spojrzał na Arrena, a potem na Geda. Nie rzekł ani słowa, tylko przyglądał się im mrocznym wzrokiem. Na jego twarzy nie było gniewu, nienawiści czy smutku. Powoli odwrócił się i odszedł w dół korytem Suchej Rzeki, szybko niknąc z oczu.

Na twarzy i na lasce Geda nie było już światła. Wędrowcy stali w ciemnościach. Kiedy po chwili Arren podszedł do maga ten uchwycił jego ramię, aby się wyprostować.

– Skończone – powiedział. – Wszystko skończone.

– Skończone, mój drogi panie. Musimy iść.

– Tak, musimy wracać do domu.

Ged sprawiał wrażenie oszołomionego i wyczerpanego. Powoli i z trudem szedł za Arrenem, wśród skał i głazów, w dół rzecznej koryta. Chłopiec wciąż był przy nim. Kiedy ściany Suchej Rzeki obniżyły się i grunt stał się mniej stromy, Arren skierował się w stronę drogi, którą tutaj przyszli. Było to bezkształtne zbocze wznoszące się i ginące w ciemności. Potem odwrócił się doń plecami.

Mag milczał. Gdy tylko się zatrzymali, wyczerpany osunął się na kawał zakrzepłej lawy, zwiesiwszy głowę.

Arren wiedział, iż droga którą przyszli, jest dla nich zamknięta. Mogą iść jedynie dalej. Muszą przejść całą drogę. Nawet zbyt daleko – nie jest wystarczająco daleko – pomyślał. Spojrzał w górę, na czarne nieruchome szczyty, zimne, nieme i straszliwe na tle nieruchomych gwiazd. Jeszcze raz, ów ironiczny, szydery i bezlitosny głos jego woli przemówił do niego: Czy zatrzymasz się w pół drogi, Lebannen?

Podszedł do Geda i przemówił bardzo łagodnie:

– Musimy iść dalej, mój panie. Ged nie odezwał się, lecz powstał.

– Ty prowadzisz, chłopcze – odparł Ged ochryłym szeptem. – Pomóż mi.

Weszli w góry po zboczach pokrytych pyłem i żuzłem. Arren jak mógł pomagał swemu towarzyszowi. Grzbiety i wąwozy zalegała nieprzenikniona ciemność i Arren musiał wymacywać drogę przed sobą, a to sprawiało, że z trudem tylko mógł dawać wsparcie Gedowi. Ciężka była to droga. Potykali się nieustannie. Gdy zbocza stały się bardziej strome i musieli zacząć wspinać się i wdrapywać, stała się jeszcze cięższa. Chropawe skały o ostrych krawędziach paliły dłonie, jak roztopione żelazo. A przecież było zimno. Im wyżej, tym zimniej. Dotknięcie skał stawało się prawdziwą udręką.

Paliły jak rozżarzone węgle. Ogień płonął we wnętrzu gór. Lecz powietrze stało zimne w niezmiennej ciemności. Nie było nic słyhać, nie czuło się najmniejszego podmuchu wiatru. Ostre krawędzie skał łamały się w dłoniach i spadały pod stopy. Czarne, pionowe występy i rozpadliny wznosiły się przed nimi, a po bokach przepadały w ciemności. Poniżej za nimi, pozostawało królestwo zmarłych. Z przodu w górze na tle gwiazd, sterczały skalne szczyty. Na całym obszarze tych czarnych gór nie poruszało się nic – tylko dwie śmiertelne dusze.

Ged ze zmęczenia często się potykał, tracąc równowagę. Jego oddech stawał się coraz cięższy. Otarte o skały dłonie tak bardzo bolały, że jęczał w męce. Słyszac to, Arrenowi ścisnęło się serce. Usiłował podtrzymać maga, lecz często droga była zbyt wąska, aby mogli iść obok siebie. Arren musiał iść przodem, żeby znaleźć oparcie do stóp. W końcu na stromym zboczu wybiegającym aż do gwiazd, Ged potknął się i upadł twarzą do ziemi, i już się nie podniósł.

– Mój panie – wyszeptał Arren, klękając przy nim, a potem wymówił jego imię: Ged.

Mag nie poruszył się ani nie odpowiedział.

Arren wziął go na ręce i zaczął nieść w górę stromego stoku. Szczyt kończył się poziomą płaszczyzną, wybiegającą do przodu na niewiadomą odległość. Tam Arren złożył swoje brzemie i

osunął się na ziemię – wyczerpany, obolały i bez cienia nadziei w sercu. To było najwyższe wzniesienie przełęczy, pomiędzy dwoma czarnymi szczytami, na które z takim trudem się wspinał. To był koniec – nie było już dalszej drogi. Płaszczyzna kończyła się stromym urwiskiem. Za nim rozciągała się bezkresna ciemność. Tylko małe gwiazdy zwisały nieruchomo w czarnej otchłani nieba.

A jednak wytrwałość była silniejsza od nadziei. Gdy tylko siły mu na to pozwoliły, Arren zaczął uparcie czołgać się do przodu. Wyrzał za krawędź ciemności. Poniżej, zupełnie blisko, zobaczył plażę pełną żółtego piasku. Białe i bursztynowe fale zwijały się i roztrzaskiwały w bryzgach piany o brzeg. Nad morzem zachodziło przesłonięte złotą mgłą słońce.

Arren zawrócił ku ciemności. Z ledwością uniósł Geda i włókł się z nim, aż do chwili, kiedy nie mógł już iść dalej. Tu skończyło się wszystko: pragnienie, ból, ciemność, słoneczne światło i grzmot morskich fal.

13. OKRUCH BÓLU

Kiedy Arren się zbudził, szara mgła skrywała morze, wydmy i wzgórza Selidoru. Cichy grzmot fal to się przybliżał, to oddalał we mgle. Był przyływ i plaża stała się o wiele węższa niż wówczas, kiedy tu przybyli po raz pierwszy. Zamierając, spienione języki fal lizały odrzuconą, lewą rękę Geda, leżącego twarzą do piasku. Jego ubranie i włosy były mokre. Odzież Arrena przywierała lodowatą skorupą do ciała. Po martwym ciele Coba nie było śladu. Być może fale wciągnęły je w głębiny, natomiast, kiedy Arren odwrócił głowę, ujrzał majaczące niewyraźnie we mgle, szare cielsko Orma Embar, podobne do zwalonej wieży.

Chłopiec podniósł się, dygocząc z zimna. Chłód, odrętwienie i przyprawiająca o zawrót głowy słabość – podobna do tej, jaka wywołuje długie unieruchomienie w łóżku – ledwie pozwoliły mu stanąć. Zataczał się jak pijany. Gdy tylko stanął na nogach, podszedł do Geda i przeciągnął go poza zasięg fal – to było wszystko, na co się zdobył, Ged wydał mu się bardzo ciężki i bardzo zimny. Przeniósł go co prawda przez granicę, oddzielającą śmierć od życia, lecz być może na próżno. Przyłożył ucho do jego piersi, lecz wstrząsające magiem drżenie i szcęk własnych zębów – którego Arren nie mógł opanować – nie pozwoliły mu usłyszeć, czy serce towarzysza bije. Powstał i zaczął przytupywać, aby choć trochę ogrzać stopy. W końcu, wlokąc się jak starzec na drżących nogach, odszedł, żeby poszukać tobołków. Porzucili je przy małym potoku spływającym z pasma wzgórz, gdy schodzili do chaty z kości. Jednak przede wszystkim chodziło mu o strumień, gdyż nie mógł myśleć o niczym, prócz wody, świeżej wody.

Znalazł go prędzej, niż się tego spodziewał – w miejscu, gdzie spływał na plażę i zbiegał do morza, wijąc się i rozgałęziając, jak odlane ze srebra drzewo. Tam Arren przypadł do ziemi. Pił z twarzą i rękoma zanurzonymi w wodzie, chłonąc ją ustami i całą duszą. Zaspokoiwszy pragnienie usiadł i wówczas zobaczył na przeciwległym brzegu strumienia ogromne cielsko smoka.

Głowa stwora koloru żelaza, pokryta na nozdrzach, gardle i wokół oczu plamami czerwonej rdzy, zwisała na wprost chłopca, niemal nad nim. Pazury wryły się głęboko w miękki, wilgotny piasek na brzegu strumienia. Tylko złożone skrzydła, podobne do żagli, były częściowo widoczne, zaś reszta ciemnego ciała ginęła we mgle.

Nie poruszał się. Mógł się tam czaić już od godzin, lat, wielu stuleci. Wyglądał jak wykuty z żelaza, wyciosany ze skały – jednak oczy, w które chłopiec nie ośmielił się spojrzeć, oczy podobne do plam oliwy na wodzie, do żółtego dymu za szkłem, nieprzezroczyste, otchłanne i żółte, obserwowały Arrena.

Ten nie mogąc nic zrobić, wstał. Jeśli smok zechce go zabić, uczyni to. A jeśli nie – to będzie mógł spróbować pomóc Gedowi, jeżeli jeszcze cokolwiek można było dla niego zrobić. Wstał i zaczął iść w górę strumyka, szukając tobołków.

Smok nie uczynił nic. Siedział bez ruchu i obserwował. Chłopiec znalazł bagaż, napełnił obie skórzane butle wodą ze strumienia i brodząc po piasku, wrócił do Geda. Gdy tylko oddalił się o kilka kroków od strumienia, smok zniknął w gęstej mgle.

Arren wlał Gedowi kilka kropel wody w usta, lecz nie mógł wyrwać go z omdlenia. Mag leżał wiotki i zimny, z ciężką głową wspartą na ramieniu chłopca. Na poszarzałej twarzy ostro rysował się nos, kości policzkowe i stare blizny. Nawet jego ciało wyglądało na wychudłe i spalone, jak gdyby ubyło go o połowę.

Arren siedział na wilgotnym piasku z głową swego towarzysza na kolanach. Mgła utworzyła wokół

nich miękką kulę, jaśniejącą nad głowami. Gdzieś w tej mgle spoczywał martwy smok Orm Embar, a żywy smok oczekiwał przy strumieniu. Po drugiej stronie Selidoru Daleko-patrząca, ogołocona z zapasów, leżała na jakiejś plaży. A dalej, na wschód, rozciągało się morze. Być może trzysta mil do najbliższej wyspy Zachodnich Rubieży i tysiąc do Wewnętrznego Morza. Daleko. "Tak daleko Selidor" – zwykło się mówić na Enlad. Stare opowieści i mity, których tak chętnie słuchały dzieci, zaczynały się słowami: "Tak dawno, jak wieczność i tak daleko, jak Selidor żył księżę...".

Był księciem. Lecz w starych opowieściach taki był początek, a tutaj wszystko zdawało się być końcem.

Arren jednak nie był przygnębiony. Bardzo zmęczony i pełen troski o swego towarzysza, nie czuł najmniejszej goryczy, czy żalu. Po prostu nic więcej nie mógł zrobić. Wszystko już się dokonało.

Kiedy odzyskał siły, pomyślał, że za pomocą wędek, które miał w tobołku, mógłby spróbować połowu ryb z brzegu. Od chwili bowiem, kiedy ugasił pragnienie zaczął dręczyć go głód – a z ich zapasów nie pozostało nic, prócz kawałka suchego chleba. Chciał zaoszczędzić chleb, gdyż po namoczeniu i zmiękczeniu go w wodzie, mógłby nakarmić nim Geda. Nic więcej nie pozostało do zrobienia. Nie mógł dostrzec niczego poza tym.

Ze wszystkich stron otaczała go mgła.

Siedząc tak, skulony we mgle nad Gedem, zaczął obmacywać swoje kieszenie, chcąc upewnić się, czy nie ma w nich czegoś, co mogłoby się przydać. W kieszeni tuniki wyczuł jakiś twardy przedmiot o ostrych krawędziach. Wyciągnął go zaintrygowany. Był to mały kamyczek, czarny, porowaty i twardy. Już miał go odrzucić, lecz wówczas poczuł w dłoni jego chropowate i kolczaste krawędzie. Uświadomił sobie, czym był ten kamyczek – kawałkiem skały z Gór Bólu. Wpadł do kieszeni wtedy, kiedy wspinał się lub kiedy pełził z Gedem do skraju przełęczy. Trzymał teraz tę niezmienną, wieczną rzecz – okruch bólu. Zamknął go w dłoni i ścisnął. A potem uśmiechnął się, smutno a zarazem radośnie, poznając – pierwszy raz w życiu, sam, bez dźwięku fanfar i to na skraju świata – smak zwycięstwa.

Opary mgły rozsnuwały się i rzedły. Gdzieś w oddali przedarł się przez nie błysk słońca na otwartym morzu. Wydmy i wzgórza pojawiały się i znikwały, bezbarwne i rozdęte w welonach mgły. Ciało Orma Embar jaśniało, w padającym nań świetle słońca – wspaniałe pomimo śmierci.

Drugi smok, jak rzeźba z czarnego żelaza, czekał skulony – wciąż w bezruchu – na drugim brzegu strumienia.

Po południu ostatnie wstęgi mgły rozwiały się w coraz jaśniejszym i cieplejszym słońcu. Arren zrzucił przemoczone ubranie i rozłożył je na piasku, aby wyschło. Jego nagości nie osłaniało nic prócz pasa i miecza. Podobnie uczynił z ubraniem Geda, lecz – chociaż niezmierny potok uzdrawiającego ciepła i światła spłynął na maga – on wciąż leżał bez ruchu.

Rozległ się dźwięk, jaki daje pocierany o siebie metal

– zgrzytliwy szept krzyżowanych mieczy. Żelazny smok uniósł się na zakrzywionych łapach. Przekroczył strumyk z cichym wizgiem wleczonego po piasku długiego ciała. Arren zobaczył pomarszczoną skórę w pachwinach ramion i kolczugę łusek na bokach, pokrytą bliznami, pokiereszowaną jak zbroja Erretha-Akbe. Zobaczył długie poźółtkłe i stępione zęby. W tym wszystkim: w pewnych, ciężkich ruchach, w głębokim, przerażającym spokoju Arren dostrzegł znak wieku – niezmierny czas, lata przepadły w zapomnieniu. Gdy smok zatrzymał się kilka stóp przed miejscem, gdzie leżał Ged, Arren – stanawszy pomiędzy nimi – powiedział w języku Hardu, jako że nie znał Starej Mowy:

– Tyś jest Kalessin?

Smok nie odrzekł ani słowa, lecz zdawało się, że się uśmiechnął. Potem, pochylając swoją ogromną głowę i wysuwając do przodu szyję, spojrzął na Geda i wymówił jego imię. Przepastny, choć cichy głos niósł ze sobą zapach kuźni.

Powtórzył imię znowu, i jeszcze raz, i za trzecim razem Ged otworzył oczy. Po chwili spróbował usiąść, lecz był zbyt słaby. Arren ukląkł przy nim i podtrzymał go. Wówczas Ged odezwał się:

– Kalessin – i dodał szeptem – "seiwanissain ar Roke!" – To wyczerpało jego siły. Oparł głowę na ramieniu Arrena i zamknął oczy.

Smok nie odpowiedział. Skulił się jak przedtem, bez ruchu. Mgła znowu zaczęła się podnosić, zasnuwając opadające ku morzu słońce.

Arren ubrał się i otulił Geda płaszczem. Przyływ, który przez ten czas cofnął się, wzbierał znowu. Arren czuł, że powróciły mu siły – pomyślał więc, że lepiej będzie przenieść swego towarzysza na bardziej suchy grunt na wydmie.

Lecz gdy pochylił się nad Gede, aby go podnieść, smok wysunął wielką opancerzoną stopę, niemal go dotykając. Miała cztery pazury, a z tyłu ostrogę niczym łapa koguta. Była to ostroga ze stali, tak długa jak ostrze kosy.

– "Sobriost" – powiedział smok, a jego głos zabrzmiał, jak styczniowy wiatr wśród zamarzniętych trzcin.

– Zostaw mego pana. Ocalił nas wszystkich – i czyniąc to stracił swą moc, a być może i życie. Zostaw go!

Arren mówił gwałtownym rozkazującym tonem. Przeżył już zbyt wiele strachu, wiedział więc, co to znaczy być ogarniętym przez niego do reszty. Miał już tego dość i nie chciał bać się więcej. Był zły na smoka za jego zwierzęcą siłę, za ogrom, za tę niesprawiedliwą przewagę. Widział śmierć, skosztował jej, i żadna groźba nie była w stanie go powstrzymać.

Stary Kalessin spoglądał na niego przenikliwym, strasznym złotym okiem. Bezmiar czasu wyzierał z głębi tego oka, zatopiony był w nim poranek świata. Chociaż chłopiec patrzył w oczy smokowi, wiedział, że ten spogląda na niego z obojętnym łagodnym rozbawieniem.

– Arw sobriost – powtórzył smok, i jego rdzawe nozdrza rozszerzyły się łyskając w głębi blaskiem przygaszonego ognia.

Arren trzymał już rękę pod ramionami Geda, kiedy, chcąc go podnieść został powstrzymany przez ruch Kalessina. Teraz zobaczył, jak Ged odwraca lekko głowę i usłyszał jego głos:

– To znaczy: wejdź tu.

Arren zamarł na chwilę. To było zupełne szaleństwo. Lecz tuż przed sobą ujrział wielką szponiastą łapę ustawioną jak stopień. Nad nią zakrzywiony przegub łokcia, a jeszcze wyżej sterczące ramię i wielki węzeł mięśni skrzydła w miejscu, gdzie łączyło się ono z łopatką. Cztery stopnie niczym schody. Przed skrzydłami i pierwszym wielkim żelaznym kolcem pokrywającej grzbiet kolczugi, w zagłębieniu karku było dość miejsca dla człowieka, czy nawet dwojga ludzi. Jeśli postradali zmysły, stracili nadzieję i oddali się szaleństwu.

– Wejdź! – powiedział Kalessin w Języku Tworzenia.

Arren wstał i pomógł swojemu towarzyszowi zrobić to samo. Z uniesioną głową, wspierany rękoma Arrena, Ged wspiał się po tych dziwnych stopniach. Obaj usiedli w pokrytym szorstką łuską zagłębieniu na karku smoka – Arren z tyłu, gotów podtrzymać Geda, gdyby zaszła potrzeba. Tam

gdzie dotykali skóry smoka, czuli przenikające ich ciepło. Upragniony żar, podobny do żaru słońca. To życie płonęło ogniem pod żelazną zbroją.

Arren zobaczył, że na plaży pozostała na wpół zagrzebana w piasku cisowa laska maga. Morze podpełzało, aby ją zabrać. Chłopiec chciał zejść po nią, lecz Ged go zatrzymał.

– Zostaw. Cała moja magia przepadła przy tym suchym strumieniu, Lebannen. Teraz nie jestem już magiem.

Kalessin odwrócił głowę i spojrzał na nich z ukosa – w jego oku czaił się prastary śmiech. Czy Kalessin był samcem, czy samicą, tego nie wiedział nikt.

Tak samo nie można było zgadnąć, co myśli. Powoli skrzydła uniosły się i rozpostarły. Nie były złote, jak skrzydła Orma Embar, lecz czerwone, ciemnoczerwone, jak rdza, krew, lub jak szkarłatny jedwab z Lorbanery. Smok uniół skrzydła ostrożnie, żeby nie wysadzić z siodła swych maleńkich jeźdźców. Uważnie gotował do skoku swe potężne mięśnie, aż skoczył, jak kot, w powietrze. Skrzydła opadły wznosząc ich ponad mgłę, która zasnuwała Selidor.

Miarowo zagarniając wieczorne powietrze szkarłatnymi skrzydłami, Kalessin wznosił się nad otwarte morze, zawrócił na wschód i odleciał.

W upalne dni pełni lata widziano wielkiego smoka, jak leciał nisko nad wyspą Ully, później nad Usidero i na północ od Ontuego. Smoki na ogół wzbudzają przerażenie na zachodnich Rubieżach, gdzie ludzie znają je aż nadto dobrze. Jednakże, gdy przelatywał właśnie ten potwór, wieśniacy, którzy wyszli ze swoich kryjówek, ujrawszy go mówili: "Nie wszystkie smoki zginęły, jak myśleliśmy. Może więc i nie wszyscy czarodzieje umarli."

Wspaniały był to lot. Być może leciał sam Najstarszy. Nikt nie wiedział, gdzie Kalessin opadł na ziemię. Te odległe wyspy pokryte są bowiem lasami, do których nikt nie zagląda i gdzie nawet lądowanie wielkiego smoka może pozostać niezauważone.

Natomiast na Dziewięćdziesięciu wyspach zapanował wrzask i tumult. Ludzie uciekali na zachód, wyprzedzając się łodziami wśród maleńkich wysepek, krzycząc: – Kryć się! Kryć się! Smok z Pendoru złamał słowo! Arcymag zginął i smok przybył aby nas pożreć!

Bez lądowania, nie spojrzawszy w dół wielki potwór przeleciał nad wysepkami, miasteczkami i farmami, nie raczywszy buchnąć ogniem dla tego ludzkiego drobiazgu. Przeleciał nad Geath, Serd, nad cieśninami Wewnętrzznego Morza, i znalazł się w pobliżu Roke.

Jak mówią legendy – a nie pamięć ludzka – nigdy żaden smok nie ośmielił się przekroczyć widzialnych i niewidzialnych murów, które strzegły wyspy od wszelkiego niebezpieczeństwa. Tylko ten jeden nie zawahał się. Przeleciał na mocarnych skrzydłach nad zachodnim brzegiem Roke, ponad wioskami i polami, do zielonego wzgórza wznoszącego się nad miastem Thwil. Tam w końcu obniżył swój lot łagodnie ku ziemi, uniół czerwone skrzydła, złożył je i przycupnął na szczycie Pagórka Roke.

Chłopcy wybiegli z Wielkiego Domu. Nic nie mogłoby ich zatrzymać. Lecz pomimo swojej młodości, biegli wolniej od Mistrzów i później od nich przybyli na Pagórek.

Ze swego lasu przybył już tam Mistrz Tkacz, zjawił się jasnowłosy, błyszcząc w słońcu. Wraz z nim nadeszli: Mistrz Zmian, który powrócił dwie noce wcześniej w postaci wielkiego morskiego rybołowa znużonego i z okaleczonymi skrzydłami. Długo był uwięziony własnymi czarami w tym kształcie i nie mógł powrócić do swej postaci, dopóki nie przybył do lasu, tej nocy, kiedy Równowaga została przywrócona, a to co strzaskane, zostało scalone. Przybył też Mistrz Herold, wychudzony i słaby, gdyż zaledwie dzień wcześniej podniósł się z łóżka. Obok niego stał Mistrz

Odźwierny. Byli tam wszyscy pozostali Mistrzowie Wyspy Mądrości. Widzieli, jak jeźdźcy zsiadali, pomagając sobie wzajemnie. Patrzyli, jak rozglądają się wokół zadziwieni, lecz zadowoleni. Smok przykucnął, nieruchomy jak kamień, podczas gdy oni zsuwali się z jego grzbietu i stawali obok. Odwrócił na chwilę głowę, kiedy Arcymag mówił do niego – i krótko mu odpowiedział. Ci, którzy przyglądali się smokowi, zauważyli kosę spojrzenie żółtych ślepi zimne, a zarazem pełne szyderstwa. Ci, którzy zrozumieli starą mowę usłyszeli, jak smok powiedział: Przyniosłem młodego króla do jego królestwa i starego człowieka do jego domu.

– Jeszcze trochę dalej, Kalessin – odparł Ged. – Jeszcze nie dotarłem tam, dokąd muszę pójść. – Spojrzał w dół, na dachy i wieże wielkiego Domu błyszczącego w słońcu, a po jego twarzy przemknął uśmiech. Potem odwrócił się do Arrena, który niepewnie trzymał się na nogach, zmęczony długą jazdą i oszołomiony wszystkim co przeszedł. Na oczach wszystkich obecnych Ged ukląkł przed chłopcem na oba kolana i skłonił swoją siwą głowę.

Potem wstał i pocałował Arrena w policzek, mówiąc: – Kiedy zasiądziesz na swym tronie w Havnor, mój panie i drogi przyjacielu, panuj długo i szczęśliwie.

Spojrzał na Mistrzów, młodych czarodziei, chłopców i mieszczan zgromadzonych na zboczach i u stóp Pagórka. Na twarzy miał spokój, a w jego oczach było coś podobnego do śmiechu bijącego z oczu Kalessina. Odwracając się od wszystkich Ged wspiął się ponownie po ciele smoka, i zajął swe miejsce na smoczym karku, pomiędzy wielkimi grzebieniami skrzydeł. Skrzydła uniosły się z szumem i Kalessin – Najstarszy – skoczył w powietrze. Ogień i dym strzeliły z paszczy smoka, a huk gromu i huragan towarzyszyły uderzeniom jego skrzydeł. Okrążył wzgórze i odleciał na północny wschód, w stronę tej części Ziemiomorza, gdzie wznosi się góra wyspy Gont.

Mistrz Odźwierny z uśmiechem powiedział: – Skończył z czynieniem. Wraca do domu.

I patrzyli za smokiem lecącym pomiędzy słońcem a morzem, dopóki nie zniknął im z oczu.

Czyny Geda mówią, iż ten, który był Arcymagiem, przybył na koronację Króla Wszystkich Wysp do Wieży Miecza wznoszącej się w centrum świata, na wyspie Havnor. Pieśń opowiada, że gdy ceremonia koronacji dobiegła końca i rozpoczęła się zabawa, opuścił on towarzystwo i zszedł sam do portu. Tam na wodzie kołysała się łódź – zniszczona i sponiewierana sztormami i niepogodą. Jej żagiel był zwinięty i była pusta. Ged przywołał łódź jej imieniem, a ona podpłynęła do niego. Zeskoczywszy z mola na pokład, Ged odwrócił się plecami do lądu i bez pomocy wiatru, żagla czy wiosła, Dalekopatrząca ruszyła. Wyniosła go z portu i przystani na zachód, między wyspy i dalej, na zachód, na otwarte morze. Nigdy więcej już o nim nie słyszano.

Na wyspie Gont opowiadają tę historię inaczej, mówiąc, że to młody król, Lebannen, przybył aby zabrać Geda na koronację. Nie znalazł go w porcie Gont, ani w Re Albi. Nikt nie umiał powiedzieć gdzie Ged był. Wiedzano tylko, że poszedł do lasów porastających górę. Często tak odchodził – mówiono – i nie wracał przez wiele miesięcy, nikt nie znał ścieżek jego samotności. Niektórzy ofiarowywali się odszukać go lecz król zabronił im, mówiąc – Władza większym niż moje królestwem – I zszedł z góry, wsiadł na statek i powrócił do Havnor, nałożyć koronę Króla Wszystkich Wysp.

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
1. JARZĘBINA..	3
2. MISTRZOWIE ROKE..	11
3. MIASTO HORT.	26
4. MAGICZNE ŚWIATŁO..	46
5. SNY I MORZE..	56
6. LORBANERY..	63
7. SZALENIEC..	78
8. DZIECI OTWARTEGO MORZA..	90
9. ORM EMBAR..	103
10. SMOCZY SZLAK..	120
11. SELIDOR..	129
12. SUCHA KRAINA..	140
13. OKRUCH BÓLU..	154